Nr indeksu 36762PL ISSN 0472-5042

Łódź

Odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

NUMER 11 (1615) ROK XXXII 12 MARCA 1989 ROKU CENA 80 ZŁ

■ Piechota, ta szara piechota — str. 4
■ Jak zostałem wrogiem Józefa Stalina? — str. 10
■ Ranczo w dolinie Warty — str. 5
■ Jak mieszkają łódzcy studenci? — str. 6

Wszystkim Paniom więcej radości i spokoju

życzy zespół „Odgłosów"

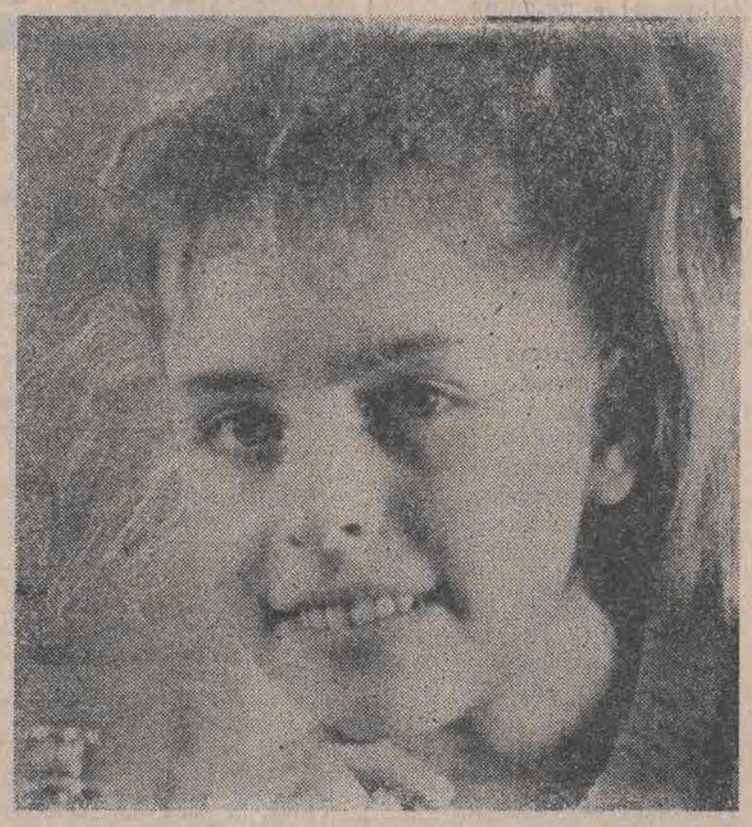

Foto: Grzegorz Gałasiński

Co pan zrobił dla ochrony środowiska naturalnego w Łodzi?

Wszystko na ostatnią chwilę

Rozmowa z wiceprezydentem Łodzi, STANISŁAWEM ŻAŁOBNYM

— Co wiceprezydent Łodzi, Stanisław Żałobny zrobił dla ochrony środowiska naturalnego?

— Nie wiem, czy dwa i pół roku na tym stanowisku, to wystarczająco dużo, aby dokonywać już jakichś bilansów, gdyż w dziedzinie ochrony środowiska nic nie dzieje się szybko. W 1968 roku, jeszcze jako pracownik banku inwestycyjnego, uczestniczyłem w opiniowaniu założeń techniczno-ekonomicznych Grupowej Oczyszczalni Ścieków, a dopiero w grudniu 1988 roku oddany został do użytku pierwszy etap tej niezwykle ważnej inwestycji. Całość zaś gotowa będzie na początku XXI wieku. Już choćby to uświadamia, jak wielką rolę odgrywa tu czas.

Niemniej gdybym miał spróbować, właśnie rozruch części mechanicznej GOŚ chciałbym wymienić na pierwszym miejscu. Dobrze, że udało się nam wreszcie do tego doprowadzić. Ale przecież jest to zaledwie początek drogi. Przy GOŚ czeka nas jeszcze wiele pracy, która — mam nadzieję — przebiegać będzie sprawniej niż dotychczas, choć zdaję sobie sprawę z wielu ograniczeń: dewizowych, materiałowych, wykonawczych...

— Od razu chciałbym zapytać, kiedy całe miasto korzystać będzie z oczyszczalni, bo na razie, jak wiadomo, możliwość taką ma tylko niewielka jego część?

— Sądzę, że nastąpi to około 1994 roku. Do tego też czasu trzeba zdążyć z budową kolektora ścieków Zgierz—GOŚ, który z powodu opóźnień w realizacji samej oczyszczalni został jakby trochę zapomniany. Chodzi o to, że doprowadzi on do GOŚ kwaśne ścieki przemysłowe, głównie ze zgierskiego „Boruty", które w połączeniu z zasadowymi ściekami komunalnymi ułatwią wzajemną ich neutralizację. Teraz jak najszybciej musimy więc odrobić te zaległości, również dlatego, iż bez kolektora nie ma mowy o oczyszczaniu wód Bzury.

Drugą ważną sprawą, jaką przejąłem w spadku po moich poprzednikach, to utylizacja odpadów komunalnych i związana z tym budowa wysypiska w Pałczewie. Sprawa, która ciągnie się już dziesięć lat, bo właśnie w 1979 roku w planie zagospodarowania gminy Brójce został wyznaczony i zatwierdzony obszar pod wysypisko dla Łodzi. Potem następowały niezbędne uzgodnienia, przygotowywano dokumentację i kiedy w 1985 roku chcieliśmy wejść na teren budowy przyszłego wysypiska, okazało się, że mieszkańcy Pałczewa i Wardzynia zaczęli stwarzać coraz to nowe trudności.

Wydaje się, że Urząd Miasta Łodzi zrobił ze swej strony wszystko, co możliwe, idąc na duże nawet ustępstwa. Rzecz jednak w tym, że nasze prawo pozwala odwoływać się od decyzji administracyjnych niemal w nieskończoność i ludzie z tego korzystają, chcąc jak najdłużej przeciągnąć uruchomienie wysypiska, które — nawiasem mówiąc — będzie jednym z lepszych w kraju. To z kolei powoduje, że w Nowosolnej...

— Ano właśnie! Od dwóch lat odpady komunalne z Łodzi składa się w wyrobisku starej żwirowni w Nowosolnej, które do tego celu nie jest zupełnie przygotowane. Co więcej, tuż obok mieszkają ludzie, za płotem są setki rekreacyjnych działek pracowniczych, gdzie w obecnej sytuacji wypoczynek jest iluzją.

— To prawda. I muszę przyznać, że podziwiam mieszkańców Nowosolnej, którzy z dużym zrozumieniem podchodzą do tej sprawy.

— Wybaczy pan, ale wcale nie jestem pewien, czy z takim zrozumieniem. Oni raczej są oburzeni i mają ku temu wszelkie podstawy. Czy pan był w Nowosolnej? Widział, co się tam dzieje? Rozmawiał z ludźmi?

— Byłem, rozmawiałem, I rozumiem ich doskonale. Ale nie mieliśmy innego wyjścia. Wydano decyzję o tymczasowym wywozie odpadów do Nowosolnej w momencie, gdy wydawało się, że osiągnęliśmy pełne porozumienie z mieszkańcami Pałczewa i Wardzynia. Ale potem oni wycofali się z poczynionych już ustaleń.

— Były zapewne jakieś tego powody. Naczelny Sąd Administracyjny, do którego skierowali skargę, też nie rozpatrywałby jej, gdyby była zupełnie bezzasadna. Ale chyba nie to jest tu najważniejsze. Moim zdaniem, trzeba najpierw odpowiedzieć na pytanie: dlaczego, skoro już od dziesięciu lat wiadomo, że wysypisko będzie w Pałczewie, wszystko to ciągnie się tak bardzo długo? Czy dziesięć lat, to naprawdę za mało, aby uzgodnić sporne kwestie i przygotować teren? Nie bardzo mogę w to uwierzyć.

— Rzeczywiście, sprawność administracji nie była tu najlepsza. I można powiedzieć, że jest to swego rodzaju wpadka Urzędu. Ale — powtarzam — myśmy wywiązali się z przyjętych zobowiązań i na przykład ruszył do Wardzynia autobus. Natomiast mieszkańcy wycofali się ze wspólnie przyjętych uzgodnień. I stąd opóźnienie.

— Tak. Tylko że pan mówi o ostatnich latach, ja zaś — o pierwszym okresie, czyli początku lat osiemdziesiątych, kiedy już był wielki kłopot ze śmieciami, bo wysypisko na Józefowie pękało w szwach, a w Pałczewie jeszcze nic się nie działo, mimo że lokalizacja została już przesądzona.

— Zgoda. Trochę to trwało za długo. Przyznaję. Ale tak to już jest, że w Polsce wszystko właściwie robi się na ostatnią chwilę. Za dużo jest spraw, które tylko z pozoru wydają się proste do załatwienia.

— A wracając do mieszkańców Nowosolnej i ich gehenny — czy zamierza jakoś im pan pomóc?

— Staramy się robić dla nich to, co możliwe i na co nas stać. Są to jednak tylko półśrodki. Sytuacja naprawdę poprawi się dopiero wtedy, gdy samochody ze śmieciami zaczną jeździć do Pałczewa, co najprawdopodobniej nastąpi już w drugim kwartale tego roku.

— Swego czasu obiecywał pan, że — we wrześniu 1988 roku. Proszę darować, ale uważam, że i ten nowy termin nie zostanie chyba dotrzymany. Wysypisko nie jest jeszcze całkiem gotowe, wciąż brak do niego drogi dojazdowej, o którą toczy się spór. Czy wierzy pan, że te kilka miesięcy, jakie zostały, wystarczy?

— Muszę wierzyć, gdyż inaczej zrezygnowałbym chyba z tego stanowiska. Szansa w każdym razie jest.

Widzi pan, całe nieszczęście polega na tym, że u nas ochrona środowiska zawsze była na ostatnim miejscu, zawsze mieliśmy coś ważniejszego. Poza tym, jak to się mówi, nie mamy armat. Nasz przemysł nie jest zupełnie przygotowany ani do ochrony, ani do produkcji na rzecz ochrony środowiska. Wiele urządzeń i materiałów sprowadzać trzeba z zagranicy, a wiadomo, w jakiej sytuacji finansowej znajduje się kraj.

— Prawda. Wszystko to prawda. Zastanawiam się jednak, czy bez tych „armat" rzeczywiście nie już nie da się zmienić na lepsze? Czy nie jest to tylko taki wygodny parawanik dla naszej nieudolności? Przecież szereg spraw dałoby się załatwić tylko dzięki lepszej organizacji pracy, oszczędności, konsekwencji w działaniu. Na to nie potrzeba pieniędzy, ani drogiego sprzętu.

— Ma pan rację. Możliwości takie są. Ale problemów jest tak dużo, że najpierw musimy rozwiązywać te najpilniejsze.

7

Na wsi nie kochają ludzi przedsiębiorczych!

Ranczo w dolinie Warty

RYSZARD BINKOWSKI

1.

Kiedy masz dwadzieścia lat i wiarę w życie, a głowę pełną zielonych marzeń, bo nie przegryzły cię jeszcze na wylot marazm, kryzysowa stagnacja i drętwota duchowa, szukasz dla siebie miejsca, gdzie jeszcze woda czysta i trawa zielona, gdzie zielony diabeł mówi dobranoc. Wystarczy parę groszy na rozruch i dyplom technika ogrodnika w kieszeni, abyś z młodzieńczą fantazją zaczął wyłamywać drzwi do innego świata. A że jesteś mieszczuchem łodzianinem, więc ta piękna przygoda za miastem ciągnie cię jak cholera! I to nic, bracie, że w technikum ogrodniczym nie uczyli cię macania kur, pielęgnacji prosiąt, odbierania jagniąt w czasie kotelni. Jesteś śmiały, twardy, wytrwały i pragniesz ratować dla ojczyzny, no, powiedzmy, że dla gminy, każdy skrawek zdziczałej ziemi, którą zdewastowali inni, przede wszystkim taka instytucja, co przyjęła dumną nazwę „Smutny Koniec Rolnictwa", w skrócie SKR.

Bo ty jesteś idealistą i też pragniesz znaleźć swoje miejsce na ziemi. A że jeździsz Zastawą 110, więc imponujesz tym na wsi i przyjmują cię z szacunkiem. Tyle, że wszystkiego ci nie powiedzą, nie doradzą jak trzeba, a ty sam musisz uczyć się rolnictwa. Przymrużą więc oko, gdy zachodzisz do sąsiadki i uczysz się potajemnie doić krowę. Potem dopiero kupisz bydlę, nazwiesz je Mućką albo inaczej, a później...

Później zacielona krowa choruje, snuje się po zagrodzie z niemym bólem w ślepiach, czasem ryknie żałośnie i chodzi za człowiekiem jak pies, wreszcie poroni gdzieś za stodołą. Dwa śliczne małe cielaki... A po dwóch dniach krowa przywlecze się na podwórze, położy się i zdechnie bez prośby o litość i pomoc... I wtedy nad tobą też się nikt nie zlituje. Chciałeś mieć ranczo, to masz...

2.

Gdyby na Retkini nie zniszczono setek hektarów znakomitej ogrodniczej ziemi, ogrodnik Andrzej Michalak pewnie nie szukałby szczęścia pięćdziesiąt kilometrów za miastem. Zamiast ziemi Andrzej Michalak ma na czwartym piętrze retkińskiego bloku nieźle urządzone własnościowe mieszkanie, które zapewne przedstawia większą wartość niż tamto wymarzone ranczo. Żywą pamiątkę ze wsi stanowi tutaj ciemnobrązowy bokser, który na łańcuchu pilnował wiejskiego dobytku. Były dwa boksery, jeden nawet wylegiwał w lepszych czasach na leżaku, gdy gospodarze byli w zagrodzie, ale tego drugiego już nie ma. W mieszkaniu jest za to kotek...

Andrzej Michalak jest krępy, pogodny, elokwentny, nie tracący w ciężkich chwilach poczucia humoru. Nosi przydymione okulary w cienkiej oprawce, ma dwadzieścia osiem lat i bujną kasztanową brodę, która na wsi sięgała do pasa, lecz w mieście przeszkadzałaby mu w korzystaniu z komunikacji miejskiej, jakiś złośliwy kierowca lub motorniczy mógłby ją przyciąć drzwiami.

Żona Irena, także technik ogrodnik, jest szczupła, opanowana, o bladej cerze i ciemnych włosach nad wysokim czołem, spod którego patrzą z powagą szaroniebieskie oczy. Zameldowana na stałe w Łodzi, oficjalnie zatrudniona do dziś w pabianickim Zakładzie Kwiaciarsko-Doświadczalnym, korzysta z należnego jej urlopu wychowawczego, zajmując się dzieciakami — 3-letnią Madzią i 7-letnią Anią. Mąż opłaca składki emerytalne dla rolników, a żona nie dostaje kartek, tyle co po kilogramie mięsa na dziecko i skromny zasiłek na każde, podczas gdy w mieście jest na dziecko 7,5 tys. zł, a wszystko to z kaprysu tatusia, który chciał mieć ziemię.

— *Ale szczerze mówiąc, to decyzja była wspólna* — zastrzega się pani Irena. — *Ja też lubię ziemię i pracy się nie boję. Sęk w tym, że wystartowaliśmy z 40 tysiącami złotych i własnym samochodem. Gdyby nie pomoc finansowa mamy i babci, już na początku leżelibyśmy na obu łopatkach.*

A początek to był rok 1981. Andrzej Michalak pracował jako konserwator zieleni w parku. Czasy burzliwe, zaczęły się liczne reorganizacje, postanowił więc usamodzielnić się i przejść do rolnictwa. W okolicach Łodzi trudno było znaleźć tanie gospodarstwo. Ale w Poddębicach mieszkała rodzina, która wprawdzie nigdy nie miała ziemi, ale miała za to pewne rozeznanie w terenie. Andrzej Michalak zjeździł więc gminę Poddębice, aż trafił do wsi Leśnik nad Wartą. I tu właśnie zaczęła się jego przygoda ranczera.

5

Rys. Dariusz Romanowicz

Adres redakcji:
90-113 Łódź, ul. Henryka Sienkiewicza 3/5.
Telefony: redaktor naczelny 36-52-44,
sekretarz redakcji,
fotoreporter: 36-80-99,
publicyści: 36-77-70, 32-89-70.
Redaktor naczelny: Lucjusz Włodkowski.
Zastępca redaktora naczelnego: Edmund Lewandowski.
Sekretarz redakcji: Grażyna Olechnowicz.
Kierownik działu literackiego: Henryk Pustkowski.
Redaktor techniczny: Janusz Kozłowski.
Zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Andrzej Gębarowski, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska, Zofia Kędziora, Marek Koprowski, Mirosław Kuliś, Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Paweł Tomaszewski, Marian Zdrojewski.
Grafik: Janusz Szymański-Glanc.
Fotoreporter: Grzegorz Gałasiński.
Korekta: Mariola Knaga, Jolanta Sawiuk.
Stale współpracują: Tadeusz Błażejewski, Marek Brzeziński (Londyn), Bohdan Gadomski, Grzegorz Gazda, Andrzej Karolczak, Witold Kasperkiewicz, Andrzej Kempa, Wasyl Kocznow (Iwanowo), Włodzimierz Krzemiński, Bogumił A. Makowski, Zenon J. Michalski, Ryszard Nakonieczny, Adam Ochocki, Jerzy Panasewicz, Dariusz Romanowicz, Maciej Świerkocki

Ogłoszenia: Biuro Reklam i Ogłoszeń Łódź ul. Sienkiewicza 3/5 tel. 32 59 11

Organizacja reklamy: **Andrzej Bartosiewicz** tel. 36-80-99

Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada

Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa-Książka-Ruch" 91-103 Łódź ul. Sienkiewicza 3/5

DRUK: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa-Książka-Ruch". Łódź, ul. Armii Czerwonej 28

Redakcja nie zwraca nie zamówionych rękopisów i zastrzega sobie prawo do skrótów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada

Warunki prenumeraty: 1. Dla instytucji i zakładów pracy — zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach, w których znajdują się siedziby Oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch" zamawiają prenumeratę w tych oddziałach — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch", opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli. 2. Dla indywidualnych prenumeratorów — osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli, osoby fizyczne zamieszkałe w miastach — siedzibach Oddziałów RSW „Prasa Książka-Ruch" opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo-oddawczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora. Wpłaty dokonuje się używając blankietu „wpłaty" na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW „Prasa Książka-Ruch" 3. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 23 00 958 Warszawa, konto PKO BP XV Oddział w Warszawie nr 1658 201045 139-11. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy. Terminy przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę — do dnia 10 listopada na I kwartał i półrocze roku następnego oraz cały rok następny — do dnia 1 każdego miesiąca — poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego.

D-10.

Przegląd prasy

„Nasze czasy zostały dotknięte jak gdyby szczególnym typem zła, jakiejś przewrotności. Kazano bowiem mówić na to, co jest czarne, że jest białe; to co jest złe, nazywać dobrym, wyśmiewać cnotę, chwalić występki. Prawo nazywać bezprawiem, a bezprawie kazano szanować jako prawo. Kłamstwo nazwano dialektyką. Zbrodnię nazwano zabiegiem. Wyzysk i krzywdę ludzką nazwano sprytem, siłą przebicia..., i tyle innych sloganów, które jeszcze brzmią w naszych uszach. I jaki z tego rezultat?

Rezultat jest taki, że człowiek stał się moralną ruiną, że nie może sam siebie udźwignąć. Bo gdzie się dotknie, to się nie sprawdza. Co powie, to nie jest rozumiane. A więc doszliśmy do stanu wzajemnej nieufności. Do stanu, gdzie nie można już dotrzymać słowa, gdzie zaczyna brakować odpowiedzialności za swoje czyny, za postępowanie i to nie tylko poszczególnego człowieka, ale całych instytucji. Tak daleko poszło owo znieprawienie, że nazwano postępem działania, które okazały się straszliwym zacofaniem. Takim zacofaniem, że dziś człowiek, pracujący ponad siły, nie może zarobić na wyżywienie. Czy to jest normalne?"

Zacytowałem fragment kazania kardynała Józefa Glempa wygłoszonego w Bazylice Gnieźnieńskiej do wiernych najstarszej archidiecezji polskiej. Tekst opublikował „PRZEGLĄD KATOLICKI" (nr 9).

Przedstawiona 40 lat temu wizja przemian była szalenie atrakcyjna dla szerokich rzesz społeczeństwa polskiego. Ale ten wielki eksperyment socjologiczny nie mógł się udać — mówi w tygodniku „WPROST" (nr 9) doc. Mirosława Marody z Uniwersytetu Warszawskiego. Zmieniono bowiem zasady podstawowe, a zablokowano możliwości realizacji nowych zasad.

„Kilka lat temu w pewnych badaniach socjologicznych zadano ludziom pytanie: co ich zdaniem decyduje o powodzeniu w życiu? Okazało się, że tylko drobny procent osób uważa, że np. kwalifikacje, wiedza, zdolności, czy też dobrze wykonywana praca ma sens, jako sposób osiągania powodzenia. Szokujące natomiast jest to, że ponad 70 proc. ludzi uważa, iż zależy ono jedynie od szczęśliwego losu lub pomocy bożej! Dane te wskazują więc, że większość z nas uważa, że społeczne reguły, wyznaczające drogi życiowe, zostały zburzone. Nie ma więc zasad, których przestrzeganie gwarantuje realizację pewnych planów, nie ma więc możliwości tworzenia wizji własnej przyszłości. Wszystko jest bowiem loterią, grą przypadku. A jeśli jest tak, to po co podejmować wysiłek, po co dążyć do czegoś, jeśli nie wiadomo co się zmieni, jak i kiedy?"

Niektórzy kształtują swój los w ten sposób, że dają komu trzeba łapówki. O rozmiarach tego zjawiska informuje w tygodniku „RADA NARODOWA" (nr 5) Małgorzata Pomianowska. W grudniu ubiegłego roku Centrum Badania Opinii Społecznej zadało następujące pytanie: *„Czy opinie o braniu łapówek przez pracowników instytucji są uzasadnione?"* W ocenie dorosłej ludności Polski najgorzej wypadły placówki służby zdrowia. Cztery piąte ankietowanych (75,8 proc.) odpowiedziało twierdząco, 16,1 proc. przecząco, a 8,1 proc. nie miało zdania.

Na dalszych miejscach pod względem liczby twierdzących odpowiedzi znalazły się: spółdzielnie mieszkaniowe — 59,8 proc., placówki handlowe — 57,1 proc., terenowe organy administracji państwowej — 54,5 proc., punkty usługowe — 43,3 proc., ADM — 32,8 proc., PZU — 31,5 proc. Natomiast najwięcej odpowiedzi przeczących uzyskały: urzędy pocztowe — 67,0 proc., banki — 59,0 proc., ZUS — 47,5 proc., restauracje — 42,3 proc., PZU — 39,2 proc., punkty usługowe — 31,6 proc.

Małgorzata Pomianowska zwraca uwagę, że interpretacja pojęcia łapówki nie jest łatwa. Sąd Najwyższy uznał bowiem, że przyjmowanie przez lekarzy dowodów wdzięczności po zakończeniu leczenia nie jest łapówką. Orzeczenie to można by jednak odnieść również do nauczycieli i paru innych zawodów.

Zastępca komendanta głównego MO, gen. bryg. dr Zbigniew Nowicki powiedział „RZECZYPOSPOLITEJ" (nr 43), że nawet stateczni i wydawałoby się uczciwi obywatele traktują kradzieże, włamania, łapówki i malwersacje jako sposób dorobienia do niskich pensji. Przy czym zdecydowaną większość przestępstw popełnia się w kilku wielkich miastach.

W ciekawym artykule na łamach „NOWYCH DRÓG" (nr 12) prof. Napoleon Wolański podkreśla, że człowiek zbudował miasta dla swej wygody, ale nie zdążył biologicznie przystosować się do tego ekosystemu. Osiedla miejskie powstały dopiero 5 tys. lat temu. W dziejach gatunku ludzkiego jest to zaledwie 150—200 pokoleń. Życie w mieście nie sprzyja zdrowiu i dobremu samopoczuciu. Dlatego sukcesem jest dziś zamieszkanie poza miastem.

LUDZIE STALINA W POLSCE

Wszystkie czasopisma nadal roztrząsają problem stalinizmu. W wywiadzie udzielonym tygodnikowi „ARGUMENTY" (nr 9) dr hab. Aleksander Wachramiejew z Instytutu Ekonomiki Światowego Systemu Socjalistycznego mówi, że w 1947 roku przyjęto jeden model socjalizmu obowiązujący wszystkie państwa. Sygnałem był artykuł pt. *„O międzynarodowym znaczeniu doświadczeń Października"* opublikowany w piśmie „Bolszewik" (nr 18).

„Była to koncepcja Stalina, u którego lata nauki w seminarium duchownym wytworzyły dogmatyczny styl myślenia. To on polecił napisać ów artykuł. Od tego momentu rozpoczęła się realizacja jego tezy, robili to różni ludzie w różnych krajach, najczęściej w trosce o swoją karierę. W Polsce — Berman, Zawadzki, Minc, działający co prawda w polskim państwie, lecz nie mający zrozumienia i związków z polską kulturą, gdyż byli od niej oderwani, bo wielu z nich, jeśli nie wszyscy, podczas wojny mieszkało w Moskwie. Może również, jak i przywódcy innych państw, szczerze byli przekonani, że tak powinno być, że to jest słuszne?"

Z krótkiego artykułu Elżbiety Sawickiej w „TYGODNIKU KULTURALNYM" (nr 9) wynika, że niełatwo zrozumieć „Ich". Autorka dobrze znała Mincową, żonę Hilarego Minca. Pisze o niej następująco:

„Nie potrafię sobie do dziś odpowiedzieć na dwa pytania. Po pierwsze, w jaki sposób tak silna indywidualność zdołała się podporządkować bez reszty dyscyplinie partyjnej, i to od wczesnej młodości. Po drugie, jak to możliwe, aby osoba bez wątpienia inteligentna, wykształcona (studiowała na Sorbonie) i oczytana, pozostała dogmatyczką do ostatnich chwil swego życia. Bo tak właśnie było.

Jak to się wszystko zaczęło, chyba rozumiem. Jula, jak ją nazywano, nie była pierwszą dziewczyną, która poszła do komuny z zamożnego inteligenckiego żydowskiego domu (pochodziła z rodziny Haflichów). To była częsta i dość typowa droga, poświadczona w przekazach pamiętnikarskich i w literaturze pięknej — pisze o tym choćby Singer w «Spuściźnie». Poszła tą drogą także jej starsza siostra, Ewelina".

Julia Mincowa do końca życia była przekonana, że Teresę Torańską przysłał Urząd Bezpieczeństwa. Kiedy przeczytała książkę pt. „Oni", cieszyła się, że oszukała „bezpieczniaczkę". Wprowadziła ją w błąd. Nie rozmawiała z nią serio...

SPOŁECZNA BAZA STALINIZMU

Wspomniany wyżej Aleksander Wachramiejew wskazuje negatywne skutki międzynarodowe stalinizmu. Na polecenie Stalina komuniści niemieccy odrzucili propozycję wspólnego bloku wyborczego z socjaldemokratami. Ułatwiło to Hitlerowi dojście do władzy. Na modelu stalinowskim wzorowali się później Mao Tse-tung i Polpot.

„W swoim czasie ostro krytykowaliśmy ideę «Wielkiego Skoku» Chińczyków, ich «Rewolucję Kulturalną». Przeraziło nas masowe ludobójstwo w Kampuczy. Zastanówmy się, od kogo oni się tego nauczyli — Mao Tse-tung i Polpot? Gdzie zaczął się pierwszy «Wielki Skok» i zjawisko ludobójstwa? A o tym niestety nie pamiętaliśmy, dopiero teraz zaczynamy mówić prawdę. I to jeszcze daleko niepełną".

Nie można jednak winić Stalina i jego najbliższego otoczenia. Były bowiem w Związku Radzieckim określone warstwy społeczne, którym nie odpowiadała Nowa Polityka Ekonomiczna zainicjowana przez Włodzimierza Lenina.

„Niemała część bolszewików traktowała NEP jako przywracanie kapitalizmu i atak na ich własne ideały. A inni przeciw i ci rekrutowali się ze zdeklasowanych elementów, swoistych lumpów, którzy w takich warunkach nie zdołaliby zająć odpowiadającego ich ambicjom miejsca w życiu i tworzyli bazę stalinizmu, a nawet jego gwardię. Przeprowadzali przymusową kolektywizację, a wielu z nich brało udział w stosowaniu masowych represji. W sumie interesy całych grup społecznych były powiązane z dążeniami Stalina".

Zdaniem prof. Jerzego Topolskiego, genezy stalinizmu trzeba szukać już w okresie leninowskim. Rozwój sytuacji przewidziała w 1918 roku Róża Luksemburg. Ale praca *„O rewolucji rosyjskiej"* była bardzo niechętnie przyjmowana przez bolszewików. Dlaczego?

„Róża Luksemburg zarzuciła bolszewikom zniszczenie systemu parlamentarnego, niepotrzebny terror, przejmowanie władzy przez elitę partyjną i pozbawianie mas wpływu na sposób sprawowania władzy. Mówiła także o ograniczeniu wolności prasy i stowarzyszania się (...). Zresztą Lenin w ostatnim okresie życia zaczął sobie zdawać sprawę z różnych zagrożeń, na przykład ze skutków biurokratyzowania się partii. Stało się to jednak zbyt późno i od pewnych procesów odwrotu już nie było".

W dalszej części wywiadu dla tygodnika „PERSPEKTYWY" (nr 8) prof. Jerzy Topolski wskazuje również ateizm jako źródło stalinizmu. W społeczeństwie radzieckim miejsce religii zajął kult Lenina i Stalina, co przyczyniło się do zaniku krytycyzmu.

REWELACJE GISCARDA D'ESTAING

Na zakończenie sygnalizuję dwie ciekawostki o charakterze plotkarskim. Były prezydent Francji Valery Giscard d'Estaing, którego wspomnienia drukował „PRZEGLĄD TYGODNIOWY" (nr 8 i 9) ujawnił treść poufnych rozmów z Helmutem Schmidtem i Edwardem Gierkiem. Pierwszy zwierzył się, że jego ojciec był Żydem:

„Trzydzieści lat po holocauście przypadek czy los postawił na czele dwóch państw niemieckojęzycznych, Republiki Federalnej i Austrii, dwu szefów, których pochodzenie było żydowskie: Helmuta Schmidta i Bruna Kreisky'ego! Nagły wzlot skrywanej świadomości zbiorowej, czy objaw jakiejś siły wyższej, swoistego rewanżu pomordowanych?"

Z kolei Edward Gierek poinformował gościa francuskiego, że matka Leonida Breżniewa była Polką. Podobno przez telefon obaj przywódcy rozmawiali po polsku. Ale prezydent Francji nie mógł sprawdzić tej wiadomości.

W październiku 1976 r. Gierek powiedział w zaufaniu, że Breżniew wybrał Grigorija Romanowa jako swego następcę. A cztery lata później oznajmił, że sekretarz generalny KPZR zmienił plany. Jego następcą zostanie nie Romanow, lecz Konstantin Czernienko.

„Toteż gdy sukcesję po Breżniewie objął Andropow, wiedziałem, że w łonie systemu dokonał się jakiś konwulsyjny wstrząs i że normalny bieg sukcesji wyskoczył z utartego toru. Po krótkim prowizorium Czernienki, wszystko potoczyło się w początkowo przewidywanym kierunku".

Wybór Michaiła Gorbaczowa i odejście Grigorija Romanowa oznaczały początek procesu unowocześniania ZSRR.

E. L.

PYTAMY:

Jaki był miniony tydzień?

Prof. ZDZISŁAW HAŚ — dyrektor Instytutu Materiałoznawstwa i Technologii Metali Politechniki Łódzkiej:

— Chciałbym zacząć od ogólniejszej refleksji na temat tego, co w ostatnim czasie dzieje się w naszym kraju i co tak w minionym, jak i wcześniejszych tygodniach skupiało moją uwagę. Otóż uczy nas historia, że pozycja polityczna i gospodarcza państwa, efektywność rozwiązywania jego problemów wewnętrznych powiązana jest ściśle ze stopniem panującej w nim demokracji. Do wyjątków bowiem należą przypadki, gdy elity władzy same zdolne są wybrać rozwiązania optymalne. Na ogół dzieje się tak, że najlepsze rozwiązania danych problemów wybierane są spośród wielu rozmaitych propozycji zgłaszanych przez szerokie kręgi społeczeństwa. I właśnie po to, aby propozycje te mogły się „przebić", aby przed powzięciem decyzji można było wysłuchać wszystkich głosów, tak za, jak i przeciw, potrzebna jest demokracja.

Mówię o tym dlatego, iż wszystko wskazuje na to, że po wielu latach partia zrozumiała wreszcie tę zależność i rozpoczął się już proces wsłuchiwania się jej w głosy społeczeństwa. Cieszy więc, że będziemy mieć możliwość wybrania tego, co dla kraju najlepsze. Równocześnie smuci jednak, że strajki, które trwały także w ubiegłym tygodniu, utrudniają wprowadzanie w życie wielu niezbędnych dla właściwego funkcjonowania gospodarki koncepcji.

Za tym niekorzystnym zjawiskiem kryje się niewątpliwie nie rozwiązany wciąż do końca problem stosunku pracowników do własnego zakładu pracy, czyli — krócej mówiąc — sprawa własności. Jestem przekonany, iż strajki nie miałyby miejsca, gdyby robotnicy czuli się i byli rzeczywistymi współwłaścicielami fabryk. Bo przecież wówczas musieliby strajkować także i przeciw sobie!

Jeżeli chodzi o toczące się rozmowy „okrągłego stołu", to muszę przyznać, że moje podniecenie nimi wyraźnie opadło. Są to rozmowy trudne, lecz konieczne i jakkolwiek się zakończą, stanowią dla nas wszystkich swoistą szkołę demokracji oraz dają przedsmak tego, co dziać się będzie w Sejmie po zbliżających się wyborach. I już choćby z tego powodu należy je, moim zdaniem, oceniać bardzo pozytywnie. Natomiast to, które ze zgłaszanych tam propozycji są trafne, a które nie, okaże się dopiero po ich zakończeniu. Po prostu życie samo zweryfikuje przyjęte ustalenia.

Optymizm mój budzi także nowe podejście Rady Ministrów do problemu konsolidacji gospodarki narodowej. W ubiegłą sobotę już po raz drugi miałem przyjemność uczestniczyć w pracach powołanego przez wicepremiera Janusza Patorskiego zespołu doradców do spraw przemysłu, nauki i techniki. I muszę przyznać, że wyniosłem z nich pozytywne wrażenie. Zabierając głos w dyskusji, wskazywałem na konieczność wprowadzenia daleko idących zmian w mechanizmach regulujących współpracę nauki z przemysłem. Współpraca ta jest bowiem od dawna mało efektywna, co tym bardziej budzić musi zdziwienie, iż w obecnej sytuacji gospodarczej to właśnie nauka i technika stwarzają największe możliwości poprawy stanu rzeczy. Sądząc z nastawienia wicepremiera Patorskiego oraz innych członków zespołu, już wkrótce i w tej dziedzinie powinno być zdecydowanie lepiej.

Z wydarzeń minionego tygodnia chciałbym jeszcze zwrócić uwagę na podpisanie w Warszawie protokołu o dalszym rozwoju współpracy handlowo-gospodarczej i naukowo-technicznej między Polską a Ukraińską Socjalistyczną Republiką Radziecką. W naszym instytucie obiecujemy sobie po tym fakcie dużo, gdyż utrzymujemy bliskie kontakty z Instytutem Supertwardych Materiałów w Kijowie, a podobne zamierzamy nawiązać z Instytutem Chemii Powierzchni. Podpisany protokół powinien więc znacznie ułatwić nam bezpośrednią współpracę, która obu stronom przynieść może bardzo ciekawe wyniki.

PAWEŁ TOMASZEWSKI

P.S. Prawidłowa nazwa firmy, w której mój ubiegłotygodniowy rozmówca, Paweł Zawadzki jest wicedyrektorem, brzmi oczywiście Towarzystwo Handlu Zagranicznego Odzieżą „Confexim". Za pomyłkę serdecznie przepraszam.
BOGDA MADEJ

W najbliższych numerach „Odgłosów"

— Eva pobiegła wprost do kabiny. Duch ukrył się za otwartymi drzwiami do umywalni. Nie można go było dostrzec, ani kiedy ktoś wchodził, ani kiedy wychodził. Drzwi były bardzo szerokie, oddalone o pół metra od ściany. Gdyby go tam nakryto, wyszedłby na zboczeńca, podglądacza... Zaraz znalazłaby się policja. Ale może to i lepiej? Przynajmniej Mannix nie mógłby zrobić użytku z rewolweru. Tylko jak długo można ukrywać się w damskiej ubikacji? — pisze ANDRZEJ BRYCHT.

— W sklepie z wyrobami gumowymi przy ulicy Piotrkowskiej, w samym centrum miasta, nad którym pochylają się zwaliste mury Manhattanu, pewien człowiek kupił trzy pary żółtych rękawic i kiedy odszedł, został momentalnie zapomniany przez ekspedientkę. Ten sam człowiek nie rzucił się również w oczy cwaniakom sprzedającym niepewnego pochodzenia towary na targowisku u drogi, którą dojechać można do Brzezin — sensacyjna powieść ANDRZEJA MAKOWIECKIEGO.

— Lasy w północnym Kazachstanie stanowią przedmurze tajgi. Są to wielkie kompleksy drzew liściastych kryjące w swoich wnętrzach oczerety, mateczniki i niezliczone limany. My, chłopcy z 5 brygady, każdy z dwoma koszami wchodziliśmy do owych lasów. Należało wleźć na drzewo i z gniazda wybrać ptasie jaja. Ale trzeba było wiedzieć, które z nich są świeże i nadają się do jedzenia — wspomnienia EUGENIUSZA IWANICKIEGO.

— Co pomyślał sobie Mieczysław Słoma o Józefie Gwizdaku? Najdelikatniej mówiąc, pomyślał, że ten od samego początku wykorzystuje zajmowane stanowisko do załatwienia prywatnej sprawy i że jeśli tak samo postępują też inni, to długo w naszym kraju nie będzie dobrze. Mimo to, był początkowo dobrej myśli — reportaż PAWŁA TOMASZEWSKIEGO pt. „Między nami, naczelnikami".

— W imię niepojętych dla mnie racji w Polsce milczano na temat losu więźniów Kozielska, Starobielska i Ostaszkowa. I nastąpiło to, co musiało nastąpić. Śmierć tych 15 tys. ludzi znacznie silniej zaczęła ważyć na emocjach społeczeństwa niż śmierć 6 mln pomordowanych przez hitlerowców — artykuł ANDRZEJA WILCZKOWSKIEGO.

— Wybraliśmy drogę, która okazała się tak wyboista, że chyba warto zboczyć z kursu szukając lepszych rozwiązań. Ale co dalej? Najlepiej byłoby stwierdzić, że Bóg raczy wiedzieć. Trudno dziś przesądzić, jakie będą efekty rozmów przy „okrągłym stole" — pisze ZENON JANUSZ MICHALSKI.

Dlaczego tak mało łodzian było na obradach w Warszawie?

W poszukiwaniu minimum ładu ideologicznego

GRZEGORZ MATUSZAK

Przez trzy dni, na początku lutego 1989 r., przedstawiciele intelektualnej i politycznej elity partii oraz zaproszeni bezpartyjni uczeni dyskutowali nad poszukiwaniem, jak to określił Marian Orzechowski, główny organizator Konferencji, *„minimum ładu ideologicznego"* który powinien być teoretycznym uzasadnieniem dla dokonujących się przewartościowań politycznych.

Chcę ograniczyć się w swoich „na gorąco" spisanych wrażeniach do zwrócenia uwagi na niektóre nowe myśli i opinie, poglądy i propozycje wypowiedziane w czasie Konferencji. Jeśli przy tym wziąć pod uwagę, że miejscem ich wyrażania był gmach Komitetu Centralnego PZPR, w którym przez ponad trzy dziesiątki lat wielokrotnie padały anatemy na partyjnych i bezpartyjnych intelektualistów myślących inaczej niż dekretowały to kolejne elity władzy, to niewątpliwie fakt ten jest swoistym signum temporis i optymistycznym symptomem dokonujących się zmian.

Trudno odpowiedzieć, czy udało się uzyskać owo wspomniane już *„minimum ideologiczne"*, bowiem Konferencja nie podejmowała żadnych uchwał czy inaczej wyrażanych rozstrzygnięć. Była natomiast dowodem ożywienia intelektualnego, poszukiwań, stawiania pytań oraz proponowania odpowiedzi na temat funkcjonowania partii i gospodarki, zasad demokracji w Polsce i kształtowania się społeczeństwa obywatelskiego, świadomości społecznej oraz miejsca Polski we współczesnym świecie.

JAKI SOCJALIZM?

Jedną z podstawowych kwestii podjętych na Konferencji był problem, który jeden z referentów nazwał smutnym paradoksem, że socjalizm, wychodząc z marksowskiego programu całkowitego wyzwolenia człowieka, ugrzązł w praktyce prowadzącej do czegoś wręcz przeciwnego. W konkluzji takiego ujęcia zagadnienia została wyrażona następująca konstatacja: *„trudno odeprzeć zarzut teoretyków z kręgu tzw. neomarksistów czy nowej lewicy, iż rzeczywistość realnie istniejących krajów socjalistycznych na miano socjalizmu faktycznie nie zasługuje, albowiem sposób, w jaki w tych krajach skodyfikowano teorię marksizmu-leninizmu, z autentyczną nauką Marksa i jego wizją socjalizmu niewiele miał wspólnego"* (Władysław Markiewicz).

W wielu wypowiedziach pojawiał się wątek koniecznej reinterpretacji marksizmu, jako warunku jego odrodzenia, ponownego odczytania klasyków i odejścia od postrzegania socjalizmu w kategoriach stalinowskich. Wręcz podkreślano, że partia musi oczyścić się z krępujących doktryn (Kazimierz Jaskot), w tym dokonać także przewartościowania dorobku Lenina. *„Stalinowski wariant społeczeństwa i gospodarki opierał się i utrwalał nie tylko na podstawie terroru i przemocy, lecz również upaństwowienia pieomal wszystkiego"* (Leszek Gilejko), a zatem redefinicja socjalizmu jest szansą przezwyciężenia kryzysogennych właściwości dotychczasowego modelu tego ustroju (Zdzisław Cackowski).

Władysław Loranc w swoim błyskotliwie oratorskim wystąpieniu wręcz stwierdził, że bez rozrachunku ze stalinizmem partia nie odbuduje swej pozycji, ale jak gdyby nazbyt łatwo uznał, że stalinizm był nieunikniona koniecznością w kształtowaniu się formacji socjalistycznej. W tym kontekście interesująco zabrzmiała teza, że *„rewolucje socjalistyczne, podobnie jak i uprzednie, mają zarówno tendencje barbarzyńskie — totalnego negowania i niszczenia wszystkiego z obalanych form ustrojowych, jak i cywilizowane — selektywnego adaptowania tego, co trwale użyteczne, czyli rozwoju kojarzącego innowacje z kontynuacją"* (Mariusz Gulczyński). Czy zatem to, co dotychczas nazywaliśmy socjalizmem było tylko barbarzyńskim okresem, na miano socjalizmu nie zasługującym? W dyskusji kwestia ta nie została jednoznacznie rozstrzygnięta.

Godne odnotowania są poglądy, wypowiedziane przez Ryszarda Wojnę, który wyraził przekonanie, że jeśli ustrój nie spełnia aspiracji cywilizacyjnych społeczeństwa — sam deprecjonuje swój sens i wartość. Kapitalizm i socjalizm wzajemnie na siebie oddziałują, między innymi w zakresie podstawowych wartości humanistycznych: wolności, równości, demokracji. Właśnie te wartości dają szansę wyjścia poza ramy egoizmu ustrojowego i dyktują konieczność przewartościowania dotychczasowego stosunku do socjalistów, socjaldemokratów i komunistów zachodnioeuropejskich oraz tzw. lewicy ekologicznej.

W tym nurcie myślenia należy ulokować także pogląd o konieczności poddania rewizji sprawy traktowania miejsca PPS w tradycji PZPR oraz konstatację, że *„byłoby wielkim zubożeniem naszego historycznego dorobku, gdybyśmy pomijali całą ogromną w swym zakresie pracę organiczną nurtu reformistycznego"* (Henryk Jabłoński).

Można, jak sądzę, wyrazić przekonanie, że dotychczasowe, jednowymiarowe widzenie socjalizmu w dyskusji na Konferencji poszerzone zostało o nowe aspekty tego zagadnienia. Pojawiły się także, wprawdzie ostrożne i wyważone, próby obrony modelu realnego socjalizmu, ujmowanego w normatywnych sformułowaniach podręcznikowych, ale dominujący był wątek poszukiwania nowych sposobów widzenia tego ustroju oraz gotowość przynajmniej selektywnego inkorporowania dorobku szeroko pojmowanej lewicy, nie tylko komunistycznej.

Używając pewnego skrótu myślowego trzeba powiedzieć, że na Konferencji ujawnił się zmierzch dotychczasowego zawłaszczania socjalizmu przez tylko jedną ideologię, która sama sobie, w sposób arbitralny przyznała patent na nieomylność. Okazało się, że socjalizm nie jedno może mieć imię i że wiodą do niego różne drogi. Podsumowaniem tego może być choćby opinia, że *„procesy społeczne mające miejsce w świecie socjalistycznym przybrały charakter przesilenia formacyjnego. Idzie zatem nie tylko o kierunek rozwoju, lecz także o cele społeczne socjalizmu, ich rozumienie i strukturalne sposoby ich osiągania"*. (Artur Bodnar).

JAKA PARTIA?

Diagnoza, że Polska Zjednoczona Partia Robotnicza przeżywa obecnie poważny kryzys była przyjęta w zasadzie bez zastrzeżeń. Tak samo opinia, że kryzys ten dotyczy w równej mierze stosunków partii z otoczeniem zewnętrznym, jak i sytuacji wewnątrz partii. Przejawia się on w trzech podstawowych płaszczyznach: ideologicznej (pomieszanie wartości ideologicznych z doraźnymi celami politycznymi i gospodarczymi, a zasad ideowych z organizatorskimi), politycznej (partia zatraca swą zdolność do przewodzenia utrzymując zaledwie kierowniczą rolę wobec organów państwa) i organizacyjnej (niska mobilność wewnętrzna partii, formalizm w działaniu, alienacja poszczególnych ludzi i ogniw partii). Jako strukturalną tego przyczynę wskazano fakt, iż *„niemal w całym 40-leciu nie nadążaliśmy jako partia z niezbędnymi przemianami wewnętrznymi stosownie do zmieniających się warunków lub przemian tych w ogóle nie podejmowaliśmy, zasłaniając się doktryną partii"* (Artur Bodnar).

W świetle tej opinii należy zweryfikować dość powszechne w PZPR przekonanie, że zawsze były dobre programy i uchwały, a tylko zawodziła ich realizacja. Tymczasem konsekwencją stalinowskiej doktryny były sprzeczności między koncepcją przewodniej roli partii a demokratycznymi potrzebami i aspiracjami społeczeństwa, scentralizowaną i zhierarchizowaną strukturą partii a deklarowanymi zasadami demokracji i samorządności, zasadą pozornej jedności uzyskiwanej przez aklamację a naturalnym dążeniem do ujawniania i konfrontacji poglądów, stosowanymi metodami bezpośredniego sterowania życiem społecznym i politycznym a kształtującymi się nowymi regułami i organizacjami, które wymykały się spod kontroli partii.

„Aby przezwyciężyć pozostałości stalinizmu, wyzbyć się trzeba — jak ujął to cytowany już A. Bodnar — *dogmatyzmu w teorii, woluntaryzmu w polityce i sekciarskiego biurokratyzmu w organizatorskiej pracy partii. Rozstać się z* „marksizmem modlitewnym" *i społecznie pustymi pojęciami. Z życzeniowym myśleniem i rewolucyjnym romantyzmem w kształtowaniu socjalizmu"*. Z tym wiąże się potrzeba określenia na nowo sił społecznych, których racje, interesy i cele będzie partia reprezentowała. Dotychczasowe ideologiczne rozumienie klasy robotniczej, traktowanej jako monolit społeczny jest anachroniczne, tym bardziej, że taka monolitycznie czywistości nie istniała.

Wiele krytycznej uwagi pośrozumiana klasa nigdy w rzewięcono strukturom i mechanizmom działania partii. Szczególnie interesujące było wystąpienie Sławomira Wiatra, który w imieniu grupy ośmiu młodych przedstawicieli warszawskiego środowiska akademickiego, przedstawił zarys jak gdyby nowej filozofii władzy w Polsce i nowej roli PZPR, jaką powinna ona odgrywać w warunkach kształtowania się w Polsce społeczeństwa obywatelskiego.

Uznali oni, że fakt jej obecności władczej we wszystkich sferach życia społecznego prowadzi do swoistej „samodegeneracji" partii, to znaczy powstania monopolu iluzorycznej kontroli nad wszystkimi sferami życia i uczynienia z nich obszarów politycznych, choć w rzeczywistości takimi one nie są i z polityką nie mają związku. Towarzyszy temu strategia minimalizacji ryzyka, czyli chodzenie dawno wydeptanymi ścieżkami, brak koncepcji co do sposobu i struktury instytucjonalnej sprawowania władzy, brak przygotowania aktywu i aparatu partyjnego do działania z legitymacją osobistej odpowiedzialności. Dodatkową okolicznością jest brak jasnego stanowiska wobec tej części społecznej bazy partii, która jest hamulcem modernizacji gospodarki (między innymi robotnicy tradycyjnych, kluczowych działów polskiej gospodarki — przemysłu wydobywczego, metalurgicznego, okrętowego, taboru kolejowego itd.).

Jednocześnie procesy społeczne, których nie da się odgórnie reglamentować i stopniować stają się w oczach partii, wielu jej gremiów kierowniczych, żywiołem, który podważa istniejący ład instytucjonalny. A zatem stają się czymś wrogim, obcym, przeszkadzającym i stąd wywodzi się wielokrotnie obserwowane zaniechanie lub spóźnialstwo polityczne oraz podejmowanie działań, o których konieczności przekonani są wszyscy z wyjątkiem decydentów politycznych.

Tymczasem *„społeczeństwo obywatelskie nie jest abstrakcją i ta siła polityczna, która stworzy mu warunki do rozwoju, osiągnie sukces polityczny. Dlatego też partię jako organizację polityczną musi być stać na dwojaki wysiłek. Pierwszy — ideologiczny polegać musi na kreacji ideologii obywatelstwa, z której wypływać będą zasadnicze wartości nowej filozofii władzy. I drugi — polityczny — będący taką przebudową struktur i sposobu działania partii, by istotą jej wysiłków politycznych było tworzenie wielostronnych warunków aktywności społeczeństwa i niemożliwe stało się odtworzenie filozofii reglamentacji żywiołu społecznego"* (S. Wiatr). Inaczej mówiąc partia powinna opracować system aksjologiczno-ideologiczny społeczeństwa obywatelskiego w socjalizmie oraz wyposażyć go w stosowne instrumentarium polityczne, zaś dotychczasowe rozwiązania uznać za wyeksploatowane ponad miarę społecznej akceptacji.

Warto wśród nowych jakościowo ujęć teoretycznych zwrócić uwagę na kwestię, którą podnoszący ją uczestnicy Konferencji ostrożnie uznali jako dylemat i problem do dalszej dyskusji. Dotyczy ona ideologii i rozstrzygnięcia: *„czy poszukujemy nowych form i sposobów osiągania socjalistycznych ideałów nie oglądając się jakby na dorobek historyczny i cywilizacji współczesnej, czy też decydujemy się na model z pozoru konwergencyjny, gdy do ideałów tych będziemy dążyć drogą krytycznych „zapożyczeń" sposobów, mechanizmów i form ustrojowych zewsząd, również z kapitalizmu, pod warunkiem, że sprzyjają one osiąganiu społecznych celów naszego ustroju. Przed partią otwiera się też droga ku socjaldemokratyzacji — tak co do jej obecnej bazy społecznej, jak i metod sprawowania władzy oraz jej struktury wewnętrznej"* (A. Bodnar, K. Janik).

SŁOWA ZOSTAŁY WYPOWIEDZIANE

Jednakże słowa nie wystarczą, za nimi muszą pójść czyny i nowe rozwiązania w sferze polityki, gospodarki i sposobów oddziaływania na świadomość społeczną. Bez tych słów, bez porządkującej myśli teoretycznej, nawet jeśli nie ma ona jeszcze swego ostatecznego kształtu, nie można działać praktycznie, bowiem będą to działania w najlepszym wypadku intuicyjne, skażone subiektywizmem. Źle jednak będzie jeśli wszystko ograniczy się tylko do słów i nawet najbardziej wyrafinowanych koncepcji intelektualnych. Negatywne doświadczenia z nieodległej przeszłości aż nadto potwierdzają słuszność tak sformułowanej opinii.

Konferencja dała dowód, że partię, jej intelektualistów stać na daleko idące przemyślenia i przewartościowania. Najbliższy czas pokaże również czy będzie ją stać, jej kierownictwo i aktywnych członków na kreowanie nowego porządku politycznego i społecznego. Mimo naturalnego w czasach znaczących przemian zwątpienia i zagubienia ludzi, którym dotychczasowy porządek świata zawalił się. Mimo oporów i protestów tych, którzy nie rozumieją lub nie chcą zrozumieć potrzeby poszukiwania nowych sposobów działania partii, zjednujących jej społeczną aprobatę i nowych sposobów organizowania życia zbiorowego, potrzeby nowego kształtu socjalizmu.

Na koniec uwaga pro domo sua — zdziwienie budziła bardzo skromna reprezentacja łódzkich intelektualistów partyjnych na Ogólnopolskiej Konferencji Teoretyczno-Ideologicznej. Dość wspomnieć, że trzeciego dnia jedynymi łodzianami uczestniczącymi w obradach Konferencji byli: członkowie Komitetu Centralnego Marek Bartosik i Ryszard Brodowicz, sekretarz Komitetu Łódzkiego Jan Nosko, dziennikarz „Głosu Robotniczego" Zdzisław Strzępek oraz autor niniejszych uwag. Jakie względy zadecydowały o tym, że łódzkich uczonych, mających poważny dorobek teoretyczny w zakresie problemów, którymi zajmowała się Konferencja nie zaproszono na jej obrady? Wprawdzie kilkanaście osób uczestniczyło w pracach zespołów problemowych, ale jest to o wiele poniżej możliwości aktywnego uczestnictwa w Konferencji łódzkiego środowiska intelektualnego. Czyżby znów zadecydował stereotyp, że w Łodzi są tylko tkaczki i prządki? Kto odpowiada za utrwalanie tego fatalnego dla naszego miasta stereotypu? A może zabrakło zrozumienia dla potrzeby udziału łodzian w poszukiwaniu „minimum ładu ideologicznego" i zaznaczenia swej aktywności w dokonujących się w partii przemianach? Stawiając te pytania bardzo pragnę, aby nie były to wyłącznie pytania retoryczne.

Z tej ziemi

Nieustanny festiwal przywilejów

Obserwuję rosnącą obojętność na przetaczającą się przez Polskę falę strajkową. Strajki, których uczestnicy domagają się dopłacenia im do płacy 30 000 złotych, stały się zjawiskiem powszechnym. Nikogo już nie bulwersują, nie porażają i nie przerażają. Stały się wewnętrznymi sprawami poszczególnych dziedzin naszej gospodarki i życia społecznego, poszczególnych przedsiębiorstw lub fabryk. Strajków nie pochwalam — można powiedzieć — przeciwnie. Nie podzielam poglądu, że wywołują je złośliwi działacze nielegalnej „Solidarności" bądz legalnych związków spod znaku OPZZ. Niepokoją mnie natomiast rzeczywiste przyczyny, jakie leżą u podstaw tych strajków, a które wielu działaczy gospodarczych zdaje się lekceważy.

Podobnie jak Andrzej Feliks Grabski, który mówił o tym podczas Łódzkiej Konferencji Sprawozdawczej PZPR, uważam, że owo niemal powszechne żądanie dopłacenia do płacy 30 000 złotych jest swoistym protestem przeciw irracjonalnemu systemowi płac nękającemu gospodarkę polską od wielu lat. Dodawanie wszystkim po równo utwierdza jedynie ów irracjonalny system, pogłębia go, umacnia. Jest działaniem szkodliwym. Płaca powinna być ściśle związana z pracą, ale nie jest i choć mówi się o tym i pisze od lat, nie ma w Polsce nikogo tak silnego, kto miałby odwagę naruszyć dotychczasowe przywileje utrwalone w irracjonalnym systemie płac!

Adam Junka — dyrektor „Dywilanu" w Łodzi — na wspomnianej Konferencji powiedział, że przemysł lekki nie jest „inflacjogenny". A jak ma rodzić inflację, skoro średnia płaca w przemyśle lekkim, w tym we włókiennictwie, wynosi około 50 procent wysokiej średniej płacy w górnictwie i energetyce. A górnicy i tak są niezadowoleni. Cóż dopiero mówić o pracownikach przemysłu lekkiego z nazwy oczywiście?

Często słyszę, jak dyrektorzy różnych przedsiębiorstw skarżą się, że im firmy polonijne i z kapitałem zagranicznym podkupują ludzi. Swego czasu wielu ludzi było wstrząśniętych ogłoszeniem o poszukiwaniu sekretarki, której obok wysokiej płacy oferowano wczasy na Majorce na koszt firmy. Ale zadałem sobie trud i poczytałem ogłoszenia krajowych i państwowych firm, które też poszukują pracowników. Przedsiębiorstwa te *„zatrudnią od zaraz"*, *„pilnie zatrudnią"* ludzi z wyższym wykształceniem i praktyką, specjalistów ze średnim wykształceniem, bez wykształcenia i tak dalej. Lista zawodów jest bogata: od wicedyrektora po sprzątaczkę. I każdy coś oferuje, czymś chce przekupić człowieka poszukującego pracy. A tych jakoś nie widać.

Trwa licytacja wspaniałości. Firma „Kiminterkim" — przedsiębiorstwo zagraniczne w Polsce oferuje w „Życiu Warszawy" *„bardzo wysokie płace plus premie eksportowe"*. W tym samym „Życiu Warszawy" Przedsiębiorstwo Budownictwa Ogólnego „Dźwigar" oferuje *„atrakcyjne wynagrodzenie wg zakładowego systemu wynagradzania"*. Z tej licytacji widać wyraźnie, że przemysł państwowy jest mocno skrępowany różnego rodzaju ograniczeniami, ale walczy, szuka, proponuje. FWP Centralne Biuro Informacji i Sprzedaży w Warszawie potrzebuje pracowników do działu księgowości Wiele dać nie może, ale przynajmniej zapewnia, że posiada *„na miejscu bufet, stołówkę i ambulatorium oraz zapewnia korzystne warunki socjalno-bytowe"*. „Dźwigar" oferuje *„hotele pracownicze dla pracowników zamiejscowych"*, a „Kiminterkim" — *„dowóz autobusami zakładowymi z okolic Warszawy"* i *„ekwiwalent mieszkaniowy dla osób zamiejscowych"*. I tak trwa ta licytacja. „Budoxpol" mami *„przywilejami wynikającymi z Karty Pracowników Budownictwa"*, Zakład Poszukiwania Nafty i Gazu w Wołominie *„przywilejami wynikającymi z Karty Górnika"* i tym, że *„zakład zapewnia mieszkania rodzinne"*. Mógłbym tak wyliczać i wyliczać, bo ogłoszeń tego typu pełno w każdej gazecie.

Gdyby czytać tylko ogłoszenia o poszukiwaniu pracowników — to można byłoby wyrobić sobie całkowicie fałszywy pogląd, że Polska jest rajem dla ludzi przedsiębiorczych, dobrych fachowców, specjalistów, wszelkiego rodzaju „złotych rączek", o których biją się wręcz przedsiębiorstwa. Gdyby poczytać tylko informacje o strajkach, to można byłoby dojść do wniosku, że Polska jest piekłem dla ludzi pracy, którzy są źle opłacani, gnębieni przez administrację gospodarczą, wyzyskiwani i oszukiwani. Ludzie ci muszą poprzez strajki podejmować walkę o swoje robotnicze prawa. Ale jeśli poczyta się i ogłoszenia, i wiadomości o strajkach, i wiele innych, to można ręce opuścić w geście całkowitej rezygnacji i bezradności. Można szczerze przyznać się: — *nic już z tego nie rozumiem!*

No, bo jak to jest? Z jednej strony źle są opłacani pracownicy służby zdrowia, nauczyciele, pracownicy kultury i innych dziedzin, które swoje fundusze płac czerpią z budżetu państwowego, a ten stale jest pustawy, ale i wielu przedsiębiorstw, które fundusze płac same sobie wypracowują. A z drugiej strony gazety pełne są wezwań do pracy i ofert przyjęcia różnych przywilejów. W wyniku tego powstała taka sytuacja i jest utrwalana, kiedy sprzątaczka zarabia więcej od nauczyciela, a wielu ludzi z dyplomami i dużą wiedzą pochowało dyplomy i albo poszło handlować ciuchami, albo udaje robotników. Panuje bowiem u nas nieustannie kult mięśni i łopaty, a nie kult mózgu i wiedzy.

Był w Łodzi sobie Mieczysław Kaczmarek, który śpiewał w chórze Teatru Wielkiego a później Filharmonii i konstruował różnego rodzaju niekonwencjonalne rowery. Pisał o nim w „Odgłosach" Dariusz Dorożyński. Próbował Mieczysław Kaczmarek zainteresować swoimi konstrukcjami bydgoski „Romet", ale go tam... zlekceważono, żeby nie powiedzieć, że wyśmiano. Ostatnio przysłał list z... RFN. Widać tam potraktowano go poważnie i zainteresowano się jego konstrukcjami. Historia powtarza się: mogliśmy mieć znakomite konstrukcje magnetofonów, mają je inni, mogliśmy mieć tyle innych rzeczy, mają je inni. Być może niedługo świat zadziwią rowery Mieczysława Kaczmarka produkowane w RFN Czy nie mogły powstawać w Polsce?

Jeśli mamy uratować naszą gospodarkę, to ludzie fachowi, specjaliści, dobrzy organizatorzy muszą otrzymać maksimum swobody działania. Trzeba zdjąć liczne ograniczenia, które nieustannie na gospodarkę nakłada centrum. Trzeba zreformować, albo po prostu stworzyć racjonalny system podatkowy, który hamowałby nadmiar pieniędzy wypływających na rynek, ale nie hamował inicjatywy, nie powodował, że opłaca się nic nie robić i dostać swoje, zamiast wysilić się, pokazać, co się umie i dobrze zarobić. Ograniczanie wszelakiej inicjatywy powoduje to, że ludzie poprzez strajki zaczynają domagać się dopłat do płacy i wymuszają je, co nie hamuje wypływu pieniędzy na rynek. Powstaje błędne koło. Wymusza się wyższe płace, rosną zatem gwałtownie ceny, znów nastąpi wymuszanie płac, znów wzrosną ceny i dojdziemy do hiperinflacji, do której zresztą — jak utrzymują niektórzy — już nie jest daleko.

Wielokrotnie podejmowano u nas problem nadmiernego zatrudnienia, szukając go jedynie w administracji. Atestacja miała dać wiele i przyczynić się do racjonalizacji zatrudnienia. Dała bardzo mało, żeby nie powiedzieć nic. Wiele fabryk pracuje na 60 procent swoich możliwości i nadal brakuje im ludzi. A może wcale nie brakuje, tylko zwolnić jest trudno, bo związki zawodowe, bo organizacja partyjna, bo znajomi i krewni, bo układy. A może byłoby jednak lepiej, gdyby dobrych zastąpili lepsi, a przez to dobrzy też się podciągnęli. A może byłoby dużo lepiej, gdyby płaciło się złym zapomogi, a do pracy poszliby ci dobrzy i lepsi. I gdyby przede wszystkim szanowano mózg i myśl.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

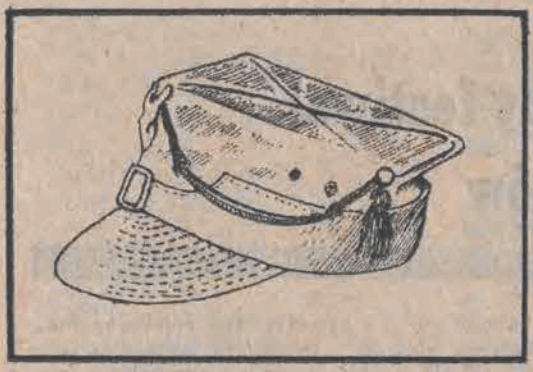

Rys. Janusz Szymański-Glanc

Powstanie Pomnik Chwały Żołnierzy Armii „Łódź", warto więc wiedzieć, co to była Armia „Łódź", z jakich składała się jednostek, jak i gdzie walczyła?

Piechota, ta szara piechota

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Tak było w piosence. W rzeczywistości polska piechota od dawna już nosiła zielone mundury zarówno zimą, jak i latem. Nie była to piechota zmotoryzowana i w marszu przemierzała polskie drogi. Mogła więc być szara od kurzu. I to by się zgadzało ze słowami piosenki o piechocie. Piechota i kawaleria były podstawą sformowanych w marcu 1939 roku armii, które rozpoczęły plasowanie się na wyznaczonych sobie pozycjach.

Piękne, upalne i suche było lato 1939 roku. Generał Juliusz Rómmel w swoich pamiętnikach „O Honor i Ojczyznę" wspomina, że Warta *„z powodu suchego lata stała się tak płytka, że nie stanowiła żadnej przeszkody. Jej piaszczyste dno dawało możność przeprawy taborów, artylerii, samochodów i nawet czołgów. Brzegi prawie wszędzie były łagodne i suche".*

Istniał zakaz Sztabu Generalnego przygotowywania obrony, kopania okopów i tworzenia przeszkód dla przeciwnika. Generał Juliusz Rómmel i jego oficerowie mogli natomiast spokojnie obserwować, co działo się po drugiej stronie granicy.

„*Wszędzie* — pisze Juliusz Rómmel w swojej książce — *wzdłuż całej granicy, trwały gorączkowe przygotowania. Kopano rowy przeciwczołgowe, budowano schrony betonowe i stawiano płoty z drutu kolczastego. Codziennie przychodziły z pobliskich lasów robocze oddziały, ubrane w jasne drelichy, które prowadziły na przedpolu roboty, mające na celu osłonę koncentracji wojsk niemieckich. Wywiad nasz dość regularnie dawał znać o przybywaniu coraz to nowych oddziałów".*

Gen. Juliusz Rómmel rozumiał znaczenie tej koncentracji i wbrew zakazowi rozpoczął przygotowania obronne: kopano rowy, poczyniono zalewy na Warcie i Widawce, rąbano lasy.

„*Zjawiskiem charakterystycznym* — pisze — *było to, że miejscowa ludność przyjmowała te roboty bez szemrania, chociaż wykonywane były kosztem poszczególnych gospodarzy. Nie tylko nie było żadnych skarg, lecz odwrotnie, otrzymywaliśmy wszędzie pomoc w postaci rąk roboczych i podwód".*

W sztabie Armii „Łódź" był podpułkownik Stefan Langner, który zajął się organizacją prac saperskich i którego dowódca Armii „Łódź" bardzo chwalił. Pplk Stefan Langner mógł się oprzeć przede wszystkim na żołnierzach 10 Dywizji Piechoty, której dowództwo mieściło się w Łodzi. Dywizją tą dowodził gen. bryg. Franciszek Dindorf-Ankowicz.

Pułki 10 Dywizji Piechoty

stacjonowały w większości na terenie Okręgu Korpusu IV Łódź. Dowódcą tego Okręgu Korpusu był gen. bryg. Wiktor Thommee. Był to oficer związany z gen. Lucjanem Żeligowskim i przebył razem z nim drogę od Kubania do Polski. Walczył w kampanii 1919—1920. Później dowodził 15 DP, był dowódcą Okręgu Korpusu Toruń i przed wojną stał na czele OK IV Łódź. Podczas przygotowań do wojny gen. Juliusz Rómmel — widząc słabość obrony swoich wojsk w rejonie Piotrkowa Trybunalskiego — Częstochowy — powierzył gen. Wiktorowi Thommee dowodzenie Grupą Operacyjną „Piotrków", w skład której weszła 30 DP i Wołyńska Brygada Kawalerii oraz 7 batalion ckm i 2 dywizjon 4 pułku artylerii ciężkiej (pac).

Pułki 10 DP — jak już wspomniałem — rozlokowane były w rejonie przyszłych działań Armii „Łódź":

— 28 pułk Strzelców Kaniowskich stacjonował w Łodzi,

— 30 pułk Strzelców Kaniowskich stacjonował poza terenem działania Armii „Łódź" — w Warszawie,

— 1 batalion 31 pułku Strzelców Kaniowskich stacjonował w Łodzi,

— pozostałe bataliony 31 pułku Strzelców Kaniowskich stacjonowały w Sieradzu,

— w Sieradzu stacjonował też 10 batalion saperów,

— w Łodzi natomiast 10 Kaniowski pułk artylerii lekkiej (pal).

W skład 10 DP wchodziły ponadto: 10 dywizjon artylerii ciężkiej (dac), 10 batalion artylerii przeciwlotniczej, kompanie: telefonistów i kolarzy, kawaleria dywizyjna, 42 kompania ckm na taczankach, 4 batalion strzelców oraz bataliony Obrony Narodowej „Kępno" i „Ostrzeszów".

W drugiej połowie 1936 roku podjęto decyzję powołania batalionów Obrony Narodowej. Pierwsze bataliony powstały na początku 1937 roku, składały się z dwu kompanii strzeleckich po 60—80 żołnierzy oraz kompanii ckm liczącej 60 ludzi. Do batalionów ON brano rezerwistów lub przedpoborowych. Żołnierze ON nosili mundury polowe piechoty z metalowym orłem na polowych rogatywkach. Żołnierze piechoty mieli orły haftowane. W 1938 roku wprowadzono sznury biało-czerwone z pomponem, które przypinało się do czapki pod orłem i na lewym rogu czapki, z którego zwisał pompon. Uzbrajani byli w stare typy karabinów.

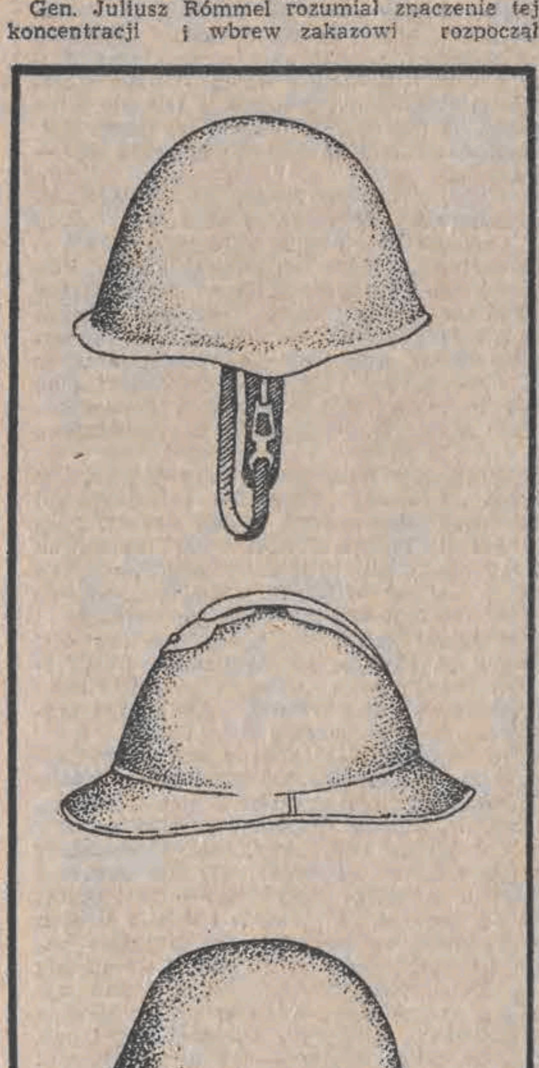

Formująca się armia polska była bardzo różnorodnie uzbrojona

Wystarczy tylko powiedzieć, że posługiwano się karabinami produkcji niemieckiej, rosyjskiej, austriackiej, francuskiej, angielskiej, włoskiej, a nawet japońskiej. W 1923 roku rozpoczęto budowę w Warszawie Państwowej Fabryki Karabinów. Po jej wybudowaniu przystąpiono do ujednolicania uzbrojenia. Rozpoczęto produkcję polskiego karabinu typu Mauser wzór z 1898 roku. Przez pewien czas produkowano krótkie karabiny bojowe (kbk) wzór 1929 ale poniechano tej produkcji i powrócono do produkcji Mauserów wz. 98 a — był to ulepszony karabin poprzednio już produkowany. Miał on kaliber 7,92 mm.

Przed wojną w wojsku polskim można było spotkać: przede wszystkim karabiny Mauser wz. 98, karabinki Mauser wz. 98, wz. 29 oraz karabinki Mosin — rosyjskie przerobione na kaliber 7,92 — wzór 1891 — kolejno ulepszane według wzorów z 1898 i 1925. Było w użyciu kilkaset karabinów samopowtarzalnych produkcji polskiej: kb sp. M wz. 38. Poza tym 50 pistoletów maszynowych kaliber 9 mm Mors 1939. Były też rewelacyjne karabiny przeciwpancerne wz. 35 (Ur 1935), kaliber 7,92 mm.

„*Była to* — piszą Eugeniusz Kozłowski i Mieczysław Wrzosek w książce „Historia oręża polskiego 1795—1939" — *broń na ówczas rewelacyjna, nie znana w innych armiach poza niemiecką. Walorami bojowymi górował nad swoim odpowiednikiem niemieckim, ważył bowiem 7,5 kg mniej od niego i odrzut miał słabszy niż Mauser wz. 98, podczas gdy egzemplarze niemieckie cechowały się odrzutem tak silnym, że dochodziło niejednokrotnie do wypadków złamania obojczyka. Niemiecki karabin przeciwpancerny był ponadto jednostrzałowy, a polski pięciostrzałowy i w pancerzu wybijał otwór trzykrotnie większy. Przechowywano go do samej wojny w składnicach broni w obawie przed wywiadem nieprzyjaciela".*

Używano jeszcze karabinków Berhier wz. 91/98/23, francuskie karabiny Lebel i austriackie Menlichery. Piechota posługiwała się bardzo dobrymi polskimi ręcznymi karabinami maszynowymi (rkm) produkowanymi na licencji Browninga według wzoru z 1928 roku oraz ciężkimi karabinami maszynowymi (ckm) według wzoru z 1930 roku również produkowanymi w Polsce na licencji Browninga. Poza tym używano rkm austriackie Schwarzlose wz. 08/15 i francuskie Chauchat wz. 1915. Posługiwano się niemieckim ckm Maxim wz. 08, ale też i ckm Maxim wz. 10/25 przerobionymi z rosyjskich oraz francuskich ckm Hotchkiss wz. 1914.

Żołnierzy piechoty odróżniało się od żołnierzy innych wojsk po tym, że na czapkach mieli fioletowy otok, na kołnierzu munduru patkę fioletową z żółtą wypustką oraz srebrnym galonem (wężyk na patce inny był dla szeregowca, inny dla podoficera i inny dla oficera). Na kołnierzu płaszcza piechurzy nosili pasek fioletowy od spodu, żółty od góry. Takie same patki jak piechota nosili strzelcy podhalańscy, morskie baony strzelców i szkoły piechoty. Natomiast takie same otoki na czapkach jak piechota nosili podchorążowie ze szkół podchorążych piechoty, Korpus Kapelmistrzów, 19 pułk ułanów i Korpus Ochrony Pogranicza, z tym że na czapkach z okrągłym denkiem.

Żołnierz piechoty zakładał na siebie: plecak ze zrolowanym płaszczem i przytroczoną menażką, sześć skórzanych ładownic na amunicję, łopatkę piechoty (zwaną też saperką), bagnet, chlebak i torbę z maską. Na głowie miał hełm. Na nogach trzewiki, spodnie długie spinane na dole mankietami lub spodnie i owijacze. Niektóre pułki piechoty otrzymały przed wojną buty typu saperki.

Większość pułków piechoty nosiła hełmy polskiej produkcji wzór z 1931 roku, używane były też hełmy francuskie z grzebieniem, hełmy według wzoru z 1928 roku z grzebieniem i bez oraz hełmy niemieckie wzór z 1916 roku. Te ostatnie noszono w 10 Brygadzie Kawalerii Zmotoryzowanej, co powodowało liczne nieporozumienia. Brano żołnierzy 10 Brygady za Niemców i otwierano do nich ogień. Był jeszcze hełm czołgowy — skórzano-metalowy, przerobiony z hełmu francuskiego.

Dywizje piechoty miały mniej więcej taki sam skład

Trzy pułki piechoty, pułk artylerii lekkiej, dywizjon artylerii ciężkiej, batalion przeciwlotniczy, baon saperów, kawalerię dywizyjną, kompanie telefonistów, kolarzy, ckm oraz kompanię czołgów rozpoznawczych.

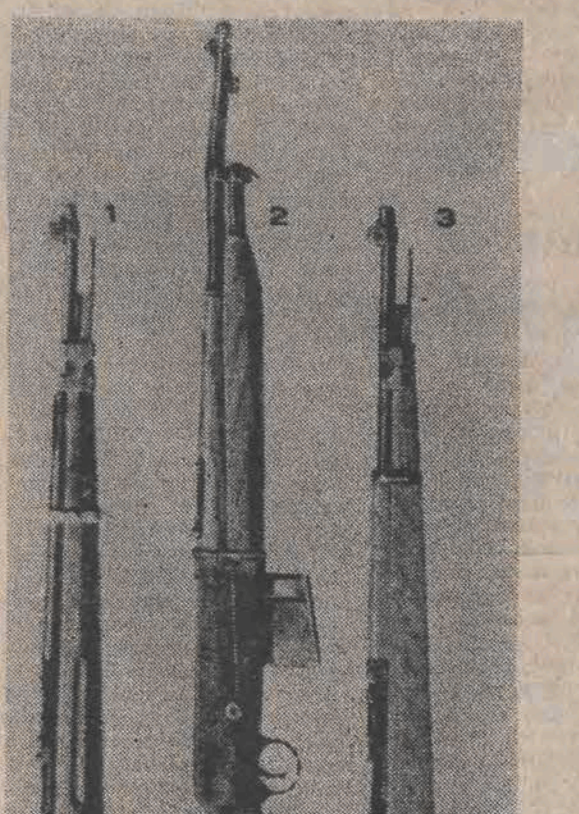

Mimo różnych obietnic Armia „Łódź" otrzymała: 10, 28 i 30 DP oraz już po rozpoczęciu wojny nadeszła 2 DP Legionów.

Pułki 28 Dywizji Piechoty stacjonowały w rejonie Warszawy, Radomia i Dęblina. Dowodził nią gen. bryg. Władysław Bończa-Uzdowski. W jej skład wchodziły: 15 pułk piechoty „Wilków", 36 pułk piechoty Legii Akademickiej, 72 pułk piechoty im. płk Dionizego Czachowskiego, 28 pułk artylerii lekkiej, 28 dywizjon artylerii ciężkiej, 28 batalion artylerii przeciwlotniczej, 28 baon saperów, 28 kompania telefonistów, 13 kompania kolarzy, 117 kompania ckm na taczankach, 91 kompania czołgów rozpoznawczych TK i kawaleria dywizyjna.

30 Dywizją Piechoty dowodził gen bryg. Leopold Cehak. W jej skład wchodziły: 82 Syberyjski pułk strzelców im. Tadeusza Kościuszki, 83 pułk Strzelców Poleskich im. Romualda Traugutta, 84 pułk Strzelców Poleskich, 30 pal, 30 dac, 30 batalion artylerii przeciwlotniczej, 30 dywizjon saperów, kompania ckm na taczankach, kompania kolarzy, kawaleria dywizyjna.

Przedstawmy też 2 DP Legionów, choć wejdzie ona do akcji już po rozpoczęciu wojny. Dowodził nią płk. dypl. Jan Edward Dojan-Surówka. W jej skład wchodziły: 2 pułk piechoty Legionów, 3 pułk piechoty Legionów, 4 pułk piechoty Legionów, 2 pal Legionów, 2 dac, kompania telefonistów, 101 kompania kolarzy, kompania ckm na taczankach i kawaleria dywizyjna.

W skład Armii „Łódź" wchodziła też Sieradzka Brygada Obrony Narodowej, w jej ramach walczyły bataliony ON „Kępno", „Wieluń I", „Wieluń II", Ostrzeszów".

Dowództwo Armii „Łódź" miało swoją siedzibę w Łodzi na Julianowie — dokładny adres: ul. Zgierska 133. Dowództwo 10 DP ulokowano w Sieradzu, 28 DP w Wieluniu, 30 DP w Pajęcznie. Dowództwo Wołyńskiej Brygady Kawalerii — w Ostrowach.

Gdy w końcu zaplanowano prace fortyfikacyjne, nie pozostało na ich wykonanie wiele czasu. Płk Stefan Langner zorganizował nowe grupy saperskie, ale to już nie pomogło. W pasie działań 10 DP planowano wykonać 73 umocnienia, wykonano 16 i budowano 15. W pasie działań 28 DP planowano wybudowanie 94 umocnień — zrobiono 4. W pasie działań 30 DP planowano wybudowanie 91 umocnień, zrobiono 27, w budowie było 19. W pasie Księże Młyny — Rozprza miało powstać 43 umocnień — nie postawiono ani jednego. W sumie na planowych w pasie działania wojsk Armii „Łódź" 226 umocnień fortyfikacyjnych wybudowano 48, w tym 12 schronów drewnianych, w budowie było 59 a nie wykonano 159 umocnień. W rezultacie tego wojska Armii „Łódź" narażone były na dobrze przygotowany atak nie posiadając odpowiednich warunków do obrony.

Nim dojdziemy do momentu ataku wojsk niemieckich na Polskę, powinniśmy się zapoznać z kawalerią Armii „Łódź" i innymi wojskami, którymi dysponował gen. Juliusz Rómmel.

■

ze str. 1

3.

Podczas podziału administracyjnego kraju urzędnicy mieli masę kłopotów. Nie wiedzieli na przykład jak ustalić granicę między województwami na rzece, o wiele łatwiej, psiakrew, było stawiać słupy graniczne na Odrze. A wieś Leśnik leży na obu brzegach Warty. Po drugiej stronie, gdzie było 17 gospodarstw, urzędował sieradzki sołtys, chociaż tam właśnie zaczynało się już województwo konińskie. Sołtys zmarł i wieś Leśnik nie miała sołtysa. Wcześniej sołtys wraz z żoną przekazali państwu gospodarstwo za rentę, bo nie mieli następców. Potem zmarło się sołtysowej i na PFZ przeszły budynki oraz 10,5 ha lichej ziemi, głównie V i VI klasy, którą uprawiała Spółdzielnia Kółek Rolniczych.

auta na kobylę. Pomyślałem, że jak kupię dorosłe owce, to jesienią się je pokryje, a zimą się wykocą. Wziąłem 38 matek. Weterynarz powiedział mi na boku, że wtryniono mi gówno, ale nie wierzyłem. Bank załatwił mi bez problemów kredyt, przywiozłem owce, a po dwóch tygodniach okazało się, że są chore — wszystkie z zapaleniem wymienia. Związek Owczarski i POZH sprowadziły z Warszawy lekarzy, żeby udowodnić nam winę, a przecież owce się u nas nie kociły, skąd więc zapalenie wymion? Gdy weterynarz nacisnął wymię, ropa tryskała mu na ramiona. Po wielu bojach owce zabrano we wrześniu. Na wadze wyszło, że wcale nie schudły, toteż wypłacono nam 50 tys. zł za karmienie...

Po tych perypetiach z baranami Michalakowie wzięli kredyt, bo jedynie w Banku Spółdzielczym zawsze znajdowali zrozumienie, i przymierzali się

wystąpiłem o wydzielenie 20 arów gruntów leśnych pod działki. Powiedziano mi, że gdyby to nie był Leśnik, to może by przeszło.

— Ale te 9 arów wydzielono pod budownictwo letniskowe?

— *No właśnie! Przyjechał naczelnik i powiedział, żebym spisał wszystkie działki, to te dzikie się zlikwiduje. Zrobiłem, co trzeba, a działki zostały. Dlaczego ja nie mogę nic sprzedać na działki? Przez granicę ze mną też jest działka letniskowa...*

Andrzej Michalak prowadził korespondencję z Sieradzem w sprawie tych 9 arów. Odpowiedziano mu, że to nie jest działka letniskowa, tylko kompleks upraw polowych. Drażliwa sprawa i władze nie widzą dzikich działek, nawet tej przez miedzę.

Ziemia Michalaka odłogiem nie leży. Jeszcze dwa lata temu sprzedał państwu 14 ton zboża. Wydał 200 tys. zł na

Ranczo w dolinie Warty

Ranczo było wspaniale położone, z jednej strony las, pole i rzeka, a za stodołą piękna, ogromna, chyba 200-letnia lipa. I taki uroczy płotek z żerdzi, jakby krowa machnęła ogonem, to by się rozsypał. A wewnątrz uroczy skansen, wszyściutko pod strzechą: waląca się stodoła, obórka z przybudówką, drewniany ustęp. Chałupa też drewniana, z małymi okienkami, lecz kryta papą, od środka wzmocniona wykładką z cegły. A dziecko mogło się bawić w budzie z psami...

Najważniejsze jednak, że w tej chałupie został po sołtysie telefon. A jak się ma auto i telefon, to można żyć, nie?

— *Jesienią 1984 roku dostałem akt dzierżawy* — mówi Andrzej Michalak — *a potem kupiliśmy wszystko za gotówkę. Ziemia wyjałowiona, zaperzona, ściernisko po kombajnie na 70 cm, bo SKR zebrała same kłoski. Zaorałem to z pomocą sąsiadów i czekałem do wiosny.*

— Nie bał się pan?

— *Przeraziła mnie ta zima stanu wojennego, z mrozami i powodziami. Ktoś zadzwonił do Łodzi, że Leśnik zalany. Jadę, patrzę, a pod chałupą lodowisko. Zniosło mi dwa hektary ziemi... W Łodzi było minus 20°C, a tam minus 30, bo w dolinie Warty kumulują się jale mrozu. A ja myślałem, że może założę tam sad...*

— W takiej dolinie wiatry też nieźle hulają.

— *Pamięta pan tę wichurę, po której we Wrocławskiem ogłoszono stan klęski żywiołowej? Nad Wartę też dotarła! Zdmuchnęło mi połowę starej stodoły. Drugą część podreperowałem i jakoś się trzyma. Żeby było egzotyczniej, a może i romantyczniej, to tam z brzegu na brzeg trzeba przeprawiać się promem, który funkcjonuje tylko od wiosny do jesieni. Prom jest dwa kilometry od wsi, w Księżych Młynach. Gospodarze, którzy mają pole na drugim brzegu, jeżdżą dookoła, po sześć kilometrów, kiedy prom stoi.*

— *Powiedz lepiej o tych wielkich lejach po bombach* — wtrąca Michalakowa.

— *Ach, to skutki powodzi! Woda wymyła doły głębokie na trzy metry, a gdy przyszło lato suszy w stanie wojennym, chłopi poili w tych dołach bydło. Owszem, była w pobliżu równiarka, ale meliorant powiedział, że jak kupię do niej części, to mi doły zasypią. Spychacz dostałem dopiero po interwencji u wojewody, w marcu 1983 r. Po tej powodzi, suszy i gospodarce SKR zebrałem w pierwszym roku takie plony, że pożal się Boże. Szczęście, że wsiałem mieszankę owsa z jęczmieniem...*

4.

Są takie zdjęcia, na których widać, jak Irena Michalak ładuje zboże na maleńki dwukołowy wózek. Bo oni zaczynali bez żadnych maszyn, zdani na łaskę sąsiadów. Wszystko wozili tym wózkiem i Zastawą 1100. A kiedy trzeba było sprzedać auto, Michalak nie mógł wypożyczyć konia, bo przestał wsi imponować. Sąsiedzi doili z nich, ile się dało, bo na odrobek Michalakowie nie poszli. A dochodów jeszcze nie było, więc wciąż na minusie.

— *Na koniach się nie znałem* — podejmuje Andrzej Michalak — *więc nie wymieniłem*

do krów. W sumie nabyli cztery stare sztuki od sąsiadów, ale że paszy było w bród, więc te 40 litrów mleka dziennie się odstawiało.

— *Dojarki nie można było kupić* — wyjaśnia ze śmiechem — *więc uczyłem się doić krowy u sąsiadki. Ale gorsza sprawa, że przez Leśnik nie jeździł wozak. Tachaj, bracie, banieczki z mlekiem po pół kilometra, na jeden lub drugi koniec wsi, gdzie już inna gmina, inne województwo. Kiedy powiedziałem, że jak kupię krowy, to wozak będzie jeździł przez Leśnik, ludzie tylko pukali się w głowę. No i wozak jeździ do dzisiaj. Trzeba tylko było wiedzieć, do kogo z tym iść.*

Kiedy zdechła im jedna z krów, zrazili się do hodowli, ale nie ostatecznie. Andrzej Michalak sprzedał zboże i jedną krowę, no i żeby nie wyjść całkiem na zero, pobrał kredyt na 400 tys. zł i kupił za 595 tys. nowy ciągnik C-360.

I wtedy na ranczo w dolinie pojawiła się Piggy.

— *Krowy jeszcze były, a ja kupiłem już maciorę hodowlaną. Dobrze się oprosiła, wyniki miałem niezłe, bo w ciągu sześciu miesięcy prosięta dochodziły do wagi stu kilogramów. Ale za drugim razem maciora się, jak to mówią, nie pohukała. Dwie następne maciory dały po jednym miocie i też się nie pohukały. Poszły pod nóż...*

— *Pech polegał na tym* — wtrąca Michalakowa — *że zawsze łamały nas zakręty w polityce rolnej. Nie mogliśmy się wcelować w to, co aktualne. Zabierano pasze dla świń i oddawano, raz dali otręby, drugi raz wstrzymali, a z provitem, tym koncentratem wysokobiałkowym, to już, były same cyrki. Myśmy nie karmili świń ziemniakami. Dawaliśmy paszę treściwą, provit i ześrutowane na beku siano w postaci mączki i tę mieszankę zaparzaliśmy wodą.*

— *Co z tego, kiedy ciebie i tak uznawali we wsi za wczasowiczkę!* — śmieje się mąż.

— *Aha! I na tych wczasach nabawiłam się dyskopatii.*

— *Tak, żona nawet gnój wyrzucała z obory. A ja tak się zmagałem z tym ranczem, że mam nadwerwane mięśnie przy kręgosłupie.*

Od grudnia 1988 roku Michalakowie mieszkają w Łodzi, przy czym Andrzej Michalak pracuje już w Zakładzie Zaopatrzenia Ogrodniczego, chociaż nadal zameldowany jest na wsi. W Leśniku nie ma Michalaków i nie ma sołtysa. Dlaczego?

5.

Prasa bije na alarm, ukazując tragiczną sytuację w paśmie Polski południowo-wschodniej, gdzie nie ma kto uprawiać ziemi i trzeba na siłę tworzyć spółdzielcze lub państwowe kompleksy agrarne. W Leśniku, choć to niby blisko miasta, ale teren dziewiczy, ciężki, też nie ma kto uprawiać ziemi, bo większość rolników to już emeryci. Kiedy więc zjawił się tam ten fanatyk Andrzej Michalak, to w gminie powinni go nosić na rękach.

Michalakowie byli młodzi, uczyli się na błędach i mieli potknięcia.

Jednak w miarę doświadczenia przyszły lata, gdy Michagającym i nie lubianym, bo wtykał nos w nie swoje sprawy, o czym będzie jeszcze mowa. A w gminie I sekretarz PZPR jest zarazem przewodniczącym GRN, więc jak tu skarżyć na tych partyjnych z placówek obsługi rolnictwa? Z kolei naczelnik gminy jest prezesem ZSL, trudno więc wytykać mu błędy w ZSL.

Ale we wsi już inaczej patrzono na Michalaka. Miał traktor, załatwił wozaka do mleka, na ćwierci hektara uprawiał warzywa, jak dla siebie, rano pęczkował i woził pod sklep w Księżych Młynach, albo kupcy od niego zabierali wprost z gospodarstwa.

— *Kiedy sprzedałem pierwsze świnie, w Leśniku odbyły się wybory sołtysa z udziałem przedstawiciela gminy. Było dwoje kandydatów, ale pani się zrzekła, więc wybrano mnie. Dostałem stempelek i stałem się przedstawicielem władzy szczebla podstawowego. A żeby to brzmiało godnie, nazywałem się „pełniący obowiązki sołtysa". Ludzie stali nocami po nawozy na placu GS w odległym o 13 km Niewieszu. Załatwiłem, pojechałem ciągnikiem i przywiozłem dla wszystkich. Podobnie załatwiałem z węglem.*

Pełnił tę funkcję przez trzy lata. W listopadzie 1988 roku w Leśniku w ogóle nie zorganizowano zebrania, a że Michalakowi skończyła się kadencja, więc przestał być sołtysem. Michalakowie siedzą w Łodzi, a w Leśniku nie ma sołtysa.

6.

Problem w tym, że w Leśniku jest 6 gospodarzy z prawdziwego zdarzenia i 50 działek letniskowych, legalnych i nielegalnych, w tym i prominenckie. No i gdy Andrzej Michalak zaczął o tym głośno mówić, to drogę za jego stodołą uznano za państwową i ustalono służebność przejazdu na trzy lata, chociaż sto metrów dalej była lepsza droga. A że ta wiodąca przez gospodarstwo Michalaka była dziurawa, więc wszyscy, łącznie z wędkarzami, łazili po łące i deptali zboże.

Gdy minęły trzy lata, Andrzej Michalak zamknął drogę. Ale tego sąsiada z działką letniskową, co postawił mu ustęp w granicy, nie dało się ruszyć.

Za przydymionymi szkłami okularów jakieś dziwne błyski. Złość, niechęć, może rozbawienie...

— *Nie po to dokupowałem ziemię* — mówi Andrzej Michalak — *żeby sprzedawać po dwóch latach, nie? Ale co zrobić, kiedy moje starania w gminie przez lata nie dały efektów? Chciałem sprzedać takie zbędne, nieprodukcyjne kawałki na działki. Gdzie tam, nie dadzą grosza zarobić. Innym tak, ale nie mnie... Wydzielono na przykład, 9 arów po starych zabudowaniach dla syna byłych właścicieli, a była to już moja ziemia. Chciałem, żeby te 9 arów wróciło do mnie, bo facet tam nigdy nie mieszkał i wszystko się waliło. Gmina dwukrotnie odpowiedziała mi na piśmie, że nie da rady, bo gmina jest związana umową najmu.*

— To sołtys Michalak nie wiedział, jak jest naprawdę?

— *Jako sołtys miałem wgląd do dokumentów i stwierdziłem, że żadnej umowy nie było. Wtedy pomyślałem, że skoro w Leśniku tyle działek na dziko, to ja załatwię to urzędowo i*

środki chemiczne, żeby wytępić perz. Takie ranczo warto kupić, ale nikt go nie chce. W gminie powiedziano Michalakowi, że jeśli znajdzie 3 chętnych, to można ranczo rozparcelować. Ale w Leśniku wszyscy by tak sprzedali swoją ziemię.

Andrzej Michalak wtrącał się, wypisywał brzydkie rzeczy, więc gmina powinna coś zrobić, żeby się go pozbyć, tzn. pomóc mu w sprzedaży gospodarstwa. Bo niewygodnego sołtysa już nie ma.

7.

Mimo zapewnień, że w tym domu nikt nie pali, Irena Michalakowa nie wytrzymuje i sięga po papierosa. Twarz ma skupioną, zaciętą, w oczach jakieś bolesne wspomnienie.

— *Nie wiem* — mówi szeptem — *chyba nasza mentalność jest inna... Może jesteśmy za wrażliwi i mniej wytrzymali? Jak na łące nie stało pięć krów, to zły gospodarz... A nie wiedzieli, że siano z tej łąki żrą nasze świnie. Ale myśl, żeby to ranczo zamienić na coś mniejszego, bliżej miasta, nie wzięła się tylko z kłopotów gospodarczych i utarczek z administracją. Widzi pan, w pierwszym roku nasza Ania miała 8 miesięcy i gdyśmy robili w polu, leżała w bruździe, a później siedziała na kocu i płakała. Okazało się, że mamy dziecko niepełnosprawne. Ania rok przeleżała w szpitalach na wyciągach, a potem, po operacji stawu biodrowego, leżała zagipsowana w chałupie. Dziś ma o dwa centymetry krótszą nóżkę...*

Michalakowa podsuwa fotografię. Sześcioletnia dziewczynka siedzi na ciągniku.

— *Mąż ustawił pierwszy bieg, on podawał siano, ja odbierałam na wozie, Ania zaś podjeżdżała traktorem do kopki...*

Potem przyszło na świat drugie dziecko, Ania poszła do zerówki. Jeździła dwa kilometry rowerkiem przez las, potem sześć kilometrów autobusem do Niemysłowa. To nie życie...

Jest ciągnik i maszyny, więc Andrzej Michalak mógłby obrabiać 3—4 ha pod miastem. Mógłby się nawet zamienić, a nawet włączyć do interesu własnościowe mieszkanie. Ale chętnych nie ma. Andrzej Michalak szuka kupca i małego gospodarstwa pod Łodzią, bo umowę na pracę ma tylko do marca. W listopadzie sprzedał świnie, w grudniu ostatnią krowę. Poddał się, przegrał? A może życie go do tego zmusiło? Teraz martwi się nie tylko o siebie, lecz i tę ziemię, żeby nadal rodziła.

Dobra sąsiadka podaje przygotowaną przez Michalaka karmę młodym kurom i paru kotnym owcom, które zostały w zagrodzie. A ranczo w dolinie Warty, gdzie woda czysta i trawa zielona, czeka na nowego właściciela.

RYSZARD BINKOWSKI

PS. Wiadomość z ostatniej chwili. Okazało się, że Andrzej Michalak jest jednak nadal sołtysem w Leśniku, tylko on o tym nic nie wie, bo nikt go o tym fakcie nie powiadomił.

R. B.

Czy wiesz, co jesz?

Gdzie jest zdrowa żywność?

Mam takiego znajomego, który wierzy w samoregulowanie się jego organizmu. Na przykład organizm jego gwałtownie potrzebuje cukru. Mój znajomy akurat przechodzi koło cukierni, poczuje zapach ciastek i nie ma siły. Wkracza do cukierni i kupuje minimum 10 ciastek, które później spokojnie zjada i ma na jakiś czas problem braku cukru z głowy. Innym razem brakuje mu wapna lub białka. Wtedy wraca do sklepu spożywczego lub nabiałowego i kupuje większą ilość opakowań jogurtu, twarożków i śmietany. Ostatnio po zjedzeniu dwóch opakowań twarożku waniliowego mój znajomy miał sensacje żołądkowe. Przypomniałam sobie wtedy, że nie tak dawno publikowaliśmy w „Odgłosach" rozmowę z producentem owych twarożków i innych produktów mlecznych, który uczciwie powiedział, co spożywamy wraz z mlekiem czy twarogami. Kiedy więc dowiedziałam się, że Komisja Zdrowia i Kultury Fizycznej RNML będzie obradowała nad „oceną sposobu żywienia w aspekcie jakości i struktury produktów żywnościowych z uwzględnieniem żywienia zbiorowego", zainteresowałam się tym szczególnie i popędziłam na obrady.

Przede wszystkim zainteresowało mnie sformułowanie tematu. Było ono tak zawiłe, że jakoś nie mogłam domyślić się, o czym właściwie Komisja Zdrowia i Kultury Fizycznej RNML będzie radziła. Okazało się to nader proste, gdyż już na początku obrad ktoś roztropny wykrzyknął radośnie: „Żeby żyć, trzeba jeść!". Zaakceptowałabym ten ze wszech miar słuszny okrzyk, gdyby nie wątpliwość, jak on się ma do „aspektu jakości i struktury produktów żywnościowych" i jak to wygląda w „żywieniu zbiorowym"?

Z przedstawionego przez Sanepid raportu w tej materii wynikało niezbicie, że „żywienie racjonalne to takie żywienie, które zaspokaja potrzeby biologiczne organizmu człowieka, umożliwia prawidłowy wzrost i rozwój fizyczny, emocjonalny i umysłowy". I dalej, że „dla całkowitego pokrycia zapotrzebowania organizmu potrzeba ponad czterdziestu związków chemicznych, występujących w różnych produktach spożywczych". Ale współczesny człowiek — na dodatek albo młody, albo chory — z jednej strony nie otrzymuje tego, co mu potrzeba, a z drugiej strony dostaje dodatkowo i zupełnie niepotrzebnie, to co mu szkodzi. Mamy więc mało żywności i mamy ją zatrutą.

Sanepid dokonał licznych kontroli. Szkoda tylko, że poza wymieniem ich liczby nie podano konkretnych adresów i nazw tych placówek, które żywią źle. Nikt z radnych zresztą o to nie zapytał. Dowiedzieliśmy się jedynie, że w 52 zakładach — z wyjątkiem żłobków — brakowało mleka i jego przetworów w granicach od 20 do 60 procent, że w 91 zakładach brakowało jej w granicach od 20 do 80 procent, a 152 zakładach warzyw z witaminą C brakowało w granicach od 40 do 100 procent. Nie dziwiło mnie więc to, że podczas referowania i dyskusji niektórzy radni co chwila wołali: — „To przerażające!".

„Aspekt jakości i struktury" już mamy jakby zarysowany. Popatrzmy teraz, co to jest „żywienie zbiorowe"? Otóż jest to żywienie w żłobkach, przedszkolach, domach dziecka i młodzieży, bursach i internatach, zakładach specjalnych i wychowawczych, w domach opieki, szkołach i szpitalach. A więc wszędzie tam, gdzie żywienie ma podstawowe znaczenie, bo albo decyduje o powrocie do zdrowia, albo o dalszym rozwoju człowieka. No i właśnie w tych zakładach występują braki. Ale, stwierdza Sanepid, „nawet w tych zakładach, w których produkty z grupy „mięso, wędliny, ryby" podawane były w ilościach zgodnych z normą lub rzadziej przekraczających normę (na niekorzyść innych produktów), należy pamiętać, iż częstokroć placówki żywienia dzieci i młodzieży otrzymują niskie gatunki mięsa o dużej zawartości tłuszczu, tkanki łącznej oraz kości, jak również bardzo rzadko mają możność zakupywania wysokogatunkowych wędlin". Zatem nie wystarczy dać tyle, ile trzeba, trzeba jeszcze dać to, co trzeba. Czyli i ilość, i jakość. A z jednym i z drugim w zbiorowym żywieniu młodzieży jest bardzo źle.

GUS opublikował właśnie obszerny materiał pokazujący „Ceny detaliczne i koszty utrzymania w 1988 r.". Z dokumentu tego wynika, że w grudniu 1988 roku ceny wynosiły 173,9 wielkości cen z grudnia 1987 roku, a żywności — 159,6. Zatem koszty utrzymania wzrosły więcej niż o połowę. Natomiast stawki żywieniowe w zakładach podległych Kuratorium Oświaty i Wychowania UML wynosiły w 1988 r. 260 złotych. Słusznie więc postąpili radni przyjmując wniosek o konieczności podniesienia i systematycznej rewaloryzacji tych stawek. Jest to po prostu niezbędne!

Oderwijmy się na chwilę od zbiorowego żywienia i zastanówmy się nad tym, co my jemy? Otóż z różnych powodów Sanepid nie kontroluje tego, co sprzedaje się na różnych targach, minitargach i z koszyka na ulicy. Nie kontroluje, bo nie ma na to ani czasu, ani możliwości, ani zapotrzebowania. W gruncie rzeczy lepiej jest nie wiedzieć, ile ołowiu jemy razem z sałatą i czym nafaszerowana jest marchew ogromnej wielkości. Słyszałam niedawno przez radio, że gdzieś w Polsce zbadano sałatę, która zawierała kilkaset razy większe niż dopuszczalne ilości ołowiu. Być może takie sałaty uprawiają działkowcy na swoich działkach, które znajdują się przy ulicy, po której mkną z radosnym piskiem opon wspaniałe samochody napędzane naszą wspaniałą benzyną. Nikt tego nie bada, nikt się tym nie interesuje. Widziałam już, jak zapobiegliwi ludzie wykorzystywali każdy kawałek ziemi, aby zasiać tam sałatę, rzodkiewkę, posadzić pomidory. Trudno nawet dziwić się ludzkiej zapobiegliwości i chęci posiadania własnej zieleniny. To naturalne. Tym bardziej, że ołowiu i innych ciężkich metali w rzodkiewce, pomidorach czy sałacie nie widać. To trzeba dopiero stwierdzić przy pomocy aparatów, których albo nie ma, albo jest stanowczo za mało. Kiedy więc usłyszałam z ust jednej radnej, że dobrym sposobem wzbogacania jadłospisu byłoby uprawianie w szkole, przedszkolu czy gdzie indziej rzeżuchy i pietruszki, to nawet nie uśmiechnęłam się. Pomyślałam ze smutkiem o bezradności.

Na dobrą sprawę, jak odróżnić zdrową żywność od niezdrowej? I kto to ma stwierdzać? Komu wierzyć? Co w ogóle jeść? Powiada się, że Polacy ożywiają się niezdrowo, nieracjonalnie, że tego jedzą za dużo, tamtego za mało. Na ogół dużo jemy mięsa, co jest przesadą. Specjaliści od rolnictwa znów ostrzegają, że zmniejsza się pogłowie bydła i trzody chlewnej. Będzie więc mało mięsa. Być może nie da się znieść kartek. Cena mięsa już powoli idzie w górę. Nadmierne spożycie mięsa raczej nam nie zagraża.

Mamy więc więcej jeść warzyw. I słusznie! Ale gdy kupuję warzywa, to w podświadomości kiełkuje mi taka natrętna myśl, czy nie kupuję trucizny? Czy w trosce o należyte dostarczenie memu organizmowi niezbędnych witamin i soli mineralnych, nie aplikuję mu ołowiu i innych jakich świństw? Zapewne tak. Ale skąd mam wziąć tę tak pożądaną zdrową żywność?

Członków Komisji Zdrowia i Kultury Fizycznej RNML przeraziła sytuacja w żywieniu zbiorowym, ocena struktury tego żywienia, jego jakości i ilości wypadła źle. Ale co z tego? Przy pomocy przerażenia trudno zmieniać świat. A gospodarka żywieniowa wymaga radykalnej zmiany. Czego spodziewałam się od radnych zgromadzonych na posiedzeniu Komisji Zdrowia i Kultury Fizycznej RNML? Spodziewałam się, że zażądają od UML szczegółowego raportu i planu radykalnej zmiany sytuacji. I rozczarowałam się. Nie można przecież poprzestać na stwierdzeniu, że jest źle i na ten temat dyskutować dwie godziny. Od tego nam zdrowia, no i tej zdrowej żywności nie przybędzie.

BOGDA MADEJ

Druga linia

Od pewnego czasu przy redakcji „Odgłosów" pracuje grupa studentów UŁ, którzy w przyszłości chcieliby zająć się zawodowo dziennikarstwem. Niektórzy mają już za sobą debiut na łamach „Odgłosów". Inni się do tego przygotowują. Ich rezultaty pracy będziemy publikowali tak zbiorowo, jak i oddzielnie. Dziś prezentujemy spostrzeżenia i uwagi na temat tego, jak mieszkają studenci.

W Łodzi też mieszkają studenci

Łódź jest znacznym ośrodkiem akademickim. Gdyby wziąć pod uwagę liczbę studentów z roku 1987 — takimi danymi dysponuje GUS — to Łódź znajdowała się na 7 miejscu z 19 200 studentami.

Na pierwszym miejscu była Warszawa (54 000), za nią Kraków (41 600), potem Poznań (29 500), na czwartym miejscu plasował się Wrocław (28 000), na piątym Lublin (25 200), na szóstym Gdańsk i dopiero siódma Łódź.

Po Łodzi ósme miejsce zajmowały Katowice (15 400) i na dziewiątym Szczecin (13 400).

W 1989 roku w Łodzi rozpoczęło naukę 17 116 — w tym 151 cudzoziemców. Są to studenci studiów dziennych. Dla ich potrzeb łódzkie wyższe uczelnie: Uniwersytet Łódzki, Politechnika Łódzka, Akademia Medyczna, Państwowa Wyższa Szkoła Filmowa, Telewizyjna i Teatralna, Akademia Muzyczna, Państwowa Wyższa Szkoła Sztuk Plastycznych i Akademia Wychowania Fizycznego — dysponują 26 akademikami, w tym dwoma dla cudzoziemców. W akademikach tych jest 7 046 miejsc i jeszcze 470 miejsc dla cudzoziemców. Z tych miejsc korzysta 7 658 studentów, a więc o 142 więcej niż jest miejsc.

W 7 stołówkach wydaje się dla studentów i pracowników wyższych uczelni 3 018 posiłków. Studenci mogą też korzystać z barów i bufetów, gdzie wydaje się też ciepłe posiłki.

Tak wygląda Łódź akademicka w statystyce.

Opracowała:
M. M.

Tu można żyć jak w raju albo...

Akademik jest najpopularniejszą formą zaspokajania podstawowych potrzeb zamiejscowych studentów. Ma gwarantować godziwie warunki nauki i wypoczynku. Okazuje się jednak, że życie w akademiku nie jest usłane różami.

Rozmawiałem z mieszkańcami osiedla akademickiego — tzw. Lumumbowa. Brałem udział w zebraniu Rady Mieszkańców, oraz w spotkaniu rektora Uniwersytetu Łódzkiego z opiekunami domów studenckich i samorządem.

Studenci narzekają na warunki panujące w akademikach, na awarie, niedogrzanie pomieszczeń, brudne i zdewastowane zaplecze sanitarne. Padają ostre słowa pod adresem administracji osiedla, władz uczelni i samorządu. Ale część studentów wskazuje na uciążliwości, nie starając się nawet dostrzec ich przyczyn. Nie za wszystko winę ponosi administracja. Stan budynków jest zły. Konieczne są remonty, a na to nie ma pieniędzy.

Dla przeprowadzenia remontu kapitalnego trzeba zamknąć akademik i tym samym pozbawić dachu nad głową kilkuset studentów. Tymczasem osiedle pęka w szwach a domy studenckie są przepełnione. Chcąc obsłużyć większą liczbę studentów rezygnuje się z komfortu.

Prowizoryczne naprawy nie zastąpią remontu. Osiedle starzeje się, a kłopotów przybywa. Najtrudniej jest w starych domach studenckich, ale i niedawno oddany do użytku „Olimp" nie jest bez wad. I tu trzeba już prowadzić naprawy. Woda z nieszczelnych instalacji kapie na głowy sąsiadom z niższych pięter. Ale mieszkający tu studenci, po doświadczeniach z innych akademików chwalą sobie „luksusy" tego „Hiltona", jak go nazywają. Dwuosobowe pokoje, zaplecze sanitarne przypada na cztery osoby. Tu łatwo utrzymać czystość, której tak brakuje w pozostałych domach. A jednak to, że nie widać kłopotów nie znaczy, że ich nie ma. W innych akademikach są po prostu bardziej widoczne. Toalety są brudne i zdewastowane. Zaskakuje już sam fakt, że są koedukacyjne.

Potłuczone muszle, powyrywane umywalki nie wystawiają dobrego świadectwa lokatorom. Zniszczone kabiny wyłącza się z użytku zmniejszając tym samym ich przepustowość. A przecież korzysta z nich całe piętro. Administracja stara się na bieżąco naprawiać szkody, ale przy obecnych brakach na rynku zakup klozetu czy umywalki graniczy niemal z cudem. Podobnie jest z kuchenkami gazowymi, meblami, sprzętem elektrycznym.

Tymczasem wiele awarii jest skutkiem działania studentów. Podczas naprawy sieci kanalizacyjnej po kolejnym zalaniu okazało się, że instalacja jest zapchana. W odpływach klozetów znaleziono m.in. lusterko samochodowe, koszulę nocną i... całego kurczaka. Dwie wypowiedzi niech tu będą ilustracją.

Magda: — *Wchodziłyśmy do toalety i spotykałyśmy tam chłopców. Na początku był to pewien szok — wspólna toaleta?! Ale szybko przywykłyśmy. Tu się szybko przywyka.*

Monika: — *Do łaźni trzeba chodzić większą grupą. Część kąpie się, a reszta pilnuje podglądaczy.*

Poważny problem to stan instalacji w budynkach. Przewody są stare i skorodowane. Każde pęknięcie rury czy grzejnika, to konieczność wyłączenia z sieci ogrzewczej całego akademika. Mieszkańcom pozostaje włączenie piecyków elektrycznych. Przeciążona sieć elektryczna nie wytrzymuje i akademik pogrąża się w egipskich ciemnościach.

Nie najlepiej żyje się studentom w Łodzi. A podobno warunki tu są lepsze niż w innych ośrodkach akademickich kraju. Trudno w to uwierzyć, widząc co dzieje się na Lumumbowie. Wandalizm, kradzieże, brud, obojętność wobec kłopotów kolegów. Nie można uogólniać, ale sygnały są niepokojące. Czyżby nieprawdziwa była legenda o koleżeństwie, więzi, odpowiedzialności za wspólny dom?

Owiane legendą akademiki stały się noclegownią za pół darmo. Mieszkańcy płacą tylko część kosztów pobytu, ale i z tymi opłatami zalegają — na kilka milionów złotych.

Nie ma reguły. Tu można żyć jak w raju albo wegetować. Zależy, jak się człowiek ustawi. Wszystko zależy od układów.

MAREK JUŚKIEWICZ

Czwarty do brydża lub opiekun dla leniwego potomka

W „Słowniku języka polskiego" stancja — wynajmowanie mieszkania uczniom — uznano za termin przestarzały. Czy rzeczywiście?

Na początku 1988/1989 roku akademickiego znów toczyła się walka o miejsce w domach studenckich. Nie wszystkim dopisało szczęście. Może dlatego, że nie wszyscy wiedzieli, jak temu szczęściu pomóc... W rezultacie duża liczba studentów ubiegających się o akademik pozostała bez dachu nad głową. Jaka możliwość pozostała studentowi, któremu sytuacja finansowa nie pozwala na zapłacenie 30 tys. złotych miesięcznie za wynajęcie kawalerki? Gdzie mają mieszkać ci wszyscy, którzy nie mają rozrywkowego usposobienia i nie czują się w akademikach dobrze? Pozostaje im przestrzała, lecz w obecnych czasach bardzo aktualna stancja.

O jej „dobrodziejstwach" wypowiadają się sami zainteresowani:

Studentka ekonomii: — *Płacę za pokój 5 tys. miesięcznie, czyli niewiele. Pokój jest przestronny i wygodny, cóż z tego... Kiedy wracam do domu chce mi się płakać. Pogodziłam się z tym, że nie mogę zapraszać do siebie znajomych, a nawet z tym, że światło w moim pokoju może palić się tylko do 23. Ale nie mogę się pogodzić z ciągłą podejrzliwością właścicielki mieszkania. Obserwowana jestem na każdym kroku, nawet moja korespondencja z domu podlega jej kontroli.*

Studentka medycyny: — *Miałam duże trudności ze znalezieniem własnego kąta. Przez dwa miesiące „waletowałam" w akademiku zanim znalazłam stancję, w której mieszkam obecnie. Zdobyłam ją tylko dzięki temu, że jestem studentką IV roku medycyny i potrafię opiekować się obłożnie chorą staruszką. Oprócz tego na mojej głowie pozostają zakupy oraz sprzątanie mieszkania. Nie narzekam.*

Właścicielka stancji: — *Wynajmuję pokój studentom już od wielu lat. Chwalę sobie kontakty z młodymi ludźmi, ale jestem starszą kobietą i mam wobec nich również pewne wymagania. Chodzi mi głównie o niezakłócanie spokoju w nocy i utrzymywanie czystości w pokoju. W 1988 roku żegnałam się ze studentkami, które mieszkały u mnie 3 lata. Bardzo się z nimi zżyłam, chociaż zdarzali się również tacy, którym musiałam wypowiedzieć pokój już po 2 miesiącach. Zazwyczaj wynajmuję pokój studentom poleconym przez znajomych.*

Pokoju można więc szukać na własną rękę, angażując przy tym przyjaciół i znajomych, lub też zgłaszając się do instytucji pomagających w takich przypadkach. Najwięcej problemów mają studenci pierwszego roku nie znający miasta i nie zawsze poinformowani, gdzie takie sprawy należy załatwiać. Pomocą służą organizacje młodzieżowe ZSMP i ZSP — zajmujące się pośrednictwem w wynajmowaniu stancji. Podobną działalność prowadzi studencki kościół Ojców Jezuitów przy ulicy Henryka Sienkiewicza.

Instytucje te nie są jednak w stanie zapewnić wygodnego locum wszystkim potrzebującym. Wynika to z małej liczby zgłaszających się łodzian zainteresowanych wynajęciem pokoju. (W tym roku z pośrednictwa prowadzonego przez kościół skorzystało zaledwie 100 osób). Często zdarzają się przykre rozczarowania, gdy cena podana studentowi jest znacznie wyższa od ceny oficjalnej zadeklarowanej w biurze pośrednictwa.

Niejednokrotnie przed studentami wynajmującymi pokój stawiane są określone wymagania. Dobrze jest na przykład, gdy potrafią oni grać na określonym instrumencie (najchętniej pianino, skrzypce), znają matematykę lub język obcy. Związane to jest z ich dodatkowymi obowiązkami, stają się wtedy po prostu darmowymi korepetytorami. Zdarza się również, że właściciel poszukuje czwartego do brydża.

Większe problemy ze znalezieniem pokoju mają studentki niż studenci. Najlepszą opinią cieszą się studentki takich wydziałów jak: pedagogika opiekuńczo-wychowawcza, medycyna i filologia polska. Najmilej widziani są studenci cisi, spokojni, bez nałogów, nie utrzymujący kontaktów towarzyskich, nie korzystający z wanny, nie posiadający sprzętu radiofonicznego czerpiącego energię elektryczną i zakłócającego cenny spokój właściciela mieszkania, stołujący się na mieście i sporadycznie przebywający w wynajętym pokoju.

Tacy też się zdarzają!

BEATA KOSTRZEWSKA
MARZENA MRÓZ

Wystarczy udać się na ulicę Piotrkowską 77

Co robi student, który nie dostał miejsca w akademiku i nie ma w Łodzi rodziny? Szuka mieszkania. Ale kto mu w tym pomoże? Oczywiście Studenckie Biuro Kwater działające przy Zrzeszeniu Studentów Polskich. Wystarczy udać się na Piotrkowską 77, wypełnić odpowiednie formularze i czekać...

Brakuje około 20 kwater. Zbyt mała ilość zgłosili łodzianie. Ludzie niechętnie wynajmują pokoje studentom. Dlaczego?

Jednych przeraża ich „rozrywkowy" tryb życia, o którym to słyszeli w kolejce czy też od znajomych swoich znajomych. Drudzy uważają, że wprowadzenie do swego mieszkania obcego człowieka sprawi im duży kłopot i będzie znacznie ograniczać ich swobodę. Trzeba przecież dzielić się łazienką, kuchnią, problem może stanowić zbyt długo zapalone światło...

Inni, zwłaszcza ci najstarsi myślą, że wynajęcie pokoju będzie jednoznaczne z utratą całego mieszkania. Boją się, że przyjęty tymczasowo pod ich dach student pozostanie tam na zawsze, dążąc do usunięcia dotychczasowego gospodarza. W rzeczywistości tak jednak nie jest.

Umowa najmu zawierana jest za pośrednictwem ZSP na okres roku akademickiego. ZSP gwarantuje, iż po upływie umówionego terminu student opuści wynajmowaną stancję. Zresztą nie zdarzył się jeszcze przypadek, by kogoś trzeba było usuwać siłą i stosować odpowiednie sankcje.

A tak w ogóle, to ci studenci nie są tacy straszni. Większość dnia spędzają na uczelni, wieczorami przygotowują się do kolokwiów i egzaminów czyli siedzą cicho i „kują", a na weekendy jeżdżą do rodzinnych domów. Czy to taki duży kłopot?

Toteż można by zwrócić się z apelem do ludzi samotnych, starszych, dysponujących odpowiednimi warunkami mieszkaniowymi, by pomogli bezdomnym studentom. Tym, którzy w ciężkich warunkach „waletują" w akademikach, czy muszą dojeżdżać, pokonując codziennie ponad 100 km pociągiem lub autobusem.

Oczywiście nie byłaby to działalność charytatywna. Wynajęcie pokoju odpowiednio kosztuje, a na pewno każdemu przyda się kilka dodatkowych tysięcy do skromnej emerytury. Poza tym studenci potrafią się odwdzięczyć — zrobić drobne zakupy, pomóc w załatwieniu jakiejś sprawy, czy też porozmawiać w długie jesienne wieczory.

Tak więc umilając życie innym, umilisz i sobie. Wystarczy tylko udać się na Piotrkowską 77 i zgłosić ofertę...

ANNA GRONCZEWSKA

KONFRONTACJE

Ssąca pompa finansowa i zmęczenie

Wystarczy rozejrzeć się uważnie wokół, a można zaraz zacząć liczyć pieniądze na zaspokojenie pilnych potrzeb miasta. Po pierwsze na przykład — jest brudno i MPO skarży się, że nie ma wystarczającej ilości pojemników na śmieci, ludzi, samochodów. Po drugie — domy się sypią i nie ma pieniędzy na najpilniejsze remonty, a nowych buduje się za mało. Po trzecie — wyższe uczelnie mają ciasno, potrzeba im pieniędzy też choćby na remonty. Po czwarte — kultura, tu też się sypie, a pieniędzy coraz mniej. Po piąte — służba zdrowia. Łódzki ośrodek onkologiczny obsługuje nie tylko pacjentów z Łodzi i województwa łódzkiego, ale i z innych województw, a te nie śpieszą, aby wspomóc łódzką onkologię swoimi pieniędzmi. Im też ich pewnie brakuje. Po szóste — starczy, bo można długo tak wyliczać potrzeby, na które zabraknie pieniędzy.

Jeden z radnych podczas ostatniej, VIII Sesji Rady Narodowej Miasta Łodzi niemal wzdychał do Boga i wszystkich świętych, meteorologów i ludzi biegłych w technicznych naukach, aby nie dopuścili do awarii wodociągu Sulejów — Łódź. Z Sulejowa ciągniemy bowiem dla Łodzi około 40 procent wody potrzebnej dla miasta i gdyby... Lepiej nie wymówić tego w złą godzinę, bo by jeszcze zabrakło pieniędzy na remont. Miejmy nadzieję, że wszystko będzie dobrze, ale czy gospodarka może pracować tylko na zasadzie — miejmy nadzieję?

Podczas VIII Sesji RNML rozważano sprawy budżetu i planu na 1989 rok. Mogłoby się wydawać, że będzie to sesja nudna, bo co tu można ciekawego powiedzieć o pieniądzach. Okazało się, że można.

Jeszcze w 1988 r. Łódź otrzymała 13 miliardów złotych dotacji z centralnego budżetu. W 1989 roku nie tylko tych pieniędzy nie otrzyma, ale do tego budżetu będzie musiała wpłacić 10.840 milionów złotych. Nie starczy zatem pieniędzy na wszystkie inwestycje już prowadzone, nie mówiąc o rozpoczynaniu nowych. A wszystkich potrzeb nawet nie sposób tu wymienić.

Są to — co warto wiedzieć — potrzeby nie tylko Łodzi, ale i miast oraz gmin należących do województwa łódzkiego. Radni z gmin w Strykowie i Rzgowie oraz z Aleksandrowa Łódzkiego wołali — można powiedzieć — o sprawiedliwość, gdyż pompa ssąca Skarbu Państwowego działa wielostopniowo. Zabiera się pieniądze województwu, a województwo zabiera pieniądze gminom.

Marek Bartoszewski ze Rzgowa przedstawił ponury obraz tej gminy.

— Jest to „złota kura", która ma odprowadzić do wojewódzkiego budżetu 84,4 procent własnych dochodów. A tymczasem w gminie, choć te własne dochody są duże, brakuje pieniędzy na oświatę, rolnictwo, na oświetlenie ulic. W 1988 roku wyłączono po prostu elektryczność, bo nie było czym zapłacić za oświetlenie. I w niektórych sołectwach nadal nie ma na to pieniędzy. Mówi się o Rzgowie, że to bogata gmina, a w mieście smród, bo nie ma kanalizacji. Woda czerpana ze studni w 95 procentach nie nadaje się do picia. Od kilku lat nie ma pieniędzy, aby położyć 4 km asfaltu. W niektórych przypadkach ludność daje własny wkład w czyny społeczne, sięgający 45 procent. Ale to oczywiście nie pokrywa potrzeb. Jeśli gmina nie uzyska wystarczającej ilości pieniędzy, to czyny społeczne będą więdły. Już obserwuje się wyraźne ich zahamowanie. I to nie tylko w Rzgowie.

Marek Jarecki apelował do Wysokiej Rady o niezapominanie, że województwo łódzkie to nie tylko sama Łódź, a kiedy mówi się o potrzebach, to często ogranicza się je tylko do potrzeb Łodzi.

Hieronim Bartel wołał o pomoc dla szkolnictwa wyższego, które jest w trudnej sytuacji.

Marian Zdrojewski słusznie twierdził, że pogląd, iż kultura, oświata, zdrowie mogą poczekać lansowany jest od 40 co najmniej lat i przez te co najmniej 40 lat jest poglądem fałszywym i szkodliwym społecznie.

Ktoś powiedział, że są to wołania na puszczy i niewątpliwie miał rację. Wśród tego wołania smutkiem napawał głos Henryka Czyżewskiego z Komisji Oświaty i Wychowania, który upomniał się o interesy oświaty w imieniu dzieci. Ich potrzeby też są na ogół zaspokajane w minimalnym stopniu. Ale jak twierdzi przysłowie z pustego i Salomon nie naleje. A niedostatek pieniędzy znakomicie ogranicza samorządność i samodzielność tak RNML, jak i pozostałych rad narodowych stopnia podstawowego. To też jest smutne.

Dyskusja była długa, miejscami nużąca, nie pozbawiona demagogii. Ale demagogia we wszelkich dyskusjach ma już swoje prawo bytu i mało kogo to dziwi. Kiedy dyskusja przedłuża się niepotrzebnie, ludzie odczuwają zmęczenie i wtedy robi się taki szumek na sali. Radni rozpoczęli dyskusje sąsiedzkie, nie słuchając czasem tego, co mówiło się z trybuny Wysokiej Rady. Gdy radni tak radzili, w innym pomieszczeniu pracowała Komisja Uchwał i Wniosków.

Była to długa i chyba wyczerpująca praca, bowiem gdy przyszło do odczytania wniosków, radni ze zdumieniem stwierdzili, że wnioski nie pokrywają się z tym, o czym była mowa na VIII Sesji Rady Narodowej Miasta Łodzi. Wybuchła niemal awantura. Jedni zupełnie pogubili się w tym wszystkim, drudzy próbowali wprowadzić jakiś ład. Sesja rozpoczęła się o godzinie 9.00 a dochodziła już 16 i ludzie byli normalnie zmęczeni. Co przytomniejsi rozpoczęli walkę o swoje racje, wprowadzając niezbędne ich zdaniem poprawki do uchwały.

Było też kilka weselszych momentów, które — jak to trafnie określił przewodniczący RNML, Andrzej F. Grabski — złożyły się na folklor tej sesji.

Tak więc jeden z radnych wszedł na trybunę i zawołał, żeby tu nie obrażać radnych. Na co Wysoka Rada zapytała zgodnym chórem: — o co chodzi? Protestujący nie raczył wyjaśnić i krył się już wśród innych radnych. Incydent ten skwitował przewodniczący machnięciem ręki i oświadczeniem: — Ja też nie wiem, ale to nic nie szkodzi!

Oczekiwania na rezultat — jak się okazało — niezbyt owocnych obrad Komisji Uchwał i Wniosków skracano podejmowaniem innych uchwał. Sporo dyskusji wywołał projekt uchwały w sprawie zmian w regulaminie RNML. Prym w tej dyskusji wiedli radni z niedawno powołanego koła radnych bezpartyjnych, którzy, to widać, solidnie przygotowują się do sesji, prezentują niebanalne przemyślenia, wprowadzają do dyskusji wiele ożywienia, świeżości, zmuszają innych do uwagi.

Dalsze oczekiwanie na wyniki pracy Komisji Uchwał i Wniosków skracano rozważaniem wolnych wniosków. Dwa z nich zgłosiło Prezydium RNML. Jeden, mający za podstawę oszczędność papieru przeszedł bez zastrzeżeń. Ożywienie i protesty wzbudził drugi wniosek. Prezydium zaproponowało, aby comiesięczne sprawozdania prezydenta zastąpić kwartalnymi. Na to zgody nie było. Nawet członkowie Prezydium RNML głosowali przeciw. Tylko Andrzej F. Grabski głosował za, ale — jak to sam skomentował — dla przyzwoitości.

Odsiedziałam całą sesję i z ulgą wyszłam z budynku UML. To już po raz drugi Komisja Uchwał i Wniosków (w innym składzie) przedłużyła nad miarę obrady. Dlaczego tak się dzieje? Nie chcę na to pytanie odpowiedzieć, ale myślę, że powinno to zrobić Prezydium RNML. W trosce o czas, zdrowie i sprawność radnych.

BOGDA MADEJ

ze str. 1

Wszystkiego naraz nie da się zrobić, a czas — ucieka.

— Panie prezydencie, czy chce pan przez to powiedzieć, że nie da się na przykład usunąć z łódzkich ulic tych obrzydliwie cuchnących pojemników na odpady? Że one naprawdę muszą stać w bramach, na chodnikach i parkingach.

— Oczywiście, że nie muszą. Mnie też ich widok denerwuje. Chodzi jednak o to, że w śródmieściu śmieciarki nie są w stanie wjechać na podwórka przez wąskie na ogół bramy, a używane obecnie pojemniki są za duże i za ciężkie, aby dozorca mógł je w odpowiednim momencie wyciągnąć na ulicę z podwórka, gdzie powinny one stać. Wiele pojemników jest uszkodzonych, mają pourywane kółka...

— Ależ to nie tylko w śródmieściu! Tak jest w całym prawie mieście, często nawet tam, gdzie są śmietniki, a samochody MPO mają do nich nieźly dojazd. Przy bloku, w którym mieszkam, trzymaniu pojemników w śmietniku przeszkadza jedynie niewielki betonowy próg, który z łatwością można usunąć. Ot, kilka godzin pracy dla dwóch sprawnych robotników, trochę piasku i cementu. Słowem żaden wysiłek i żadne pieniądze. Nikt nie potrafi jednak wyegzekwować tego od spółdzielni. Czyżby Urząd Miasta nie miał takich możliwości?

— Rozmawiałem na ten temat z naczelnikami dzielnic w 1988 roku. Właśnie — żeby zrobić wygodniejsze podjazdy, utwardzić teren, jeśli potrzeba, położyć kawałek asfaltowego dywanika. Wyliczyliśmy, że w skali miasta cała akcja kosztować miała ileś tam milionów. Dobrze — powiedzieli — ale skąd wziąć te pieniądze? I wszystko wzięło w łeb.

W tej chwili widzę tylko jedno wyjście: tam, gdzie nie ma swobodnego dojazdu, a więc przede wszystkim w śródmieściu, musimy powrócić do mniejszych, okrągłych pojemników.

— *Czyli do stanu sprzed kilkunastu lat.*

— Tak. Ale znów problem — skąd wziąć 110-litrowe pojemniki, których nikt nie chce dziś produkować. Zresztą dużych też nam brakuje i to sporo, bo około dziesięciu tysięcy sztuk.

Swego czasu złożyłem w tej sprawie pismo w Urzędzie Rady Ministrów. Ówczesny wicepremier Kozioł obiecał, że pojemniki wejdą do zamówień rządowych, ale efektów jeszcze nie widać.

Ten, kto powziął kiedyś decyzję o przejściu na duże pojemniki, wyrządził takim miastom, jak Łódź, wielką krzywdę. Bo one naprawdę nie nadają się do wąskich ulic, ciasnych bram, małych podwórek, domów, gdzie jest ogrzewanie piecowe, a ludzie pozbywać się muszą dość dużych ilości popiołu. Przecież wystarczy, że spadnie deszcz, a popiół w pojemniku zamienia się w kamień.

— A propos popiołu... Zna pan zapewne ogłoszone w łódzkiej prasie codziennej pismo rady pracowniczej Zespołu Elektrociepłowni w sprawie braku miejsca na składanie odpadów paleniskowych, czyli właśnie popiołów?

— Znam. Przygotowujemy na nie właśnie odpowiedź.

— Autorzy pisma stwierdzają wprost, że „władze administracyjne miasta nie wypełniły swego obowiązku wydzielenia odpowiednich terenów", co w konsekwencji może grozić nawet częściowym ograniczeniem dostaw ciepła do mieszkań.

— Już dwa albo trzy lata temu wydane zostało polecenie, aby znaleźć tereny nadające się do składowania tych popiołów. Wskazano takie, a dyrekcja Zespołu Elektrociepłowni sukcesywnie je rozpoznawała. Okazało się jednak, że przy szerokiej demokracji, jaką teraz mamy, prawie wszędzie odezwały się głosy protestu okolicznych mieszkańców, co tak, jak w przypadku Pałczewa, wydłużyło sfinalizowanie sprawy.

Z drugiej strony, elektrociepłownie zaskoczone zostały ostatnio bardzo niską jakością węgla, który w wyniku spalania daje dwa razy więcej odpadów paleniskowych niż przewidywano. I to się teraz zbiegło.

Mógłbym jeszcze dodać, że kiedy budowano na Widzewie EC-IV, projektowana była tuż obok wytwórnia materiałów budowlanych — z tychże popiołów. Kosztować miała cztery miliardy złotych. Wtedy uznano, że to za dużo i skreślono ją z planów. Dziś, w związku z przewidywaną rozbudową EC-IV, sprawa znów jest aktualna i wszystko wskazuje na to, że taka wytwórnia powstanie, choć nie wiadomo jeszcze, kiedy.

Wszystko na ostatnią chwilę

— Co jednak będzie z odpadami paleniskowymi z elektrociepłowni do tego czasu? Gdzie będą składowane?

— W Byszewach. Jest tam wyrobisko po kopalni kruszywa, które tak, czy tak trzeba by niedługo zasypać, gdyż tak się złożyło, że przez jego środek przebiegać ma autostrada północ — południe. Mamy już za sobą niezbędne uzgodnienia w tej sprawie i lada dzień pierwsze samochody z pyłami dymnicowymi pojadą do Byszewa. Można więc powiedzieć, że sprawy właściwie już nie ma, tym bardziej, że po długich staraniach i uzgodnieniach będziemy rekultywować teren wyrobiska w Szczukwinie koło Tuszyna w województwie piotrkowskim.

— Brzmi to pocieszająco, ale dlaczego czekano z decyzją do ostatniej chwili? Przecież to wyrobisko istniało od dawna.

— Wydaje mi się, że pytanie to powinno być skierowane raczej do dyrekcji Zespołu Elektrociepłowni, która nie przewidziała, iż niezbędne uzgodnienia trwać będą tak długo. Myślano, że wystarczy jedna decyzja Urzędu Miasta.

— Tak samo, jak Urząd Miasta — w sprawie Pałczewa?

— Teraz nie da się już coś nakazywać i — sprawa załatwiona. Teraz lokalne społeczności same chcą decydować o sobie. I to chyba dobrze. Musimy się do tego przyzwyczaić.

— Otóż to. Tylko że teoria wciąż jeszcze często mija się z praktyką. Weźmy chociażby umiejscowienie lunaparku na Zdrowiu. Lokalizacja ta spotkała się z poważną krytyką ekologów oraz sporej części łodzian.

— Z pewnością nie jest to właściwa lokalizacja, bo park na Zdrowiu cierpi, ale podejmując decyzję o jej przedłużeniu, braliśmy pod uwagę, że ludzie do tego miejsca już się przyzwyczaili i że przeniesienie lunaparku gdzie indziej pociągnęłoby za sobą pewne koszty. Poza tym nie mieliśmy przygotowanego innego terenu, więc — nowa prowizorka? To też przecież nie jest rozwiązanie. Dlatego też uznaliśmy, że na razie lepiej niech zostanie tak, jak jest. A w przyszłości — pomyślimy. Sądzę, że do 1995 roku lunapark zostanie stamtąd przeniesiony.

— A może jako architekt potrafi mi pan wytłumaczyć, dlaczego nasi budowlani przystępując do wznoszenia nowych bloków, najpierw wycinają w pień niemal całą okoliczną zieleń? To przerażające!

— Też jestem tym przerażony. Tak nie powinno być. Spójrzmy jednak na sprawę z drugiej strony. Nasze budownictwo jest daleko w tyle nawet w stosunku do planów, bo o potrzebach lepiej wcale nie wspominać. Czy można się zatem dziwić, że jak może, tak ułatwia sobie pracę? A przecież najprościej i najszybciej jest wyciąć wszystkie drzewa i krzewy, ułożyć wzdłuż całego budynku szyny dla dźwigu, obok — materiały, wszędzie mieć swobodny dojazd...

— To rozumiem. Dziwię się jednak, że władze miasta pozwalają budowlanym na takie praktyki. Przecież odtworzenie dawnej szaty roślinnej trwa długie lata i niemało kosztuje, a niekiedy jest prawie niewykonalne, bo co urośnie w ziemi pełnej gruzu, żelastwa i szkła?

— Ogólnie rzecz biorąc, sytuacja ta wynika z niedobrego, moim zdaniem, połączenia w jednym ręku przygotowania dokumentacji, terenu i wykonawstwa. Ale to idzie od samej góry. Bo jeśli nasze ministerstwo nazywa się: Gospodarki Przestrzennej i Budownictwa, a gospodarką przestrzenną zajmuje się tylko jeden departament, to... sam pan rozumie. Przykład zawsze idzie z góry.

— Lepiej będzie dopiero wtedy, gdy to nie przedsiębiorstwa budowlane, ale przedsiębiorstwom budowlanym stawiać się będzie warunki i kiedy odejdziemy od dominacji wielkiej płyty. Ale wracając do spraw mniej odległych. Czy ma pan jakieś sensowne pomysły na zaprowadzenie w łódzkich parkach, na placach, na ulicach porządku i czystości?

— Myślę, że przede wszystkim służby porządkowe, a więc głównie milicja, powinny bardziej ostro i zdecydowanie reagować na wszelkie przejawy zaśmiecania miejsc publicznych, dewastacji zieleni, itp. Są mandaty, kolegia... Musimy na to niewątpliwie zwrócić większą uwagę.

Po drugie: pojawia się możliwość podpisywania umów z osobami prywatnymi, którym za utrzymanie czystości na danym terenie będzie się po prostu płacić. Sądzę, że będziemy z tej możliwości korzystać i że muszą się na to znaleźć pieniądze. Bo jeśli w innych miastach może być czysto, to dlaczego nie w Łodzi?

— Pozwoli pan, że na koniec powtórzę zadane na wstępie pytanie: co pan, jako wiceprezydent Łodzi zrobił dla poprawy stanu środowiska. I dodam drugie: czy jest pan ze swych dokonań zadowolony?

— Szczerze mówiąc, nie jestem zadowolony, bo wiem jak nikłą część tego, co chciałem, udało mi się przez te dwa i pół roku zrealizować. Może pięć procent? A więc dużo poniżej oczekiwań.

Z drugiej strony, muszę powiedzieć, obejmując to stanowisko, nie zdawałem sobie do końca sprawy na jakie wielkie przyjdzie mi natrafić przeszkody w tej dziedzinie. O niektórych nawet mi się nie śniło, tak że czasem odnoszę wrażenie, iż to, co robię, jest przysłowiową walką z wiatrakami. Mam jednak nadzieję, że przyszłość okaże się dla mnie łaskawsza. Zostało mi jeszcze trochę czasu.

— Dziękuje za rozmowę.

Łódź, 17 stycznia 1989 roku.

Rozmawiał:
PAWEŁ TOMASZEWSKI

Foto: Grzegorz Galasiński

Dziewczyna Miesiąca — to jest to!

W kamiennym kręgu

DARIUSZ DOROŻYŃSKI

Najpiękniejsze było jury. Dorodne, trzynastoosobowe, zadowolone z siebie. Spowite w kłęby papierosowego dymu, znad kaw i słonych paluszków z uśmiechem wyższości waliło pytania w przerażone kandydatki. Prawdziwy profesjonał, zresztą przewodniczący — Janusz Rzeszewski musiał wręcz hamować zapędy wielu jurorów, którzy koniecznie chcieli udowodnić, że w przeciwieństwie do dziewczyn czytali „Trylogię" pana Henryka S., bywali za różnymi granicami, a o kobietach wiedzą wszystko. Albo jeszcze więcej. Bo też organizatorzy nowej damsko-męskiej zabawy, czyli wyborów Dziewczyny Roku, a przedtem Dziewczyn każdego Miesiąca chytrze wielce zaprosili do jury... dziennikarzy prasy, radia i telewizji. Ci rzucili się chętnie i tłumnie, toteż w łódzkim Teatrze Nowym zielony, sędziowski stół był mocno oblężony. Niżej podpisany zawodnik z Waszej gazety może by się i do stołów docisnął, ale on, cóż — zawsze wolał bardziej z boku a z większej jakby perspektywy.

Z tej ostatniej zaś dwie cechy obecnych musiały rzucać na kolana: doskonałe przygotowanie jurorów i kawaleryjska wręcz odwaga kandydatek do tytułu. Ja wiem, organizatorzy zawodów czyli firma „Artton" i „Kurier Polski" stawiają osobom płci żeńskiej jeden tylko warunek: mają mieć ukończone osiemnaście lat. Ale też drogie panie: mają to być podobno wybory Najpiękniejszej, nie zaś — Najodważniejszej. A tu same następczynie Emilii Plater i Wandy Wasilewskiej!... Z odwagi i urody.

Pani Małgosia mieszka niedaleko Pszczyny i wychowuje dziecko. Jurorzy, chytrze:

— A kto był właścicielem zamku w Pszczynie, taki serial ostatnio wyświetlano w telewizji?...

— Nie wiem, dopiero się tam przeprowadziłam...

Pani Justyna lubi dużo tańczyć i czytać (ostatnio „Chłopów") i pojechałaby na Hawaje.

Pani Grażyna lubi biegać jak twierdzi „od lasu do lasu", po 20 kilometrów dziennie (juror, redaktor Michał Bunio omdlewał z wrażenia...), ale nie uprawia joggingu i stanowczo zaprzecza jakoby oglądała ciągnące się od miesięcy przygody mecenasa Prado i jego córek.

Pani Monika ma dziecko i chciałaby się zajmować twórczością dziecięcą, gdyż jak powiada — „mam to wrodzone"...

Pani Iwona biega 60 metrów w 6,9 sekundy (red. juror Michał Bunio omdlewa na chwilę...), interesuje się archeologią, ale profesor Michałowski z niczym jej się nie kojarzy.

Po pierwszej godzinie zadowoleni są wyłącznie jurorzy. Przygodni obserwatorzy dzisiejszych zawodów: panie z bufetu, pracownicy techniczni teatru, a także dojrzałe grono fotoreporterów, „kamermanów" i jeden facet z „Odgłosów" — wyraźnie zdegustowani.

— Ależ te kobiety są głupie!!! — dobiega mnie z tyłu ironiczny szept. — Lustra im się w domu wytłukły, czy co?! Zobacz Janek tę, na tych baleronach, a ta fryzura!...

Jędrek Zbraniecki z CAF-u, który — jak mówią — żadnej ładnej dziewczynie nie przepuści (na kliszy), wyraźnie znudzony wdał się w zawodową pogawędkę z innym znawcą damskiego ciała — Piotrkiem Jaskowem. Wszędobylski Konrad Turowski „strzela" głównie... jurorów i ich radosne twarze. Andrzej Wach z miną zawiedzionego nieudanym polowaniem tygrysa przysiada obok. Ziewa całkiem niedyskretnie.

— Andrzej, zobacz tego sympatycznego rudzielca tam, pod ścianą, przy bufecie... — melduję mu po starej znajomości.

Zerka. I po chwili już jest obok. Za nim przemyka reszta bractwa z „Canonami", a nawet Jurek Król z kamerą i ekipą. Pstrykają, szepczą, coś tam zapisują. To pani Anita, charakteryzatorka z teatru... A przed jury kolejne kwiaty polskich pól i miejskich skwerków. Mizdrzą się, trzepoczą rzęsami, opowiadają niestworzone historie, naciągają własne wymiary, włącznie z wzrostem. A publika z tyłu jest bezlitośnie obiektywna:

— Ile? 93 w biuście?! Przecież na tej dobrze by się portki prasowały, taka płaska...

— Ty, popatrz na tą, jaka kaczuszka... No, ta ma niezłą gaśnicę zamiast nosa, że też nikt jej w domu prawdy nie powie...

I jeszcze jedna blondyna i znowu. Panny, mężatki, z mężem na miejscu i w Hanowerze, sporo z dziećmi. Odważne kobiety. Miłe wrażenie pozostawiła po sobie pani Angelika, mocno i równo opalona, ale też okazało się zaraz, że to tatuś był z Tanzanii. W spodniach, ale za to z burzą włosów zjawiła się pani Monika, rezolutna, tata Sudańczyk, więc przepytała jury z powstania Mahdiego.

Moje typy? Jeszcze inna pani Monika, cichutka, skromniutka, zarumieniona z emocji blondynka, w długiej, czarnej sukni. Wrażenie na obecnych zrobiła dopiero w kolejnej odsłonie, gdy przyszło wystąpić w kostiumach kąpielowych. Zmordowane już nieco jury po bynajmniej nie burzliwej dyskusji ograniczyło grono kandydatek do 23 (z 39 startujących). Po zainscenizowanych na poczekaniu tanecznych pląsach na placu boju pozostało dwanaście. Które? Proszę: dwie Beaty, dwie Joanny, Ela, Basia, Monika, Dorota, Angelika, Kasia, Anna i Jola. Finały za tydzień a Dziewczyny Miesięczne staną jeszcze w szranki o tytuł Dziewczyny Roku, na którą, jak niechętnie zeznał red. Henryk Gawuć z „Kuriera Polskiego", też jakiś tam samochód będzie czekał. Zabawa setna! Już na łódzkich finałach wystąpić ma nawet Stenia Kozłowska! A w przygotowaniu (pomysły rozdaję gratis...) zapewne wybory Miss Uśmiechu, Zgrabnej Pupy, Szczupłej Łydki, Miss Pieprzyków, Miss Zimy, Plaży w Ełku i Rynku w Szamotułach! Polki — szykujcie się! Przecież nie macie nic lepszego do roboty, prawda?...

JAN BELCIK

* *

po raz pierwszy
rozstrzelał mnie ojciec
sprzączką od pasa
przyłapując na gorącym
uczynku utraty zdrowia
na leśnym boisku

po raz drugi
na pierwszej zabawie
dziewczyna odchodząc w tańcu

po raz trzeci
popełniłem samobójstwo
godząc się z życiem

* *

przyrzekłem sobie
że napiszę
całą prawdę

a ona pokorna
łasi się do rąk
jak dziecko wbiega
w otoczeniu posłusznych zabawek
prosto pod długopis
— chyba nie potrafię
dotrzymać przyrzeczenia

W kręgu neoromantyzmu

W pamiętnym eseju **„Symfonizm jako romantyczne szaleństwo muzyki" Bohdan Pociej** wskazywał na maksymalistyczną dążność symfonicznej twórczości XIX wieku do ogarnięcia właściwie wszystkiego — istoty bytu, ludzkiego istnienia, uczuć. I to wbrew „zdrowemu rozsądkowi", „złotemu środkowi" i tym podobnym ostrożnym postawom. Można by dopowiedzieć: nawet wbrew samej naturze muzyki, sztuki przecież asemantycznej, nie przedstawiającej.

Gdy w pierwszej połowie obecnego stulecia wielkie wzloty ducha i romantyczne nieokiełznanie ustąpiły miejsca racjonalizmowi i eksperymentom czysto dźwiękowym, nastąpiło w efekcie swoiste wyjałowienie emocjonalne muzyki oraz pozbawienie jej podtekstów metafizycznych. To zaś, wcześniej czy później, musiało spowodować jakąś reakcję. Widzimy ją dzisiaj w coraz wyraźniejszej modzie na neoromantyzm. Moda ta przejawia się zarówno w aktualnej twórczości (vide **Penderecki** i niektórzy młodzi autorzy) jak i w renesansie monumentalnych dzieł orkiestrowych ignorowanych jeszcze nie tak dawno kompozytorów, jak **Bruckner** czy **Mahler.**

Nie wszyscy jednak koryfeusze tamtego okresu są u nas jednakowo hołubieni. Np. w znakomitej skądinąd książce wspomnianego Bohdana Pocieja **„Szkice z późnego romantyzmu"** nie ma ani słowa o artyście, któremu współczesna orkiestra ma do zawdzięczenia szczególnie wiele. Chodzi o **Ryszarda Straussa,** posiadającego w swym dorobku m.in. symfonie, opery, pieśni i wirtuozowskie, z punktu widzenia instrumentacji, poematy symfoniczne. Jakże rzadko utwory te rozbrzmiewały na krajowych estradach i w teatrach muzycznych! I pewnie dlatego wielu kojarzy nazwisko ich twórcy (co sam sprawdziłem) z wiedeńskim walcem.

Dobrze się stało, że tym niemieckim neoromantykiem zainteresował się łódzki **Teatr Wielki.** Jak wiadomo, w przyszłym tygodniu odbędzie się — pierwsza w dziejach lokalnej sceny — premiera **„Kawalera z różą"** Wcześniej przewidziano prezentacje symfoniczne. W trakcie wrześniowej inauguracji sezonu odtworzono mianowicie ekspresjonistyczny już nieomal poemat **„Śmierć i wyzwolenie"** oraz **„4 Ostatnie pieśni"** na sopran i orkiestrę, z udziałem **Teresy Wojtaszek-Kubiak.** „Śmierć i wyzwolenie" powtórzono podczas ostatniego, XXVIII „Warsztatu operowego" w Łodzi (19.II.) i Kaliszu (26.II.). Na łódzkiej edycji warsztatu „4 Ostatnie pieśni" zaśpiewała ponadto, trafnie uwypuklając ich silny emocjonalizm, **Irena Głowaty.** Orkiestra prowadzona batutą **Aleksandra Tracza** nie wzniosła się wprawdzie tym razem na szczyty zespołowego kunsztu i perfekcji (szczególnie, jeśli idzie o kwintet smyczkowy w poemacie symfonicznym), trudno jednak byłoby odmówić temu spotkaniu ze Straussem walorów artystycznych i poznawczych. Sylwetkę kompozytora plastycznie przedstawił **dyr. Pietras,** o muzyce ze znawstwem opowiadał kapelmistrz. Była okazja do zastanowienia się nad istotą neoromantycznego stylu ze specjalnym uwzględnieniem programowości, a więc literackich inspiracji w muzyce i ich wpływu na formę dzieła. Była okazja do analitycznego odbioru muzyki.

Wydaje się zresztą, że „Warsztaty operowe" coraz lepiej spełniają swą upowszechnieniową rolę. Kontakt z najlepszymi artystami, niewymuszona atmosfera, swobodna, „aleatoryczna" forma spotkań dopuszczająca nie zaplanowane ingerencje „loży prasowej" i możliwość zadawania pytań przez wszystkich uczestników — idą w parze z coraz właściwszym wyważeniem proporcji pomiędzy stroną anegdotyczną a merytoryczną. Cóż — oby tak dalej!

JANUSZ JANYST

PESTKI DYNI

Stanisław Romaniak — rzeźbiarz i poeta. Debiutował w 1967 r. w „Wieściach" krakowskich. Do tej pory wydał cztery tomiki wierszy. W poezji zajmują go raczej sprawy związane z bliskimi mu ludźmi. Córce Monice poświęca cały tom wierszy o niej i do niej skierowanych i przez jej osobę do tych wszystkich, którzy zajmują miejsce w jego sercu.

Poezja Romaniaka to swego rodzaju intymny pamiętnik, dziennik zdarzeń z codziennego albo najbliższego świata. Świata, który zwie się DOMEM, bo ma on dla artysty szczególne znaczenie.

Przez całe swoje niełatwe życie chciał go zbudować i wielokrotnie zabierał się do tego w różnych miejscach. Wychowany właściwie bez ojca, tylko przez matkę, zmuszony pracować w najróżniejszych kątach kraju, nie rozumiany przez „odnośne władze" rzeźbiarz i poeta tęsknił za własnym kątem, gdzie mógłby żyć z rodziną i pracować. Raz był już blisko zbudowania chałupy pośrodku Puszczy Kampinoskiej, innym razem na Podgórzu, w Godzianowie zabrał się do remontowania zameczku... I zawsze coś czy ktoś mu w tym przeszkodziło. Czasami wątpił w możliwość realizacji swoich marzeń:

Babka opowiada bajki
nie miałem babki
nie miałem dziadka
ojciec też wcześniej umarł
pozostali żyją
dorosłem i ożeniłem się
nie mam domu
ale mam meble
brakuje mi tylko wozu
wystarczyłby taki cygański
ale nie mam konia
ja nic nie mam
ale znam bajkę
że będę miał

Ale mimo wszelkich trudności — a było ich niemało — uparty charakter górala na koniec wygrał. Staszek zbudował swój DOM rzeczywiście, i w przenośni. W Skierniewicach. I nazwał go GAZDÓWKA.

Mieszkanie, pracownia, w nowo dobudowanej Galerii miejsce do ekspozycji rzeźb, obrazów, grafik... W programie Galerii są pokazy dzieł zaproszonych przez gospodarza artystów. Aktualnie wystawia tam znana łódzka malarka **Helena Tchórzewska...** W Galerii dzieją się również inne rzeczy — wszystkie z kulturą związane. A przed GAZDÓWKĄ stoją rzeźby duże i małe, stoją w trawie, oparte o parkan, o ściany domu, o ganek... Jeśli można użyć takiego określenia, to poezja Staszka Romaniaka jest poezją tego wszystkiego, co na wyciągnięcie ręki. Bardzo prosta w swojej konstrukcji i metaforyce, wyzbyta udziwnień formalnych i splątrzonych metafor, oczyszczona z potrzeby epatowania niezwykłością, intymna, bez krzty ekshibicjonizmu, czasem naiwna, łatwo czytelna w swoich odniesieniach treściowych, wzrusza swoją szczerością. Bez trudu dostrzegamy, że pisana jest z wewnętrznej potrzeby, bez estetycznego programu i bez zastanawiania się jak zostanie przyjęta przez kogoś „z zewnątrz". Bo ten ktoś „z zewnątrz" właściwie nie liczy się zupełnie. Adresatami są ludzie najbliżsi — żona, córka, matka, dom... Chyba, że ten ktoś siada z nim wieczorem przy stole do kolacji jako przyjaciel...

Te „Pestki" traktuję jako swój głos w dyskusji, komu przyznać kolejną nagrodę „Odgłosów".

ANDRZEJ GRUN

P.S. Pewne fragmenty powyższego tekstu wzięłem z mojej książki **„Między Odessą a Paryżem"**, która ma się ukazać niebawem w Łódzkim KAW.

STULECIE SCENY POLSKIEJ

Dziedzictwo

To prawda, że historia teatru łódzkiego sięga połowy ubiegłego stulecia, do odnotowanych w kronikach miasta występów zespołu **I. Marzantowicza** w 1844 roku w tzw. **Domu Zabaw** — jak wszystko na to wskazuje — przy ul. Piotrkowskiej 280, należącym do Ludwika Geyera. Do bezspornych faktów historycznych należą też wydarzenia z drugiej połowy ub. stulecia, kiedy to przy ul. Piotrkowskiej 175a wybudowano teatr **„Paradyz"**, w którym występowały przyjeżdżające do Łodzi trupy teatralne, potem otwarcie w 1866 r. nowej sali teatralnej, przy ul. Konstantynowskiej, w budynku zwanym później **„Arkadią"**, gdzie występowały głównie polskie zespoły. W rok później w teatrze „Paradyz" powstaje stała scena niemiecka, przeniesiona w piętnaście lat później na ul. Dzielną, do nowego gmachu teatralnego **„Thalia"** (obecnie kino „Bałtyk"). To są fakty. Jednakże przełomowym wydarzeniem w teatralnej historii miasta stał się rok 1888, kiedy to z inicjatywy **Łucjana Kościeleckiego** (recenzenta i felietonisty „Dziennika Łódzkiego"), przebudowano wzniesiony jedenaście lat wcześniej teatr **„Victoria"**, mieszczący się w budynku nieczynnego dzisiaj kina „Polonia" przy ul. Piotrkowskiej 67 i tu właśnie, 6 października 1888 roku, zainaugurowano pierwszy sezon teatralny sztuką popularnego wtedy dramatopisarza i krytyka **Kazimierza Zalewskiego** pt **„Małżeństwo Apfel".**

Po okresie pierwszych sukcesów pozostająca w prywatnych rękach, pozbawiona stałych subwencji scena zaczęła podupadać, borykając się z ciągłym widmem bankructwa. Dopiero powstałe w 1903 roku **Polskie Towarzystwo Teatralne** zaczęło wspierać zarówno moralnie jak i materialnie, poczynania dyrekcji stałej sceny polskiej w mieście. A kierowali łódzką scena i związani z nią byli najwybitniejsi ludzie teatru polskiego — od **Aleksandra Zelwerowicza, Arnolda Szyfmana, Bolesława Leśmiana, po Karola Adwentowicza, Stanisławę Wysocką i Leona Schillera.**

„Stulecie stałej sceny polskiej — jak pisała na naszych łamach **Anna Kuligowska** — jest nade wszystko jubileuszem **Teatru im. Stefana Jaracza.** To właśnie zespół tego teatru dziedziczy w pierwszym rzędzie tradycje najdawniejszych łódzkich przedstawień. To tutaj — przy ul. Cegielnianej 63, obecnie ulicy Stefana Jaracza, znajduje się najstarszy gmach teatralny w Łodzi, czynny od roku 1909. To jego dyrektorzy, **od Aleksandra Zelwerowicza do Bogdana Hussakowskiego** nie ustawali i nie ustają w wysiłkach, aby Łódź uzyskała sukcesy artystyczne na miarę wielkości miasta.

Stulecie teatru zbiega się z 10-leciem pracy twórczej Bogdana Hussakowskiego który wniósł do dorobku tej sceny swój znaczący wkład. Wystarczy odwołać się do tak ważnych wydarzeń, które były jego udziałem, jak **„Zdziczenie obyczajów pośmiertnych" Bolesława Leśmiana,** przedstawienia będącego prapremierą światową, jak **„Wielkanoc" A. Strindberga, „Ferdydurke" W. Gombrowicza, „Wesele" S. Wyspiańskiego, czy „Niebezpieczne związki" Ch. Hamptona.** To za dyrekcji Hussakowskiego Teatr siedmiokrotnie zdobywał **„Srebrną Łódkę"**; stał się głośny w kraju dzięki tak wybitnym spektaklom jak **„Pamiatki Soplicy" H. Rzewuskiego i „Trans-Atlantyk" W. Gombrowicza** w reżyserii **M. Grabowskiego;** dzięki **M. Prusowi,** który wyreżyserował na tej scenie **„Dziady"**, czy **T. Bradeckiemu** — twórcy **„Pana Jowialskiego" A. Fredry.**

To w ciągu ostatniego 10-lecia mieliśmy okazję widzieć na tej scenie efekty współpracy z wybitnymi artystami zagranicznymi: **„Anatola" A. Schnitzlera** w reżyserii gościa z Austrii — **Willibalda Bernharta, „Rewizora" N. Gogola** w reżyserii **Walerego Fokina** ze Związku Radzieckiego, **„Pokojówki" J. Geneta** w reżyserii hiszpańskiego twórcy **Angela Facio** czy wreszcie **G. Stefanovskiego „Czarną dziurę"** w reżyserii **Ljubisy Georgievskiego** z Jugosławii. Można by tu na koniec wymienić liczne nagrody zdobywane na ogólnopolskich konkursach, festiwalach i przeglądach teatralnych, w jakich uczestniczył Teatr im. S. Jaracza.

Zainaugurowane w ub. roku obchody Stulecia Stałej Sceny Polskiej zbliżają się do końca. Najważniejsze wydarzenia, jakie przypadają na najbliższe dni to przegląd najwybitniejszych dokonań teatru, który w dniu 12 bm. zapoczątkuje **„Trans-Atlantyk"** (przedstawienie poprzedzone uroczystym otwarciem wystawy **Romualda Sakowicza pt. „23 próby opowiadania o teatrze")** Potem w kolejnych dniach będziemy mieli okazję obejrzeć: **„Bramy Raju", „Dziady", „Pana Jowialskiego", „Wesele", „Ferdydurke", „Śledztwo" S. Themersona** w reż. **M. Prusa, „Sen srebrny Salomei" J. Słowackiego** — premierowe przedstawienie **B. Hussakowskiego** i wreszcie uroczystości jubileuszowe, które odbędą się 20 marca br.

Od 13 do 17 marca w kawiarni CIK, przy ul. Zamenhofa odbędzie się przegląd spektakli zarejestrowanych dla TV. Każda projekcja poprzedzona zostanie spotkaniem z reżyserem.

Nic tylko pogratulować dorobku i życzyć drugiego stulecia.

MARIAN ZDROJEWSKI

Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata

Rys. Stanisław Tuczyński

JERZY GRUZA O TEATRZE

Znany i ceniony reżyser filmowy, teatralny **Jerzy Gruza** — obecnie dyrektor Gdyńskiego Teatru Muzycznego, na pytanie w jakiej kondycji znajduje się jego teatr obchodzący w tym roku 30-lecie mówi:

„Uważam, że w dobrej. Publiczność chyba też: wpływy ze sprzedaży biletów wyniosły w ub. r. 115 mln zł (!) bez organizowania widowni, bez naganiania.. jeździliśmy trochę po świecie z rock-operą **„Jesus Christ Superstar"**, którą pokazywaliśmy w Kanadzie, USA, ZSRR... Był projekt wystawienia tej rock-opery na Stadionie X-lecia, ale upadł z powodów finansowych... Proszę pana, jeżeli 100 tys. widzów — a zakładaliśmy, że tyle przyszłoby na stadion — płacąc po 1000 zł za bilet nie jest w stanie zagwarantować organizatorom zysku, to o czym tu mówić? Podatek od wynagrodzeń z pewnością zasila fiskusa, ale chyba nie o to powinno chodzić... Specjalnie na 30-lecie przygotowujemy wielką inscenizację **„Nędzników"** według Hugo, widowiska będącego obecnie światowym szlagierem. Prawo na wystawienie „Nędzników" otrzymaliśmy od angielskiej agencji „Mac Intosh", która kontroluje realizację tego przedstawienia na całym świecie... Zawarliśmy bardzo szczegółowy kontrakt określający nie tylko warunki techniczne nagłośnienia, scenografii, czy instrumentarium, ale nawet wielkość... czcionki na afiszach. Premierę przewidujemy pod koniec maja...

Krytycy często narzekają, że ludzie nie chcą chodzić do teatru. I nie ma co się dziwić. Tyle interesujących rzeczy dzieje się wokół nas, jest telewizja, radio, są gazety. Bardzo trudno przełożyć ten ciąg zdarzeń na aktualny język dramatyczny, bo formuła teatru tradycyjnego już się chyba przeżyła.

Współczesne widowisko powinno operować wszystkimi dostępnymi technikami oddziaływania na widza: od muzyki, tańca, rytmu i słowa po scenografię. Staramy się to robić w naszym teatrze i w gruncie rzeczy jest to powrót do źródeł, powrót do tego, co było kiedyś istotą teatru, bo przecież nie było nią gadulstwo."

Nic tylko pozazdrościć!

A MOŻE BY U NAS?

W Katowicach powstało **Towarzystwo Przyjaciół Wielkiej Orkiestry Symfonicznej Polskiego Radia i Telewizji.** Jego głównym celem jest udzielanie orkiestrze wszechstronnej pomocy, zwłaszcza w zakresie remontów, zakupów instrumentów i usług poligraficznych, a także wspieranie finansowe. Towarzystwo będzie rozwijać kontakty z inn- ganizacjami działającymi w środowisku muzyków oraz wśród miłośników muzyki, popularyzować osiągnięcia WOSPRiTV.

Prezesem został muzykolog — **prof. Leon Markiewicz** z Akademi Muzycznej im. Karola Szymanowskiego w Katowicach.

PREKURSOR

W londyńskiej Harvard Gallery otwarta została wystawa poświęcona **Leonardowi da Vinci.** Zgromadzone na wystawie zbiory pochodzące z muzeów Paryża, Florencji, Nowego Jorku, Madrytu oraz z kolekcji królowej Elżbiety II na zamku Windsor, ukazują ogromną skalę zainteresowań i wszechstronną działalność włoskiego artysty. Są to m.in. szkice, rysunki oraz wykresy obrazujące zasady ruchu, szczegóły anatomii ludzkiej i zwierzęcej, a także mapy rzek włoskich i okolic Florencji. Model latającej maszyny z mosiądzu, żelaza i skóry skonstruowanej według oryginalnych szkiców artysty stanowi jeden z najciekawszych eksponatów. Znajdują się tu również makiety innych wynalazków ilustrujące pomysły Leonarda da Vinci w dziedzinie inżynierii. Zainteresowani mogą poznać współczesne zastosowanie niektórych pomysłów.

„MARZENIA"

Akira Kurosawa rozpoczął zdjęcia do filmu **„Marzenia"**, który będzie się składał z dziewięciu epizodów. Wśród „marzeń" reżysera są m.in. senne mary, śnieżna pustynia, podróż do idyllicznej japońskiej wioski sprzed wieków i spotkanie z Vincentem van Goghiem. Stroną techniczną projektów Kurosawy zajmuje się **Steven Spielberg** i jego wytwórnia Amblin-Ertentainment oraz **George Lucas,** który wraz z „Industrial Light and Magic" opracuje efekty animacyjne i komputerowe. Koszty produkcji szaco-

Łódź na mieliźnie

— Rozmowa z PAWŁEM NOWICKIM

— Podobno odchodzi pan ze swojego teatru?...

— Wolałbym powiedzieć, że idę na swego rodzaju urlop.

— Tak czy owak przestaje pan być dyrektorem Teatru Studyjnego. Dlaczego? Czy został pan zmuszony?

— Nie, jest to moja własna, niewymuszona decyzja. Muszę podreperować zdrowie i rozwiązać niektóre problemy rodzinne. Poza tym, proszę pani, dyrektorem jestem już osiem lat i to w okresie jednym z najgorszych i najtrudniejszych w historii tego kraju. To wyczerpuje. A poza tym nie mam jeszcze czterdziestki i jeżeli chcę dokonać czegoś istotnego w swym życiu, to muszę „naładować akumulator", tzn. douczyć się, złapać dystans, zdobyć inną perspektywę artystyczną.

— A nie mógł pan tego robić jako dyrektor?

— Nie tylko jako dyrektor, ale także jako artysta. W tym kraju nikt nie troszczy się o to, bym się czegoś uczył, więcej czytał, znał więcej języków itp. Jesteśmy, delikatnie mówiąc, wyjątkowo eksploatowani. Wie pani, kiedyś dyrektorami teatrów byli ludzie, no, może nie wszyscy, których można by nazwać obywatelami Europy. Chciałbym być taki. Myślę, że nie tylko mnie wyjdzie to na dobre.

— Ale przecież mówi się, że jedzie pan do Ameryki Południowej, że kroi się panu coś lepszego?

— Nic mi się nie kroi. Mój wyjazd do Kolumbii jest krótki i prywatny. W tej krążącej po mieście informacji kryje się przerażające przekonanie, że lepiej być biednym i chorym niż bogatym i zdrowym.

— Więc jednak... A przecież otrzymał pan budynek teatralny, scenę, pieniądze, wreszcie mieszkanie.

— A także żonę, a ostatnio dziecko. Proszę pani, czy ktoś zdrowy na rozumie ma pretensje do sprzątaczki, że dostała szczotkę, albo nawet odkurzacz. A do tkaczki, że ho! ho!, dostała całe krosno. Jeżeli jeszcze istnieje zawód dyrektora teatru, to teatr, budynek, scena i co tam jeszcze pani chce, jest po prostu jego warsztatem pracy. A pracuje nie tylko dla siebie, ale dla narodu, społeczeństwa, człowieka. Ja w ten teatr włożyłem masę swojej energii, wiedzy, zdolności, talentu. Zabagnioną do granic niemożliwości placówkę wyprowadziłem na przyzwoity poziom organizacyjny i artystyczny, o czym wiedzą wszyscy, którzy zetknęli się wcześniej z Teatrem Ziemi Łódzkiej, a potem z Teatrem Studyjnym. Można oczywiście tego nie dostrzegać. Tylko co komu z tego przyjdzie?

— Stworzył pan teatr konkurencyjny dla innych scen.

— Bo była taka szansa. I nie wiem, czy mi się taka jeszcze kiedyś w życiu zdarzy.

— Na czym, pańskim zdaniem, polegała odrębność sceny przy Kopernika?

— Na tym, że udało się namówić do współpracy najlepszych przedstawicieli inteligencji tego miasta. Na tym, że usiedli na widowni ludzie mądrzejsi, wrażliwsi. Na tym, że wszyscy chcieliśmy coś ludziom powiedzieć, a nie tylko produkować przedstawienia, tzn., że ten teatr posiadał pewną ideę, pewną wizję świata, którą widzieli nasi widzowie, ale której nie dostrzegała instytucjonalna krytyka łódzka. Była to jednak wizja czy idea łatwo zauważalna dla krytyków pozałódzkich, o różnych zresztą orientacjach światopoglądowych. „Tygodnik Powszechny" określił to teatrem „postawy obywatelskiej".

— Prawdą jest, że niektórzy uważają pański teatr za hermetyczny i dziwaczny. Także za awangardowy.

— Być może hermetyczny i dziwaczny. Ale czy awangardowy? W końcu odwołujemy się do powszechnie znanej tradycji teatralnej XX wieku. Niechże się pani przyjrzy tym, których to szokuje, zwolennikom, jak mówi mój przyjaciel, lansowanej w naszym mieście „wyższej kulturki".

— Dobrze, ale wróćmy do tego, co pan mówił o „postawie obywatelskiej".

— Na ten temat trudno mi odpowiadać. Myśmy to sobie wewnętrznie nazwali „lirycznym teatrem politycznym", tzn. takim — jeśli można to tak określić — który łączyłby koncepcję „sztuki dla sztuki" z penetracją przestrzeni politycznej i społecznej. Dla mnie i dla mojego pokolenia życie polityczne było rzeczą bardzo ważną. Miało bowiem zdecydowany wpływ na nasze życie prywatne. Ja i moi przyjaciele wielokrotnie dostawaliśmy po łapach za to tylko, że próbowaliśmy zrozumieć, kim jesteśmy i co nas czeka. Nazywało się to „opozycją". A „sztuka dla sztuki"? No bo, nigdy nie chciałem zostać politykiem, tylko artystą.

— No i został pan artystą, na dodatek tzw. kontrowersyjnym.

— To znaczy jakimś.

— Czy w związku z tym miał pan kłopoty?

— Oczywiście. Jak mówi Chandler „kłopoty to moja specjalność".

— Czy nie popierały pana władze? Był pan przecież w Łodzi dyrektorem przez pięć lat.

— Proszę pani, w Łodzi, tak jak wszędzie, władza nie jest monolitem. Jedni mnie popierali, drudzy niszczyli, czy starali się zniszczyć. Myślę, że jednym z problemów łódzkiej kultury jest to, że jest ona bardziej niż w innych miastach kartą w grze. A ponieważ nigdy to nie jest za, tylko co najwyżej jakiś dupek żołędny, to jego losy są zawsze związane z różnymi konfiguracjami. Że nie wspomnę o tym, że czasami w grę wchodzi jakiś piąty, nieznany żółty kolor. Łódź nigdy nie kochała swoich artystów. A artysta wymaga takiej czy innej formy miłości. Mimo że się w tym mieście urodziłem, czuję się niepotrzebny i nie mam poczucia bezpieczeństwa. Łódź, z jednej strony nie docenia ludzi, których posiada, na przykład **Jan Tomkowski**, który nie mógł ostatnio otrzymać zaświadczenia, że jest literatem **Sławą Lisiecką**, może najwybitniejszy tłumacz literatury niemieckiej, **Maria Kornatowska**, od piętnastu lat mieszkająca w Łodzi, **Wojciech Has**... Za to cała kulturalna Łódź pochłonięta jest konstruowaniem hierarchii, która nikogo nie obchodzi, nawet w Zduńskiej Woli, nie mówiąc o Warszawie, Krakowie, Poznaniu czy Wrocławiu.

— A jak z pańską miłością do swoich pracowników? W końcu odeszło od pana wielu świetnych aktorów.

— Bo ja, proszę pani, posiadam okropny charakter. I w tej koncepcji teatru, którą chciałem realizować, wymagałem od kolegów rzeczy, w tej rzeczywistości, niemożliwych, tzn., żeby poświęcili dla sceny wszystko. Początkowo wydawało się, że jest to do zrobienia. Ale przecież nie można działać w próżni. Dziś ludzie są niecierpliwi i jest to naturalne. Musi być odzew, musi być poczucie sukcesu. I to natychmiast. Taka jest rzeczywistość społeczna. Niech pani zwróci uwagę, jak w ostatnich latach wygląda mechanizm sukcesu. Szybki wzlot i błyskawiczny upadek. Niemniej jednak wszyscy tego potrzebujemy. Jest to taki czas, w którym nie ma czasu. Dorastamy, zakładamy rodziny i musimy zapewnić im byt. W Polsce dzisiejszej nie ma alternatywy między drugim programem telewizyjnym a pracą w teatrze.

— No dobrze, ale dlaczego ci aktorzy odeszli?

— Przyczyn było wiele. Tkwiły we mnie w nich, ale również w zabagnionej rzeczywistości polskiego teatru i w ogóle życia. Jeżeli marzę o tym, żebyśmy się kiedyś spotkali, to muszę coś zrobić. I to moje odejście z Teatru Studyjnego ma temu, w co wierzę, służyć.

— To znaczy, kapitan opuszcza tonący okręt...

— Uważam się za człowieka odpowiedzialnego. Od momentu kiedy zostałem dyrektorem Teatru Studyjnego popadłem w konflikty z wieloma ludźmi. A wynikało to właśnie z tego, że była dla mnie ważniejsza moja firma niż układy. Moje odejście z Teatru Studyjnego jest w jakimś sensie również pochodną tego przekonania. Chcę przez to powiedzieć, iż nie czuję się na siłach sprostać wszystkim moim obowiązkom. W tej chwili. Mam nadzieję, że w niedługim czasie będę mógł kontynuować swoją pracę. A co do tonącego okrętu... Teatr Studyjny jest w tej chwili dobrze prosperującym teatrem z własną publicznością. A do końca bieżącego sezonu są ustalone plany artystyczne.

— A co dalej?

— To nie zależy ode mnie. Mimo plotek Teatr Studyjny nie jest moją prywatną własnością. Różne dochodzą słuchy. Najśmieszniejsza, a być może najbardziej realna, jest koncepcja, aby Studyjny zamienić w Teatr „Pinokio", który zaczął się remontować razem z nami, a w dalszym ciągu nie ma gdzie grać. Uważam, że pomysł jest pyszny. Istnieje jeden mankament. W Teatrze Studyjnym pisuary są zbyt wysokie dla dzieci i trzeba je obniżyć. A znając sprawność Teatru „Pinokio" w dziedzinie remontowej, oznacza to wyłączenie kolejnej placówki na następne pięć lat.

— Tak czy inaczej z pańskim odejściem czegoś w Łodzi zabraknie.

— Proszę pani, Teatr Studyjny może chcą zatopić, ale Łódź dawno już osiadła na takiej mieliźnie, iż sądzę, że kiedy powrócę, znajdę ją w tym samym miejscu. Niech żyje Łódź, Metropolia Mediów Wschodu.

Rozmawiała:
JOANNA OLCZAK

W „Pokoju dziecinnym"

Dobrze się stało, że w rocznicę niepodległości Polski Teatr Studyjny '83 podjął się wystawienia **„Pokoju dziecinnego" Emila Zegadłowicza.** Pomysł napisania tego utworu powstał w roku 1934 po zakończeniu „Zmór".

„Dramatis personae" „Pokoju dziecinnego" to, poza autorem, sześciu młodych ludzi, którzy w latach poprzedzających II wojnę światową stanowił otoczenie Zegadłowicza. Młodzi artyści i pisarze garnęli się do Gorzenia Górnego — domu pisarza panująca tam atmosfera sprzyjała wymianie poglądów i myśli. Wszystkie osoby występujące w sztuce to ludzie żywi, wzięci spośród owej młodzieży artystycznej.

Ta udramatyzowana fikcyjna dyskusja słuchaczy „Zmór" jest mało sceniczna. Zatem słusznie reżyser wprowadził kilka barwnych postaci ze „Zmór" — Dziadka, który tak zatruwał życie całej rodzinie, wszechwładną i despotyczną Babkę, zbzikowaną Anielę i Wuja-alkoholika. Kilkakrotnie też zaznacza swoją obecność Dziewczynka, a także Emil — uosobienie żołnierza, tępego i posłusznego. Wszystkie te postaci wypełniają i ożywiają atmosferę domu, w którym toczy się rozmowa. Niejednokrotnie mamy wrażenie, że Autor — którego sugestywnie odtwarza **Rafał Zabiński** — jest jednocześnie Mikołajem ze „Zmór".

Uczestnicy dyskusji (Władysław — **Mariusz Siudziński**, Zdzisław — **Sławomir Olszewski**, Franciszek — **Andrzej Jakubus**, Józef — **Paweł Królikowski**, Jan — **Tomasz Kubiatowicz**, Wincenty — **Bogdan Lęczar**) prowadzą ją żywo, dowcipnie, ba nawet kpiarsko. Padają ostre, nierzadko aktualne repliki. Widz ma czasami ochotę wtrącić swoje „trzy grosze". W tym satyrycznym pamflecie nie brak groteski i motywów surrealistycznych (np. finalny obraz wojny). Dyskusja na poły polityczna, na poły społeczno-obyczajowa, tchnie pesymistycznym naturalizmem i anarchizmem. Świat bez państw, granic, narodów. Ostrze satyry skierowane zostało przeciw sanacji, wojsku, klerowi, szkolnictwu i literaturze mieszczańskiej Polski przedwojennej. Dyskutanci kpią z tradycji polskiej i snują, nie bez racji, katastroficzną wizję Europy.

Józef z przekonań rewolucjonista, zdaje się być zrezygnowanym. Stary rozpustnik — Franciszek stara się każdą kwestię sprowadzać do spraw biologii i w niej upatrywać źródła wszelkich działań, zarówno pozytywnych jak i negatywnych. Używa przy tym słów lubieżnych, lecz już dziś nikogo to nie bulwersuje.

Alberto Moravia twierdzi, iż: „sztuka nie ma moralności. Wyraża tylko to co w człowieku jest tłamszone". Andrzej Jakubus ujawnia myśli Franciszka w sposób frywolny, pozbawiony odrazy. W rozmowie wyróżnia się Mariusz Siudziński, który błyskotliwie prezentuje myśli Władysława na temat sztuki. Interesujący jest stosunek Autora do cenzury i wojska. Chciałoby się powiedzieć: „a tu aktualność skrzeczy"!

Jedyna postać kobieca odgrywająca większą rolę w sztuce — to Balbina. Kobieta zjawa — uosobienie myśli Autora. Pomimo, iż **Ewa Biała** nieźle ucieleśniła tę nieco demoniczną postać, żądną miłości ,to jednak wolę Balbinę — odmienioną, oczyszczoną i wysublimowaną, nie tylko ze względu na jej szlachetność, ale i kreację **Beaty Bajerskiej**.

Całemu zespołowi teatru należy się uznanie za przybliżenie jednego z najważniejszych dramatów Zegadłowicza, bo choć minęło pół wieku od skonfiskowania jego utworów, to „zmorowatość" w naszym społeczeństwie jeszcze jest obecna.

DANUTA KONIECZNA-MALATYŃSKA

Emil Zegadłowicz: „Pokój dziecinny". Reżyseria — Paweł Nowicki; scenografia — Magdalena Maciejewska; muzyka — Tadeusz Woźniak. Prapremiera — luty 1989.

Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata •

wane są na 12 mln dolarów, a premiera filmu planowana jest na koniec br.

KTT O TV

Na pytanie Zygmunta Kościelskiego, czy zgadza się z opinią, że w naszej telewizji brakuje osobowości, **Krzysztof Teodor Toeplitz** powiedział (dla „Anteny"):

— Oczywiście, że się z tym zgadzam. Jest to rezultatem straszliwej fali najrozmaitszych czystek jakie się w niej dokonały. Pierwsza z nich miała miejsce, gdy do telewizji przyszedł Maciej Szczepański. Ale, cokolwiek by się o nim mówiło, trzeba przyznać, że zrobił on telewizję bardziej nowoczesną i pracowali tam ludzie dobrze się na niej znający, jak choćby **Mariusz Walter** czy **Janusz Rolicki**. W roku 80. wyrzucono wiele osób, a później przyszedł bojkot telewizji i pewna grupa ludzi odeszła bądź nie chciała do niej przyjść. Następnie kolejne prezesury powodowały zmiany personalne. W konsekwencji nasza telewizja zatraciła to co mają wszystkie telewizje na świecie, to znaczy ciągłość dorobku i możliwość kształcenia kadr. Została spalona ziemia i nikt nie kontynuuje tradycji. A dzieje się tak dlatego, że nikt o tym dorobku nic nie wie, ponieważ są to ciągle nowi ludzie. Nie ma ustalonej kadry, a ta która jest obecnie, stanowi wynik selekcji negatywnej. Mało tego. Ponieważ w telewizji dobrze się zarabia, wszyscy są zajęci tym jak zarobić pieniądze najmniejszym kosztem. Będąc posłusznymi i wykonując zadania, dbając o to, aby się nie narazić. Nie mając dobrze opanowanego warsztatu operują kilkoma najbardziej prymitywnymi chwytami bojąc się samodzielnie myśleć...

DO KOŃCA ŻYCIA

Najnowsza książka 81-letniego dziś **Alberto Moravii „Il Viaggio a Roma"** (Podróż do Rzymu) natychmiast znalazła się na liście bestsellerów. Moravia porusza w niej typowe dla jego pisarstwa tematy ukazujące bohatera trawionego zmysłowością, seksualnymi obsesjami, fałszem, egoizmem i obojętnością na wszystko, co nie służy zaspokojeniu instynktów. Moravia, który kiedyś powiedział, że życie znudziło go gdy miał 6 lat, wyznał, iż interesuje go głównie jeden temat: własny związek z rzeczywistością, niezwykle trudny i złożony. „Pisarz — powiedział ostatnio dla „Reutera" — wycofuje się tylko wówczas, gdy umiera. Co do mnie, zamierzam pisać dopóki starczy mi sił i nawet myśleć nie mogę o innym sposobie spędzania czasu".

SAGA Z SILNYMI AKCENTAMI

W ostatnią niedzielę wszedł na ekran programu I naszej telewizji siedmioodcinkowy serial pt. **„Rzeka kłamstwa" Jana Łomnickiego**, oparty na motywach powieści **Ewy Szelburg-Zarembiny**. Jest to kostiumowy dramat społeczny z przełomu XIX i XX wieku. Jak utrzymują, ci którzy oglądali, jest to posępna, biologiczna wiejska saga z silnymi akcentami naturalistycznymi, a więc: piękna młynarzowa (wdowa), jest grzeszna miłość i nienawiść do młodszej rywalki, są wiejskie intrygi, epidemia czarnej ospy i śmierć, słowem jakby „wprawka" do realizowanego właśnie przez tego reżysera serialu pt. „Helena Modrzejewska".

Warto przy tej okazji odnotować, że Jan Łomnicki zamierza realizować dalszy ciąg popularnego serialu „Dom".

Galeria pisarzy

Rys. Sławomir Arabski

BERNARD SZTAJNERT

Talent go suszy
I powoli zżera,
Mimo to wciąż tęgi
Jest z niego literat!

ROMAN GORZELSKI

Kronika

DLA UCZCZENIA 70 ROCZNICY PIERWSZEGO PO ODZYSKANIU NIEPODLEŁGOŚCI SEJMU USTAWODAWCZEGO (1919—1922), **Muzeum Sejmu Polskiego zorganizowało w gmachu Sejmu w Warszawie okolicznościową wystawę.** Wśród eksponowanych pamiątek **można obejrzeć sprawozdanie stenograficzne z pierwszego posiedzenia Izby, druki sejmowe, teksty wystąpień poselskich.**

REWELACYJNIE ZAPOWIADA SIĘ KONCERT dla uczczenia przypadającej 23 kwietnia br. 20 rocznicy tragicznej śmierci legendarnego już **dziś muzyka jazzowego — Krzysztofa Komedy-Trzcińskiego.** Odbędzie się on **24 kwietnia br.** w sali Operetki Warszawskiej.

Przewidziane są występy zespołu **Young Power, Ewy Dałkowskiej, Hanny Banaszak, Urszuli Dudziak** oraz reaktywowanego sekstetu Komedy pod kierownictwem **Jana Ptaszyna-Wróblewskiego.**

Organizatorzy zaprosili na uroczystość **ponad 200 gości z całego świata.** Spodziewają się przyjazdu wielu sław, m.in. **Romana Polańskiego, Jerzego Skolimowskiego i Andrzeja Wajdy.**

W przededniu uroczystego koncertu, **na Powązkach odsłonięta zostanie tablica pamiątkowa** w hołdzie twórcy słynnej kołysanki „Rosemary's Baby".

Polskie Stowarzyszenie Jazzowe ogłosiło rok 1989 — „Rokiem Komedy".

Patronat nad całością obchodów objął komitet pod przewodnictwem Jana Zylberta, byłego perkusisty z sekstetu Komedy.

TEGOROCZNY FESTIWAL „JAZZ NAD ODRĄ", który odbędzie się **po raz 25 we Wrocławiu,** będzie miał znakomitą jubileuszową obsadę. Wystąpią m.in.: grupa **Zbigniewa Namysłowskiego,** zespoły **Tomasza Szukalskiego, Young Power, Walk Away, Voo-Voo.** Zapowiedział też swój udział słynny **brytyjski zespół rockowy — „Uriah Heep".**

Inauguracja tej imprezy, wzbudzającej ogromne zainteresowanie wśród fanów, nastąpi **16 marca br.**

DR TADEUSZ SERGIEJCZYK, pracownik naukowy Wojskowego Instytutu Historycznego w Warszawie, przygotowuje publikację o Katyniu. Książka nosi roboczy tytuł **„Zbrodnia czy prowokacja?"**

Jak **powiedział w wywiadzie udzielonym „Tygodnikowi Kulturalnemu"**, „prawda leży w dokumentach, które znajdują się w archiwach ZSRR. Jestem przekonany — stwierdził — że one tam są, jeszcze są. Natomiast czy ujrzą światło dzienne, czy też nie, to już nie zależy od historyków, ale od polityków".

STARANIEM MUZEUM HISTORII MIASTA ŁODZI — przy współpracy z TPŁ — już za kilka tygodni ukaże się bardzo ciekawa publikacja **„Okręg łódzki AK"** (pod redakcją **Marka Budziarka).**

Złożą się na nią m.in. prace autorstwa **Józefa Stolarskiego** (o genezie działalności konspiracyjnej na ziemi łódzkiej) oraz **Zygmunta Waltera-Jankego** (omawiającego działalność komendy okręgu i wywiadu).

Ta niezwykle potrzebna książka, **wypełniająca** po części **jedną z dotkliwie odczuwanych „białych plam" w historii łódzkiego ruchu oporu,** zawierać będzie również **omówienie wojskowej opieki duszpasterskiej.**

Wzbogaca ją i ustrakcyjnia **50 dotychczas nie publikowanych zdjęć osób związanych z łódzką konspiracją.** Dla zainteresowanych będzie w sprzedaży „do upolowania" **tylko w Muzeum Historii Miasta Łodzi.**

AKTYWNĄ DZIAŁALNOŚĆ ROZWIJA powstały niedawno w Łodzi oddział **Towarzystwa Polska-Turcja.** 20 bm. organizuje dla członków i sympatyków w swej siedzibie (w Domu Kultury przy ZPB „Eskimo") — **spotkanie pn. „100 pytań o Turcji".**

W PLANACH EDYTORSKICH „CZYTELNIKA" na najbliższe miesiące znajduje się kilka głośnych, dotąd nie znanych w kraju utworów pisarzy emigracyjnych — m.in. **„Inny świat" Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, „Rodzinna Europa" Czesława Miłosza,** wspomnienia **Józefa Czapskiego „Na obcej ziemi"**, oraz **„Mój wiek" Aleksandra Wata** (pełne wydanie).

W OŚRODKU PROPAGANDY SZTUKI (Park im. H. Sienkiewicza) 7 bm. otwarta została **wystawa pn. „15 Grafików Wspólnoty Francuskiej w Belgii".**

Z grafiką i malarstwem **Mariana Pawła Bocianowskiego** można się bliżej zapoznać na **wystawie w Galerii Bałuckiej** (Stary Rynek 2).

Prace Zbigniewa Karpińskiego prezentowane są **w Galerii Sztuki BWA** (ul. Wólczańska 31).

Muzeum w Pabianicach (Zamek) zaprasza na wystawę malarstwa i rysunku **Donaty Lesińskiej-Miśkiewicz, Marka Capały, Janusza Godona i Jacka Nowotarskiego.**

Do końca marca czynna jest **w Teatrze Studyjnym** interesująca **wystawa pt. „Fotografie".** Autorem prac jest **Krzysztof Hejke** — student Wydziału Operatorskiego PWSFTviT w Łodzi oraz słuchacz Insytutu Vytwarnych Fotografii SCF w Pradze.

SPOTKANIEM Z WADIMEM BERESTOWSKIM, Stowarzyszenie Artystyczne i Muzeum Kinematografii zainaugurowało 6 bm. cykl spotkań w twórcami „Se-Ma-Fora".

Prezentowane będą podczas nich najciekawsze filmy tej wytwórni, liczącej się zarówno w kraju, jak i poza jego granicami.

LARRY HAGMAN — czyli J. R. z serialu „Dallas" — zaproponował Michaiłowi Gorbaczowowi zagranie w jednym z odcinków tego serialu.

NA TEGOROCZYM MIĘDZYNARODOWYM FESTIWALU FILMOWYM w Berlinie Zachodnim „Złotego Niedźwiedzia" otrzymał „Rain Man", w reżyserii **Barry Levinsona** (USA).

W POŁOWIE TEGO ROKU nakładem **Polskiego Towarzystwa Wydawców Książek** ukażą się **eseje Aleksandry Ziółkowskiej „Na tropach Wańkowicza".**

Autorka opisuje w nich m.in. **mało dotąd znane szerszemu ogółowi perypetie związane z wydaniem „Monte Cassino", zarówno we Włoszech, jak i w kraju.**

POWSTAŁO POLSKIE STOWARZYSZENIE ESTRADOWE. Zrzeszać ono będzie przedstawicieli wszystkich specjalności estradowych — aktorów, piosenkarzy, satyryków, kompozytorów, reżyserów i organizatorów tego typu imprez.

Prezesem Zarządu Głównego PSE został wybrany **Zbigniew Adrjański — dziennikarz i literat, długoletni szef stołecznej Estrady.**

Opracował: JAK

W Kazachstanie u początku lat czterdziestych

Jak zostałem wrogiem towarzysza Stalina

EUGENIUSZ IWANICKI **(1)**

18 września 1939 roku (dzień moich szóstych urodzin), a więc nazajutrz po zajęciu przez wojska radzieckie terenów leżących na wschód od Bugu, mój ojciec wrócił do domu. Wrócił w mundurze szeregowca. Zmobilizowany przed paru dniami nie zdążył stanąć w obronie ojczyzny, bo gdy znalazł się pod Łunińcem, okazało się, że jednostka, do której został przydzielony, już nie istnieje. Na ścianie w pokoju nadal jednak wisiały portrety prezydenta Mościckiego i marszałka Rydza-Śmigłego.

Ojciec wrócił i coś tam opowiadał matce, a potem wziął rower — balonówka marki „Niemen" — mnie za rękę i poszliśmy główną ulicą na spacer. Byłem dumny: oto szedłem z kimś, kto nie bał się strzelaniny i był w mundurze! Niestety, był to mój najkrótszy spacer z ojcem: jak spod ziemi zjawiło się dwóch cywilów z czerwonymi opaskami na rękawach. Jeden z nich przystawił ojcu do głowy pistolet, a drugi zaczął go obmacywać. Z owej sceny zapamiętałem do dziś uniesione w górę ręce ojca i przewrócony rower z obracającymi się kołami. W srebrzystych szprychach zalamywało się ostre, letnie słońce.

W taki oto sposób moje życie zostało wplątane w historię poznaczoną do dziś tak zwanymi białymi plamami. Przez z górą lat czterdzieści nie pisałem o tym, będąc przekonanym, że zapis dotyczący owych zdarzeń nigdy nie będzie mógł być opublikowany. Teraz także niechętnie sięgam po długopis. Myślę jednak, że te wspomnienia jestem winien przede wszystkim ojcu i tym wszystkim, bezimiennym i zapoznanym, którzy przeszli przez katownie Wysp Sołowieckich i tym, których udziałem stały się stepy Kazachstanu.

Pro memoriam.

Ojca zabrano i wszelki ślad po nim zaginął. Był sądzony sądem zaocznym i skazany na 10 lat więzienia o zaostrzonym reżimie. Ale o tym wszystkim dowiedzieliśmy się dużo później, dopiero pod koniec 1941 roku, kiedy już na dobre rozpoczęło się formowanie polskich sił zbrojnych w ZSRR. Co prawda układ między gen. Władysławem Sikorskim a Iwanem Majskim podpisano 30 lipca 1941 r., ale amnestię dla obywateli polskich pozbawionych wolności na terytorium radzieckim ogłoszono 12 sierpnia 1941 roku. Mimo to więźniów jakoś nie zwalniano masowo. Ale, jak powiadam, wszystko to było dużo, dużo później.

Mamy więc jesień 1939 roku. Z okolicznych wsi i miasteczek rozpoczęło się wysiedlanie ludzi „nienadiożnych". Jako pierwszych od nas wywożono Tarajewiczów, miejscowych dziedziców, o których jest wzmianka w „Panu Tadeuszu". Ich dwór stał niedaleko od naszego domu, a moja babka ze strony matki była pierwszą żoną Tarajewicza (potem się rozeszli, ale ten fakt przynależy do zupełnie innej opowieści). Przez kilka dni biegaliśmy, my dzieci, do dworu oglądać egzekucje psów dworskich zabijanych przy budach przez czerwonoarmistów, wyrzucanie i palenie wielkiej dworskiej biblioteki, grabież dobytku pozostawionego w pośpiechu, niszczenie wspaniałego sadu.

Miałem wówczas 6 lat i od 1 września 1939 r. zacząłem chodzić do przedszkola (odpowiednik dzisiejszej zerówki). Po wkroczeniu Armii Czerwonej polska szkoła została zlikwidowana, a wprowadzono, jako obowiązujący, język białoruski.

Przez całą zimę trwały wywózki. W pierwszym rzędzie wywożono — nikt nie wiedział dokąd — inteligencję, rodziny urzędników. Na wiosnę załadowano na „polutonki" rodziny pracowników leśnych: gajowych, leśniczych, strażników.

Po nas zajechał samochód późną wiosną 1940 r. W ciągu pół godziny już byliśmy spakowani (tyle dawano czasu). Pamiętam lament babci i płacz matki. Natomiast ja i moja o dwa lata młodsza siostra Halina, nie mogliśmy zrozumieć owej ich rozpaczy: po co płaczą i krzyczą, skoro jest okazja przejechać się samochodem, a nawet pociągiem!

W Baranowiczach załadowano nas do wagonów towarowych. Wagony były podzielone na piętra tzw. narami. Ładowano po osiem rodzin. W naszym, na piętrze, jechały dwie rodziny żydowskie. Jechaliśmy długo, może miesiąc, może dłużej. Z całej podróży zapamiętałem potężny słup stojący na Uralu. Z jednej strony był napis „Europa", z drugiej „Azja".

W Pietropawłowsku kazano nam wysiąść. Nie mieliśmy dużo bagażu, ot parę węzełków, ale matka taszczyła ze sobą ów ojca rower, balonówkę marki „Niemen", który w czasie jazdy sprawiał sporo kłopotów, bo zajmował dużo miejsca, ale niebawem miał się okazać dla nas najcenniejszym skarbem. Ale to nastąpiło dopiero zimą. Teraz trwało suche, gorące lato.

Jako szczególnie niebezpiecznych wrogów państwa radzieckiego załadowano nas na rozklekotaną ciężarówkę typu „półtonka" zbitą z desek i powieziono w stepy. Jechaliśmy prawie cały dzień, by pod wieczór znaleźć się w aule kazachskim, dziś już nie pamiętam jego nazwy. Proszę sobie wyobrazić, że kobieta z dwojgiem małych dzieci zostaje wyrzucona na udeptany skrawek stepu otoczony jurtami, wśród których wałęsają się owce, psy i małe stepowe koniki „iszaki". Proszę sobie wyobrazić, że do tej kobiety i dzieci biegną ludzie ubrani — czerwiec — w kożuchy, w ciepłe baranie czapy, skośnoocy, smagli, mówiący niezrozumiałym językiem. Powstaje tumult, krzyki, rozlegają się gardłowe nawoływania. Skromny dobytek — parę węzełków i rower — w mig gdzieś przepadają, nas dotykają dziesiątki rąk, setki palców macają nasze ubrania, a potem przysadzisty, okutany kożuchem Kazach, prowadzi nas do jurty zrobionej ze skór i wojłoku. Duszno, ostry i dławiący smród skór, zjełczałego masła i ludzkiego potu.

Rosjanin, który nas tu przywiózł, wskazując na jurtę, powiedział:

— Eto wasze żyliszcze. I nikakich żałob, paniatno?

Wsiadł do samochodu i odjechał.

W owym aule przeżyliśmy około miesiąca. Zachowałem w swojej pamięci dobre wspomnienia o Kazachach, o ich życzliwości, o ich dobroci. Zresztą i później, przez następne lata, spotykałem się z nimi, miałem wśród nich przyjaciół, chodziłem z nimi (już po powrocie ojca) na polowania. To bardzo dzielny naród ceniący szczerość. Zaciekły we wrogości, ale bezgranicznie wierny w przyjaźni.

Zostawać w tym aule matka nie zamierzała. Zbliżał się rok szkolny, a szkoły w aule nie było. Porozumieć się z Kazachami nie potrafiliśmy, oni nie znali rosyjskiego.

Pamiętam, był to już chyba sierpień, zjawił się przedstawiciel Rajonsowietu, by dowiedzieć się, jak nam się żyje. I wtedy matka z desperacją powiedziała:

— Jeśli nas nie przesiedlicie do wioski rosyjskiej, zabiję dzieci i siebie.

Nie wiem czy ta groźba poskutkowała, czy też zaistniały jakieś inne okoliczności, ale po paru dniach zjawiła się arba zaprzężona w dwa woły. Powoził piegowaty, rudy chłopiec Rosjanin, może szesnastoletni, w podartych spodniach i z bosymi nogami.

— Tiotuszka! — krzyknął. — Ajda, jediem w Spasowku!

Jazda do owej Spasowki trwała cały dzień. W drodze — właściwie nie było żadnej drogi, jechaliśmy przez step, po którym może od stuleci nikt nie jeździł — chłopiec, który powiedział, że nazywa się Piet'ka, co parę kilometrów zatrzymywał woły, a my kucaliśmy wśród stepowego kowyla, wyższego niż ja wtedy, i zbieraliśmy poziomki. Były to pachnące, czerwone owoce, wielkości naszych truskawek. Nigdy już potem nie jadłem tak smacznych poziomek.

W Spasowce — niewiele pamiętam z tej wsi — przyjęła nas na mieszkanie matka owego Piet'ki. Gnieździliśmy się w jednej izbie: nas troje i ich troje, bo Piet'ka miał starszą siostrę, także rudą, o obyczajach dość swobodnych, która, gdy nie było starszych w domu, przyjmowała kawalerów. Miałem już siedem lat i ogromnie mnie interesowało, co też owa War'ka wyprawia na piecu z chłopakami. A War'ka tylko chichotała wystawiając w moją stronę rude krocze, a jej kawaler demonstrował przede mną swoją sterczącą męskość. Moim zadaniem jednak było stać przy oknie i patrzyć, czy nie nadchodzi matka War'ki.

Zostałem zapisany do pierwszej klasy, z której zapamiętałem tylko jednego chłopaka o nazwisku Rebryj. Zapamiętałem dlatego, że pierwszą klasę powtarzał już po raz dziewiąty i zanosiło się, że dziesiątą zimę spędzi także w tej samej ławce.

Matka poszła do pracy do cerkwi. Była to budowla wzniesiona przed paroma wiekami. Teraz magazynowano w niej zboże. I właśnie to zboże, żeby nie uległo przegrzaniu, należało przesypywać szuflami z miejsca na miejsce. Matka do pracy wkładała walonki. W domu wysypywała z nich pszenicę i na ręcznych kamiennych żarnach ucierała ją na mąkę. Wychodziły potem z tego pyszne białe i pachnące kołacze.

Często przychodziłem do cerkwi i wdrapywałem się na wieże, gdzie gnieździły się kawki. Czasem udawało mi się zastawić sidła i złowić kilka sztuk. Kobiety natychmiast rozpalały na dworze ognisko i kawki wędrowały do kotła. Przysięgam, bardziej smacznego mięsa nie jadłem w życiu. Ale też nigdy w życiu nie byłem bardziej głodny niż w tamtych latach.

Wspomniałem już o rowerze, który matka zabrała z Polski. Kiedy nastała zima — a klimat w Kazachstanie jest śródkontynentalny, to znaczy lata są suche i upalne, a zimy śnieżne i lute — temperatura gwałtownie spadła. Już w listopadzie mróz dochodził do — 20 stopni. A my przyjechaliśmy w letnich bucikach. Wówczas matka wymieniła rower na trzy pary walonek.

I tak matka pracowała w cerkwi przy zbożu. Było go dużo, konwoje złożone z kilkunastu sań zaprzężonych w woły odjeżdżały raz w tygodniu odwożąc pszenicę do rejonu. Ale zboża jakby nie ubywało. A przecież tuż za wsią, na kołchozowych polach stały długachne sterty, czekając na wymłócenie. Kiedy jechaliśmy z Piet'ką do Spasowki, matka zapytała:

— Czyje to wszystko?

— Kołchozowe.

— Dawno tak stoją?

— Chyba ze trzy lata, od tego wielkiego urodzaju.

— To nie można dać tego ludziom? Przecież wymłóciliby.

— Nie można. Za takie coś idzie się do łagru.

Szkoła, do której początkowo chodziłem ochoczo i chętnie, wkrótce przeistoczyła się dla mnie w istną katownię. Nie, nie chodzi mi o język, przecież przed wojną mieszkałem na terenach, gdzie ścierały się ze sobą języki: polski, białoruski, ukraiński, rosyjski. Nauka także przychodziła łatwo. Moja gehenna rozpoczęła się wraz z przyjściem Iwana Borysowicza, nauczyciela od „wajennego dieła", czyli jakbyśmy dziś powiedzieli wykładowcy przysposobienia wojskowego. Ale ono nie było wojskowe, ale wojenne i to już poczynając od pierwszej klasy. Był zwyczaj, że nauczyciel, który po raz pierwszy przychodził do klasy, wyczytywał każdego po nazwisku i pytał o narodowość. Było to uzasadnione, bowiem do szkoły chodziły dzieci Rosjan, Tatarów, Kazachów, Czuwaszy. Później, gdy przenieśliśmy się do innej wsi, tam tych narodowości było jeszcze więcej. Nasza nauczycielka Maria Iwanowna raz jedyny odczytała listę i dla formalności pytała o narodowość. Więcej już potem do tego nie wracała. Natomiast Iwan Borysowicz czytał to każdego dnia.

W naszej klasie zjawił się jakoś tak w grudniu. Szczupły, wysoki, czarny, z pałającymi oczami szaleńca. Nie został zmobilizowany ze względu na jakieś kłopoty związane z psychiką, ale jako nauczyciel widocznie był bez zarzutu.

Podczas pierwszej lekcji patrząc na nasze ogolone głowy, powiedział:

— Zrobię z was Bohaterów Związku Radzieckiego!

I zaczął czytać:

— Abdułow!

Wstał malutki, drobniutki chłopczyk i spoglądając rozbieganymi oczkami na sąsiednie ławki, wykrztusił:

— Jestem.

— Kakaja nacja?

— Kazach.

— Bieniuszkin!

— Jestem. Rosjanin.

Wreszcie:

— Iwanickij!

— Wstałem.

— Nacja?

— Polak.

Iwan Borysowicz jakby się ucieszył, jakby sprawiło mu to moje wyznanie szczególną satysfakcję. Cały się rozjaśnił, zwęził oczy, pochylił się do przodu.

— Palak! — powiedział przeciągle. — Palak! A więc Lach, prawda?

Nie zrozumiałem.

— Jesteś Lach, czyż nie tak? Biały Lach! Ano, dawaj no tu, przed tablicę.

Posłusznie wyszedłem z ławki i stanąłem przed nauczycielem. Iwan Borysowicz niczym góra Kazbek nachylił się nade mną.

— Oto stoi przed nami nasz odwieczny wróg, biały Lach, któregośmy bili w dwudziestym roku. Biliśmy czy nie? — zapytał nagle głosem, który przeszedł w krzyk. — Odpowiadaj!

— Nie wiem — wykrztusiłem.

— On nie wie! Chłopcy, kogo towarzysz Budionnyj lał w dwudziestym roku? No, kto powie? A piosenkę pamiętacie:

Na Danu i w Zamosti
Tlejut biełyje kosti,
Nad kostiami szumiat
wietierki.
Pomniat psy atamany,
Pomniat polskije pany,
Kabardinskije naszy sztyki!

— A teraz śpiewamy wszyscy razem. Ty też! — to było do mnie.

Śpiew szedł nieskładnie, ale Iwan Borysowicz tym się nie przejmował.

— Nauczę was, czasu mamy dość. A ty, Polak, jak dorośniesz to będziesz szedł przeciwko nam czy nie?

— Nie wiem — wykrztusiłem, bo naprawdę niczego nie rozumiałem ani z tej pieśni, ani z pytań Iwana Borysowicza.

— Nie wiesz?! — krzyknął zrywającym się głosem i schwyciwszy mnie za ucho zaczął je odrywać od czaszki. — Nie wiesz? To ja ci zaraz powiem, ja ci wszystko wytłumaczę, ja ci wszystko wyjaśnię. Zdechniesz tu, jak twoi biali panowie tam w Zamościu, zetrę cię na proszek. Popatrzcie chłopcy, oto przed wami stoi wróg Związku Radzieckiego, wróg towarzysza Stalina.

Było to wielkie, wstrząsające dla mnie przeżycie, brzemienne w następstwa. Zaraz podczas przerwy zostałem dotkliwie pobity. W drodze ze szkoły także mnie bito. Przychodziłem zakrwawiony, w podartym ubraniu. Bili mnie nie tylko chłopcy, których nie znałem, ale i ci, z którymi dotąd się bawiłem, którzy mieszkali po sąsiedzku. A przezwisko Biały Lach przylgnęło do mnie na stałe.

W końcu strach stał się tak wielki, że na wspomnienie szkoły dostawałem drgawek i traciłem przytomność.

Interwencje matki w szkole nie pomagały: byliśmy wrogami, ludźmi niższej kategorii. Choć na dobrą sprawę prawie cały Kazachstan był zasiedlany przez wieki przez ludzi wyjętych spod prawa. Ale oni byli u siebie.

W tym stanie rzeczy matka poszła do Sielsowietu i poprosiła o przeniesienie do innej wioski.

C.D.N.

Panorama

Bułgaria

W Płowdiw powstał pierwszy niezależny związek zawodowy „Podkrepa" („Poparcie"), który zrzesza intelektualistów i artystów. Celem działania związku jest obrona interesów pracowników naukowych, technicznych, uczonych i artystów przed *„arbitralnością i naruszaniem ich praw przez pozbawionych skrupułów kolegów, instytucje i przedsiębiorstwa państwowe"*. Powstanie nowego związku zawodowego jest zgodne z Artykułem 55 Konstytucji BRL, który to artykuł gwarantuje prawo do stowarzyszania się.

ChRL

Popołudniówka „Yangcheng Wanbao", która ukazuje się w prowincji Guangdong, ujawniła mało znane szczegóły z akcji aresztowania członków „bandy czworga", na czele której stała ostatnia żona Mao — pani Jiang Qing. Autor artykułu określa „bandę czworga" jako grupę lewacką, winną *„katastrofy rewolucji kulturalnej"*, która zamierzała tuż po śmierci Mao zagarnąć siłą władzę. Mao zmarł 9 września 1976 roku. Akcję aresztowania „bandy czworga" przygotowywano na 10 października 1976 roku. Na jej czele stał wiceprzewodniczący KC PKCh wiceminister obrony narodowej — Ye Jianying. Najpierw przekonał on przywódcę partii Hua Guofenga o jej konieczności, co nie było łatwe. Dopiero fakt, że „banda czworga" gromadzi na przedmieściu Pekinu wierne sobie wojska, zadecydował o jej przedsięwzięciu, a nawet przyspieszeniu z 10 października na 6 października 1976 roku.

W tym dniu na posiedzenie Stałego Komitetu Biura Politycznego KC KPCh przybyli członkowie „bandy czworga": Zhang Chunqiao, Wang Honhwen i Yao Wenyuan, gdzie zostali aresztowani. Panią Jiang Qing i bratanka Mao — Mao Yuanxjna aresztowano w ich domach. Cała operacja trwała niespełna godzinę.

CSRS

W Bańskiej Bystrzycy odbył się proces Jozefa Martnickiego, mistrza w dziale kontroli fabryki „Zetor" w Martinie. Został on skazany na 5 lat więzienia o obostrzonym rygorze i na 2 lata pozbawienia prawa wykonywania zawodu. Sąd uznał, że działał on na szkodę społeczeństwa nie przeprowadzając badań jakościowych w 2 434 traktorach. Józef Martnicki wyznał w sądzie, że jest głęboko przeciwny temu, co się od lat dzieje w jego kraju i chciał ten sprzeciw publicznie ujawnić. Został też zdemaskowany jako sabotażysta.

Jugosławia

W Kosowie strajkowało — jak się oblicza — około 50 000 osób. Byli to Albańczycy. Po nich do strajku przystąpili Serbowie i Czarnogórcy. Dla Kosowa strajki są bardzo niebezpieczne, gdyż jest to rejon Jugosławii bardzo ubogi, dziennie dopłaca się do gospodarki Kosowa około miliona dolarów.

W czasie posiedzenia Skupsztiny SFRJ wystąpił Lazar Mojsov, członek Prezydium SFRJ. Jego zdaniem kontrrewolucja w Kosowie toczy się od 1941 roku. Doszła ona do głosu w 1945 roku, 1948, 1968 i w dalszych latach. Jego zdaniem przyczyną wydarzeń w Kosowie jest szybki rozwój ludności albańskiej. W Kosowie wykryto 9 wielkich organizacji i 93 grupy albańskie. Skazano 1 400 osób za działania w duchu kontrrewolucji i 6 000 za wykroczenia. Zanotowano od 1981 roku 18 000 wrogich haseł i napisów.

Lazar Mojsov ujawnił istnienie tajnego dokumentu, który zawierał plan przebiegu akcji w lutym i marcu 1989 roku i zakończenie jej powstaniem zbrojnym. Zdaniem Lazara Mojsova akcję kontrrewolucyjną inspiruje się spoza Jugosławii.

Koreańska Republika Ludowo-Demokratyczna

Koreańska agencja KCNA opublikowała wiadomość, że od 8 lat, jakie upłynęły od VI Zjazdu PPK, napłynęło dla towarzysza Kim Dzong Ila przeszło 23 000 podarków. Przysłali je *„prezydenci, królowie, premierzy, przewodniczący parlamentów, wybitni działacze partii politycznych, organizacji społecznych, przedstawiciele kół wojskowych, gospodarczych, kulturalnych, prasy z przeszło 130 państw, z 5 kontynentów, a w pierwszym rzędzie szefowie partii i państw z krajów socjalistycznych oraz przewodniczący i sekretarze generalni dziesiątek organizacji międzynarodowych"*. Podarki te składane są w muzeum i będą przechowywane przez wieki.

Agencja KCNA opublikowała też informację, że w Tanzanii, Namibii i Norwegii w kołach studiowania idei czuczhe odbyły się seminaria poświęcone przestudiowaniu pracy Kim Dzong Ila „Wyżej wznieść sztandar antyimperialistycznej walki. Silniej iść naprzód drogą socjalizmu i komunizmu".

NRD

W prasie NRD, organie teoretycznym KC NSPJ „Neuer Weg" oraz w „Neues Deutschland" i „Berliner Zeitung" ukazały się artykuły uzasadniające rozwijanie *„socjalizmu w barwach NRD"*. Artykuł w „Neuer Weg" nosi tytuł „40 pomyślnych lat socjalizmu w barwach NRD" i stwierdza, że *„socjalizm i demokracja tworzą w NRD nierozerwalną, warunkującą się wzajemnie jedność"* oraz że *„wszystko dzieje się dla ludu, jest decydowane wraz z ludem i znajduje poprzez lud swoją realizację"*.

„Neues Deutschland" i „Berliner Zeitung" podały charakterystykę *„socjalizmu w barwach NRD"*. Charakteryzuje go mianowicie kierownicza rola partii w społeczeństwie, społeczna własność środków produkcji przy ograniczonym udziale firm prywatnych oraz dotowanie cen podstawowych produktów. Jak zwracają uwagę obserwatorzy, kierownictwo partyjne i państwowe NRD przekonane jest, że NRD dysponuje sprawnym systemem planowania i kierowania, socjalistyczną demokracją, której niczym nie można zastąpić i że niczego nie można w NRD nauczyć się od kapitalistów. Z artykułu w „Neuer Weg" wynika, że wszechstronne umacnianie socjalistycznej władzy państwowej gwarantuje przywrócenie zgodności między interesami społecznymi, kolektywnymi i indywidualnymi.

Według opinii prasy NRD i niektórych przywódców partyjnych poziom życia w NRD jest wyższy niż w RFN. Twierdzeniu temu przeczą ci obywatele NRD, którzy jeżdżą do RFN, gdzie czują się ubogimi krewnymi. Przy wjeździe do RFN otrzymują oni 100 marek RFN zapomogi, gdyż w NRD mają prawo do otrzymania tylko 15 marek RFN. Muszą więc korzystać z cudzej pomocy.

Wśród zamierzających opuścić NRD panuje przekonanie, że najlepszą drogą do tego jest wdarcie się na terytorium obcej ambasady. Na ogół wszyscy, którzy zdobyli się na ten desperacki krok otrzymali zezwolenie na wyjazd do RFN. Wedle danych zachodnich w NRD około 1,5 miliona osób ubiega się o wyjazd do RFN. Na południu NRD stanowi to 10 procent ludności. O prawo wyjazdu ubiegają się przede wszystkim młodzi ludzie. Niektórzy — jak dwaj dwudziestoletni chłopcy, Chris Gueffroy i Christian Gaudian — próbują nielegalnie przekraczać granicę i giną przy tym.

Opracował:
WITOLD BOROWY

Andrzej Makowiecki

PIĘĆDZIESIĄT MELONÓW

11

Jacek odmilczał taktownie kilka chwil, po czym palnął bez skrupułów:

— Roztyło się to twoje babsko jak nieboskie stworzenie. Jeśli nawet jest trochę chudsza od wieloryba, nie rzuca się to specjalnie w oczy.

— Fakt — przytaknął zgodnie Bernard.

— Czemu ty się nie rozwiedziesz?

— Zrobię to.

— Kiedy?

— W swoim czasie. Zresztą... rozwód nie będzie wcale potrzebny.

— W związku z tym planem?

— Nie mam jeszcze żadnego planu.

— Ale wymyślisz coś?

— Wymyślę. — Ogromna, pokryta ryżawymi włoskami dłoń pochwyciła znowu ramię brata i ścisnęła je z morderczą siłą. — Zapomnij na razie o tym, co ci powiedziałem, Jacek. Nie przyznawaj się do tego nawet przed sobą.

— Ty niczego mi jeszcze nie powiedziałeś.

— Bądź cierpliwy. — Puścił ramię brata i wstał. Potem, kiedy szli na postój taksówek, mówił cicho: — Powinieneś codziennie być w szkole i zachowywać się tak jak dotąd: ani lepiej, ani gorzej. Ja zrobię to samo Nie wolno nam zmienić rytmu życia. Wszystko musi zostać po staremu. Dlatego właśnie jadę teraz na rynek, a później do domu z moją słodką ptaszyną; ona potrafi być groźna, nie ma nic gorszego od kobiety z instynktem; kobieta z instynktem wie, że ją zdradzisz, nim się jeszcze na to zdecydujesz; wie, że byłeś samotnie w kinie, że łyknąłeś z boku parę groszy, że wypiłeś kielicha z kumplem, którego ona akurat nie lubi, i to tylko dlatego, że on nie chce, a ona chętnie wlazłaby z nim do łóżka Strzeż się kobiet, chłopaku Najlepsze plany zawsze brały w łeb przez kobietę, która nigdy nie myśli głową, lecz trzewiami No, trzymaj się!

Złapał gwałtownie Jacka za szyję i wycisnął mu na czole braterski pocałunek; wsiadł do pierwszej z brzegu taksówki i odjechał Wiosenny wiatr zdjął wilgoć pocałunku z rozpalonego czoła chłopaka. Wracał noga za nogą do domu — Szanowanie! — pozdrowił go idący z naprzeciwka Kukuryk. Kopyto krzątał się na podwórku wokół swojej emzetki. Gejsza stała w oknie z papierosem, a w innym oknie po przeciwległej ścianie kamienicy widać było Andrzeja W., mecenasa, który podjął niedawno pracę w jednym ze znanych zespołów adwokackich.

4.

Słońce wypełzło sponad dachów i chlusnęło na miasto pierwszym żarem, a ten mężczyzna spał. Był nagi. Miał piękną, uduchowioną twarz artysty, prosty nos ze śladem po okularach u nasady, małe uszy, zmysłowe usta, siwe brwi i szczotkę siwych, gęstych włosów na głowie. Twarz, szyja i trójkątny klin na piersiach tego mężczyzny były spalone na brąz; tors i sflaczałe nogi były przeraźliwie blade. Zdawał się być wycięty z dwóch różnych gatunków materiału albo zeszyty z dwóch różnych ludzi. Piękna twarz była poorana zmarszczkami. Wyglądał tak stary i oddychał tak spazmatycznie, że można by ewentualnie posłać po lekarza, bardziej wszelako potrzebny był ksiądz. Spoczywająca obok niego na szerokim łożu Meksykanka w wieku czterdziestu paru lat nie posłała jednak po księdza, a to z tego powodu, że mężczyzna miał erekcję. Była to erekcja pełna i nie podlegająca dyskusji. W ecie, jak to jest ze starymi mężczyznami rano przed oddaniem moczu. Meksykanka obserwowała zjawisko z czułością i nie bez podziwu. Sięgnęła po nie ręką przywykając oczy. Z rozchylonych ust dobył się zduszony jęk.

Syknął również mężczyzna. Wciąż jeszcze spał, ale dobijał powoli kresu Piekło go to czułe miejsce, uwięzione w smagłych, wilgotnych, delikatnych i wprawnych palcach kobiety: jednostajny, cierpliwy ruch, jakby ktoś potrząsał sakiewką. Podciągnęła do góry kusą, nocną koszulę i usiadła na nim nie dotykając go spoconymi udami. Nie była mu ciężarem w tym przeklętym i podłym świecie emigranta. Zadbała, aby ich lędźwia i brzuchy nie zetknęły się, ale jej kobiecość nawiązała już kontakt z jego męskością. Mokre, suto owłosione łono i krągłe kolana tworzyły kąt prosty. Wiedziała, że grzeszy, ale wyobraźnia pracowała niestrudzenie Z tyłu leży piętnastoletnia dziewczyna i szesnastoletni chłopak. Robią to samo, co ona robi z tym starcem; są w odwrotnej, uświęconej przez naturę pozycji; chłopak nie całuje swojej młodej ukochanej w usta; jego język figluje z intymną sferą ciała dojrzałej Meksykanki, zaś wargi dziewczęcia podjęły flirt ze starcem. Och, och! dlaczego te wargi dotykają jednocześnie moich warg? Dlaczego jestem tak podniecona?

Wybuch był blisko, ale umknął i musiała zaczynać od nowa. Czemu moje usta są bezczynne? Czemu pozostają w bezczynności usta mojego kochanka? Gdyby tak była jeszcze przed nami trzecia para... pójdę, teraz pójdę! ...uuuu!... grzech jest słodki!... grzech jest cudowny!...

Dopiero teraz jej rozpalony mokry brzuch przylgnął do chłodnego ciała mężczyzny; odemknęła powieki i napotkała utkwione w sobie spojrzenie szarych, niechętnych oczu; odsunęła się; kiedy zaczął mówić, jego oddech zionął nie strawioną jeszcze tequilą.

— Dejame — stęknął. — Puść! Muszę iść do ustępu.

— Dobrze ci było?

— Wspaniale.

Wziął prysznic w zrujnowanej łazience. Ogolił się drżącą ręką przysiadając kilkakrotnie na skraju wanny i patrząc łakomym wzrokiem na plątaninę rur u sufitu. Kawałek sznurka i koniec! Dosyć męki, dosyć poniewierki; dosyć tego cholernego, upalnego dnia, który będzie wlókł się w niskończoność przez miasto i wyprażone słońcem ulice. Szach Iranu rezydował przed laty w tym mieście i nie narzekał. Ale szach Iranu miał pieniądze. Szach Iranu był obrzydliwie bogaty. Szach Iranu, gdyby zaszwankowało mu przypadkiem samopoczucie, dostałby momentalnie od lekarza odpowiedni lek. Masażysta zająłby się jego zużytą powłoką, dwóch służących drapałoby go dla uspokojenia w pięty, a pokojówka karmiłaby troskliwie zdetronizowane bóstwo, aby nabrało sił i mogło sobie trochę popływać albo pojechać na wycieczkę w góry albo pokazać się z żoną i dworem oniemiałej z wrażenia Cuernabace.

Włożył szlafrok i wrócił do sypialni. Meksykanka wciąż leżała w łóżku. Była w dobrym humorze. Zaśpiewała głośno w stronę otwartych drzwi:

— Concha! Conchiiiita!

— Gue? — odezwał się w korytarzu młody, dźwięczny głos.

— Dos cafecitos para mi y para el señor. Pronto!

— Nie chcę kawy — zaprotestował mężczyzna.

— A to niby czemu, Juanito? Kawa dobrze ci zrobi.

— Kawa nigdy dobrze mi nie robi. Wolę klina. Una copa de aguardiente.

— Wykluczone! Nie będziesz pił od samego r[illegible]

— Będę.

— Po co?

— Źle się czuję.

— Poczujesz się jeszcze gorzej, chico.

— Nie szkodzi.

— Myślałam, że mnie wyręczysz, że posiedzisz trochę w recepcji, a ja bym w tym czasie poszła do sklepu.

— W recepcji mogę trochę posiedzieć — powiedział z westchnieniem mężczyzna.

— Ale trzeźwy, Juanito, trzeźwy! Zawiany recepcjonista nie jest dla pensjonatu dobrą reklamą.

Pensjonat! Jan T., ojciec Bernarda i Jacka, obserwował niewysoką, szczupłą dziewczynę, która wparadowała do pokoju z dwiema filiżankami kawy Była Metyską o czarnych, smolistych oczach i wystających kościach policzkowych. Kiedy podawała Janowi kawę, jej spłoszone czarne oczy umknęły gdzieś w bok, nie tam, gdzie spoczywała w barłogu La patrona, lecz tam, gdzie stały jakieś bure, zeszłowieczne meble o wymyślnych ornamentach, o powyginanych lwich nogach z drapieżnymi pazurami. Był to jedyny prywatny pokój w noclegowni zapewniającej dach nad głową i skromny posiłek ludziom wszelkiej konduity — robotnikom, skrachowanym inteligentom, emigrantom, złodziejom. Jan mieszkał kiedyś wśród nich, w którymś z tych ciasnych i nędznych pomieszczeń z jednym łożem, jednym krzesłem, jednym oknem i jednym wyjściem w piekło długiego i waskiego korytarza, gdzie były inne takie pomieszczenia, a w nich grało się w karty albo śpiewało pod akompaniament sfatygowanej gitary, albo uprawiało miłość z prostytutką która biorąc od ciebie pieniądze płakała, że masz ich tak mało, albo piło się do lustra i próbowało popełnić samobójstwo za pomocą powrózła lub brzytwy, i tak dalej, piękna i dostojna twarz karykaturzysty sprawiła, iż awansował do sypialni señority Figueras, lecz owa dojrzała niewiasta, właścicielka noclegowni, bezdzietna wdowa po zmarłym niedawno policjancie oczekiwała, iż Jan nie ograniczy swych szlachetnych uczuć do polegiwania z nią w łóżku, gdzie zresztą, mimo stosownej dozy zepsucia, nie okazał się orłem. Szukała podpory męskiego ramienia — towarzysza niedzielnych spacerów w mieście, doradcy w zawiłej kwestii rachunków, pomocnika w oszukiwaniu urzędu podatkowego, zaopatrzeniowca i mojordomusa stojącego na pokaz we frontowych drzwiach pensjonatu w celu napędzenia gości.

Jan zawiódł w owych rachubach; był leniwy, gnuśny, roztargniony; chlał w okolicznych barach i kawiarniach, a później popadał w stan ciężkiej depresji. Doña Figueras szybko doszła do wniosku, że pierwszy lepszy meksykański farmazon zdystansowałby Jana w miłości i w pracy, będąc jednak kobietą o miękkim sercu, nie wyrzuciła jeszcze biedaka na bruk. O! Jak to się przygląda tej dziewczynie! Tylko patrzeć, jak zacznie ją uwodzić!

Urodziwa Metyska opuściła sypialnię donii Figueras; Jan palił ostrożnie papierosa, pił ostrożnie kawę i myślał ostrożnie o czekającej go rozprawie z kochanką. Mógłby wprawdzie czmychnąć bez słowa, ale wyczuwał, że byłby to błąd. Figlarna w łóżku wdowa przeistaczała się po opuszczeniu alkowy w osobę nad wyraz energiczną, stanowczą i poważną. Nie ulegała wówczas sentymentom — pulchna twarz twardniała, oczy były na przemian chytre i groźne. Gdyby zaginął, nie wahałaby się zawiadomić policji, z którą ze względu na nieżyjącego męża łączyły ją stosunki przyjazne Patrol rejonowy częstowany był zwykle w pensjonacie tequilą i kawą, komendant otrzymywał co miesiąc łapówkę i spotykał się ukradkiem w przybytku donii Figueras ze swoją nieletnią dziewczynką. La patrona umiała dbać o swoje interesy. Dbała również o swoją więdnącą urodę. Wstała. Wyszła. Wróciła. Włożyła sandały, spódnicę i bluzkę. Przeczesała wielkim czarnym grzebieniem czarne wilgotne włosy, zgarnęła je lewą ręką z tyłu głowy i zatrzasnęła w złotej klamerce. Ukarminowała mięsiste wargi i pociągnęła kredką kąciki oczu nadając im przewrotny azjatycki wyraz.

Nie brakło jej powabu. Janowi było to jednak obojętne. Chętnie wróciłby do łóżka, aby wtulić twarz w podłużny, zastępujący poduszkę wałek i trwać tak do zachodu słońca w towarzystwie zatrutych, beznadziejnie smutnych myśli. Wszystko jest przerażające i straszne. Wszystko jest bez najmniejszych perspektyw i bez sensu. Nie narzekał specjalnie na zdrowie, wszelako przewlekły, uprawiany latami alkoholizm zrujnował mu system nerwowy. Wmawiał sobie, że cierpi za nie popełnione grzechy, że w gruncie rzeczy jest człowiekiem dobrym i uczciwym, lecz sumienie mówiło co innego. Sumienie wrzeszczało, szarpało, tłukło się, zwijało, szamotało, żądając rachunku za rodzinę, za opuszczonych synów, za przegrane życie, za sponiewierany talent i bezmyślnie roztrwonione pieniądze.

Włożył białą, wizytową koszulę, jakby wybierał się na śniadanie u burmistrza, i wstrętne, ciężkie, granatowe dżinsy, w sam raz do pracy w polu. Dociągnął na chudych biodrach poznaczony zaciekami potu pas, w którym zaszył przezornie, w tajemnicy przed całym światem, banknot o nominale tysiąca dolarów. Oprócz tego miał w kieszeni pięćdziesiąt dziewięć tysięcy pesos. Odkąd zaczął dzielić łoże z właścicielką noclegowni, a trwało to już dwa i pół miesiąca, nie płacił za wikt, opierunek i mieszkanie. Chwalił sobie oczywiście tę okoliczność, jednak życie było w sumie nie do zniesienia. Trzeba coś zrobić! Trzeba zadziałać w jakimś konkretnym kierunku. Plan był prosty. Decyzja dojrzała.

Westchnął. Wzdychał co najmniej raz na minutę, a przy tym lubił sobie również pojęczeć.

— No, to idę do recepcji — powiedział zirytowanym głosem chłopca, któremu przerwano zabawę. — O której wrócisz?

— Za dwie—trzy godziny odparła kobieta wygładzając spódnicę na szerokich okrągłych biodrach — Muszę wziąć pieniądze z banku, a potem kupić mięso, masło, chleb, pieczywo, cebulę i pomidory. Sin trabajo no hay nada.

— Claro.

— Nie pij, Juanito. — Spojrzała mu uważnie w twarz. — Kombinujesz coś?

— Zwariowałaś!

— W każdym razie zostaw w spokoju Conchitę.

— Conchita! — parsknął. — Ty i twoja Conchita. Ty i twoje plugawe myśli.

Kobieta poczerwieniała gwałtownie. Znowu dotknęła swoich dostałych tęgich bioder, jakby chciała zdjąć spódnicę.

— Ona ma narzeczonego. Jej narzeczony skończył niedawno szesnaście lat.

— Pofikałabyś z nimi?

— Oj, Juanito, głupstwa pleciesz.

— Ale pali cię w środku?

— Akurat! Kto tu ma plugawe myśli? — zaciągnęła cicho kobieta. — Kto tu wodzi kogo na manowce? Nie pij. Poczekaj do wieczora, napijemy się razem.

— Słuchaj — zdecydował się nagle — przypilnuję recepcji do twojego powrotu i wyjadę na parę dni.

— Gdzie?

— Do ciudad de Mexico.

— Po co? — Krew odpłynęła z rozpalonych policzków donii Figueras; była czujna; w czarnych przymrużonych oczach pojawiły się iskierki sprytu.

— Muszę porozmawiać z jednym polskim księdzem. On współpracuje z wydawnictwem, które drukuje różne religijne broszurki z rysunkami. Mógłbym tam zarobić jako ilustrator.

— No to jedź. Buen viaje — rzekła spokojnie kobieta.

Starszy pan, który oczekiwał raczej wymówek i protestów, był zdziwiony. Odczuł w pierwszej chwili ulgę, niebawem jednak zabolały go chłodne, obojętne słowa, wymówione przez kochankę z uchwytną intonacją zadowolenia. — Exelcior, Exelcior! El periodico de todos los Mexicanos! — wrzeszczał na ulicy sprzedawca gazet. Tłusty gołąb wylądował na parapecie; puknął dziobem w szybę i zagruchał. Jan drgnął. Trwoga uciskała mu serce i żołądek.

— Wrócę! — zapewnił pośpiesznie. — Wezmę tylko jedną walizkę, załatwię co trzeba i wrócę.

— Twoja sprawa, Juan, wrócisz czy nie wrócisz. Walizki możesz wziąć dwie.

— Chcesz mnie spławić? — Trwoga ustąpiła miejsca panice. Zmęczone, skołatane serce emigranta waliło tak głośno, że je słyszał. — Mam odejść na dobre?

— Tego nie powiedziałam — oświadczyła pogodnie senora Figueras. Była świadoma swej przewagi nad roztrzęsionym, znużonym przeciwnościami losu mężczyzną. Opuszczając energicznym krokiem sypialnię pomachała mu ręką: — Bywaj, chico, Adios.

— Będę w czwartek. Czemu nie mówisz: hasta luego?

— Co za różnica, hombre? — dobiegł go z korytarza oddalający się głos. — Adios, hasta luego, hasta pronto, hasta mañana...

Obcasy zaturkotały na schodach. Słyszał jeszcze, jak rozmawia z Conchitą, jak poleca wesoło i przyjaźnie swojej jedynej służącej, aby umyła okna, wytrzepała chodnik w jadalni i obrała kartofle.

— Gdyby señor musiał wyjechać, pilnuj recepcji.

— Si señora! — Dziewczę też było najwyraźniej w szampańskim humorze. — Zrobię wszystko na czas.

W głowie Jana huczało. Wstał z krzesła i zaczął krążyć tam i z powrotem po tym dziwnym dormitorium, zawracając raptownie to przed jedną, to przed drugą ścianą. Trwało to około piętnastu minut, w trakcie których stoczył ze sobą codzienną walkę. Uspokój się! Nie potrafię! Zwariuję! Wytrzymasz! Muszę palnąć lufę! Nie musisz!

Nagle dwie walczące ze sobą strony osiągnęły szczęśliwy kompromis. Ta, której wydawało się, że jest zła, zapytała przymilnie:

„Ale piwo mogę chyba wypić?"

Zaś ta, której wydawało się, że jest dobra, odpowiedziała cicho:

„Piwo tak, jak najbardziej".

„Dziękuję!"

„Nie ma za co. Ale pamiętaj jedna flaszka i szlus!"

„A kto by tam myślał o drugiej!"

„Już ja cię znam!"

„Tym razem nie zrobię ci zawodu!"

„Słowo?"

„Słowo!"

„No to jazda!"

Uścisnęły się pogodzone ze sobą strony. Jan wypadł na ulicę, przekuśtykał jezdnię i stanął przy dębowym szynkwasie baru prosperującego naprzeciw noclegowni señory Luisy Rosario Figueras.

C.D.N.

Wideonotes

FILM, TV, WIDEO

Sztuka moich myśli

— Rozmowa z JÓZEFEM ROBAKOWSKIM

— Jak najkrócej zdefiniowałby pan sztukę wideo?

— Każdy chyba sam musi sobie taką definicję stworzyć. Jeśli o mnie chodzi, to zorganizowałem nawet kiedyś spotkanie pod takim tytułem, który głosił, że wideo to jest sztuka wyrażania moich myśli. Uważało się dawniej, że wideo jest tylko powszechną rozrywką, funkcjonującą na takiej zasadzie, jak telewizja. Tymczasem okazało się, że powstał niezależny ruch artystyczny, który jest kompletnym zaprzeczeniem telewizji, bo jest szalenie osobistą artykulacją tego, co człowiek chce powiedzieć, jak w każdej innej dyscyplinie sztuki. To jest olbrzymi ruch w tej chwili, pojawia się w nim teraz cała masa prób eksperymentalnych, co dla mnie nie jest szczególnie ciekawą dziedziną. W swoim czasie, gdy pracowaliśmy w Łodzi w Warsztacie Formy Filmowej, to ludzie także myśleli, że to jest praca na naturze kina. Ale to jest praca na własnej osobowości, a takie eksperymentowanie, które miałoby potem znaleźć zastosowanie praktyczne, w ogóle mnie nie zajmuje. Mam na myśli pracę, powiedzmy, usługową — nie chcę podpowiadać społeczeństwu jak ma żyć czy reagować. Moja praca jest moją pracą, i podobnie myślących ludzi jest obecnie bardzo wielu. Odnajdują się przez różne kontakty prywatne, festiwale, spotkania, przez taką swoistą „sztukę poczty", bowiem to wszystko można zapakować i przesłać pod żądanym adresem. To fantastyczne, że właściwie taki zapis samego siebie można posłać każdemu.

— Czy w tym sensie, w jakim funkcjonuje sztuka wideo w Polsce, można mówić o pewnej elitarności tego zjawiska również w krajach zachodnich?

— Tam każdy może video-art uprawiać, to funkcjonuje jak fotografia. U nas jest inaczej. Wideo realizacyjnego jest w kraju bardzo mało, bowiem niewielu ludzi posiada ten sprzęt, i w sumie niewielu jeszcze artystów podjęło decyzję uprawiania tego rodzaju sztuki. Kiedy organizowałem festiwal międzynarodowych video-clipów, zaproponowałem także coś w rodzaju wolnego ekranu dla tych, którzy pragnęliby przedstawić na wideo każdą dowolną pracę własną, nawet poza programem tej imprezy. I teraz, w ramach dużej wystawy, którą organizujemy w galerii **„Manhattan"** pod nazwą **„Lochy Manhattanu"**, ma odbyć się trzeciego dnia pokaz międzynarodowych video-art clipów. Wystawa otwarta zostanie 18 maja, prezentacja sztuki wideo odbędzie się więc 20. Zauważyłem ostatnio wzmożone zainteresowanie nowej grupy artystów środkiem wyrazu, jakim jest wideo. Warto dodać, że polskie wideo jest dość ambitne, oryginalne i prezentuje się korzystnie na tle osiągnięć światowych. Być może dzieje się tak dlatego, że polscy artyści są raczej słabo zorientowani w obecnym kształcie światowego rynku wideo, i wszystko robią po swojemu. Niedawno odbywał się w Łodzi olbrzymi przegląd awangardowych filmów wideo, zorganizowany przez **Ryszarda Kluszczyńskiego**, i tam także pojawił się ten problem. Otóż przyjechała na tę imprezę pewna artystka duńska, przywożąc z sobą prace „światowe", w sensie takiego utartego już niesłychanie języka wideo, i nastąpiło jakby zderzenie tych prac z dziełami artystów polskich. Ta Dunka dostrzegła nagle, że jej kraj nie ma tylu problemów, kłopotów, jakichś dziwnych uwarunkowań, i w rezultacie produkuje inną sztukę. Muszę tu powiedzieć, że mnie również wydaje się, iż obecna sytuacja w Polsce, w każdej dziedzinie życia, jest niezwykle interesująca, przeto i sztuka znalazła się w sytuacji ekstremalnej, stwarzającej wielkie możliwości twórcze. Dlatego bycie teraz artystą w Polsce jest czymś niesłychanie ważnym i ciekawym, ludzie zostali niejako zmuszeni do takich krańcowych działań w każdej dziedzinie sztuki i jest oczywiste, że artyści zachodni mogą takich problemów nie przeżywać. I nie trzeba ich im wtłaczać na siłę, ale nie trzeba się też ich wstydzić, bo one są ważne tak dla nas, jak i dla wszystkich ludzi.

— Czy mógłby powiedzieć pan coś bliższego na temat planowanej na maj wystawy? „Lochy Manhattanu" to chyba największa impreza w Łodzi od czasów pamiętnej „Konstrukcji w procesie"?

— Tak jest, ma to być nawet w pewnym sensie kontynuacja tamtych działań, bowiem ta wystawa, niezależna właściwie, powstaje na skutek potrzeb i chęci środowiska. Udało nam się pozyskać do współpracy dyrektora Muzeum Kinematografii **Antoniego Szrama**, i jego pomoc jest tu nieoceniona, ponieważ przedsięwzięcie nasze jest ogromne, i myślę, że żadna inna instytucja w Łodzi nie podjęłaby obecnie takiego wyzwania.

— Czy tylko ze względu na materialny ogrom wystawy?

— Chodzi chyba w ogóle o podchwycenie pomysłu. To, że wymyśliłem sobie taką imprezę, to jeszcze mało, trzeba ją w jakichś warunkach osadzić. W 1981 roku, gdy robiliśmy „Konstrukcję w procesie", warunki były znacznie bardziej sprzyjające. Łódzkie środowisko artystyczne było wtedy w kapitalnej formie, było chyba najciekawsze w Polsce. Teraz sytuacja wygląda inaczej — jesteśmy porozrywani, wielu kolegów opuściło kraj, środowisko znalazło się na skraju zaniku, niektórzy artyści przenieśli się do innych miast. Chcemy zatem pobudzić i zintegrować tych, którzy zostali, a których władze miasta pozbawiły właściwie swojego miejsca na funkcjonowanie. Przypomnę tu tylko głośną sprawę łódzkiego STK. Jedyna działająca prężnie Galeria Wschodnia pracuje w warunkach paranoicznych, jaskiniowych, i jest utrzymywana przy życiu tylko dzięki fanatycznej aktywności kilku zapaleńców. Zaistniała poważna stagnacja w szkołach artystycznych. Wydaje mi się jednak, że teraz coś się budzi, rusza, i pragnąłbym wykorzystać nadarzającą się możliwość. Myślę, że ludzie chcą „wyrzucić" z siebie to, co się w nich nagromadziło przez te ostatnie lata. Czas stworzyć forum myśli otwartej, pracy w sztuce na zasadzie niezależnej od instytucji, BWA, organizacji muzealnych. „Lochy Manahattanu" mają być właśnie taką otwartą imprezą, choć także z dość konwencjonalną, dużą wystawą, wokół której przez trzydzieści dni odbywał się będzie szeroki przegląd indywidualności, w najróżniejszych mediach, bez najmniejszych ograniczeń, nawet jeśli pojawi się ktoś w ostatniej chwili.

— Wszyscy stęskniliśmy się już za tego rodzaju imprezami. Czy sądzi pan, że jej oddźwięk będzie dostatecznie szeroki, by zaktywizować nowe grupy artystów?

— Czuję chęć do pracy wśród ludzi. Ponadto zapraszamy tylu wybitnych artystów polskich o międzynarodowej renomie, że mam nadzieję, iż wystawa odbije się echem nie tylko w Łodzi i w Polsce. Świat integruje się politycznie, ale nie artystycznie, ludzie walczą o swą tożsamość indywidualną, i największą rację bytu mają działania nieoblegowe, intymne, prywatne. Dwa moje filmy, zrobione w tym duchu, kupiła teraz telewizja niemiecka. Są to filmy proste, opowiadające o nastroju ostatnich lat, i może dlatego zainteresowały tamtejszych odbiorców. Zrobiłem też film (z telewizora) o pogrzebie Breżniewa — to pomnik, symbol, tak kosztownej uroczystości nie będzie prędko na świecie. Powstał zapis świadomości naszego czasu, ta praca jest jej ilustracją, symbolem naszych rozmaitych uwikłań, nie w sensie politycznym, a egzystencjalnym. Chyba o to w tej pracy chodzi, wydaje mi się bowiem, że świat widziany poprzez własne, intymne problemy, jest ciekawszy i bogatszy od wielkich oficjalnych produkcji. Niezła jest też nasza sytuacja artystyczna na Zachodzie. Oni tam odkrywają teraz dla siebie nowych ludzi, tak jak odkryli **Kantora, Abakanowicz, Grotowskiego.** Szukają ludzi, którzy wiele przetrwali „świętych krów" naszej sztuki, jak ja ich nazywam. Do takich ludzi zaliczam na przykład **Zbigniewa Warpechowskiego.** To człowiek, który naprawdę przeżył je głęboko, i stąd jego sztuka jest tak autentyczna, świeża, pozbawiona wpływów. Ona się sama robi. Odchodzi się raczej od artystów powierzchownych, oscylujących na praktyce politycznej, górą są ci, którzy przeżyli to, co mają do powiedzenia. Jesteśmy na szczęście zauważani i docenieni na Zachodzie, nasi artyści chętnie są zapraszani na rozmaite imprezy, i mam nadzieję, że nasza wystawa stanie się dla twórców nowym forum pomysłów nowoczesnej, aktualnej polskiej sztuki, tak różnej przecież od sztuki reszty Europy.

— Dziękuję za rozmowę.

MACIEJ ŚWIERKOCKI

Przed 30 laty był to festiwal festiwali filmowych, jak powiadali — prawdziwe święto kina, którego zazdrościli nam nasi sąsiedzi. Dziś jest to przegląd filmów świata, jeden z licznych przeglądów, jakie co roku odbywają się w Polsce, czyli **Konfrontacje Filmowe '88**. Jest to — trzeba tu podkreślić — przegląd szczególny, o największym zasięgu (odbywa się w 13 miastach), umożliwiający poznanie światowego dorobku ostatniego sezonu, stanowiący jednocześnie zapowiedź repertuarową najbliższych miesięcy.

Filmy świata

Program tegorocznych Konfrontacji zawiera dwanaście tytułów, wśród nich gigantyczne przedsięwzięcia filmowe w rodzaju angielskiego obrazu pt. **„Ostatni cesarz" Bernardo Bertolucciego**, legitymującego się już dziś 9 Oscarami, 4 „Złotymi Globusami", Cezarem i innymi nagrodami. Jest też w programie chiński obraz **„Miasteczko Hibiscus"**, w którym reżyser **Xie Jin** dokonuje rozrachunku z okresem pamiętnej „rewolucji kulturalnej", zawierającego przerażającą analizę moralną epoki dążącej do unicestwienia jednostki ludzkiej. **„Frantic"** to kolejny głośny obraz **Romana Polańskiego**, który w formie sensacyjnej, zręcznie sfilmowanej i trzymającej w napięciu akcji, opowiada historię amerykańskiego lekarza, desperacko poszukującego porwanej w Paryżu żony. **Chris Menges** jest twórcą angielskiego filmu pt. **„Świat na uboczu"** (opartego na pamiętnikowej relacji Shayn Slao z Republiki Południowej Afryki), w którym — poprzez losy trzech kobiet — ukazuje dramat mieszkańców tego kraju. **„Koyaanisqatsi" Godfreya Reggio** (USA) to jeden z najgłośniejszych filmów ostatnich lat, przedstawiający świat i to, co człowiek z nim zrobił, jak w nim żyje. **„Do zobaczenia chłopcy" Luisa Malle** — (Francja-RFN) to zdobywca głównej europejskiej nagrody — Felixa '88.

Kinematografię amerykańską reprezentują jeszcze dwa obrazy — **„Willow" Rona Howarda**, brawurowe połączenie kina magicznego z przypowieścią moralną oraz **„Imperium słońca" Stevena Spielberga**, do obejrzenia którego nie trzeba zachęcać.

Kinematografię radziecką reprezentuje **„Komisarz" Aleksandra Askoldowa**, o którym pisaliśmy na naszych łamach. W programie jest też film duński pt. **„Uczta Babette"** zrealizowany wg noweli **Karen Blixen** — autorki **„Pożegnania z Afryką"**, a reżyserem jest **Gabriel Axel** oraz węgierski obraz **Istvana Szabo pt. „Hanussen"**, będący historią słynnego jasnowidza wplatanego w rozgrywki polityczne w okresie dojścia Hitlera do władzy. I wreszcie kinematografia polska i film **Wiesława Saniewskiego pt. „Dotknięci"**, oparty na motywach opowiadania **Andrzeja Kijowskiego „Oskarżony"**.

Tegoroczne Konfrontacje rozpoczynają się 30 marca i potrwają do 10 kwietnia.

M. Z.

Masz temat dla reportera? Coś cię drażni, niepokoi, szlag cię trafia — podnieś słuchawkę i wykręć numer: 36-77-70

Poglądy, opinie i fakty przedstawiamy w relacji z reporterskiego dyżuru wyłącznie na odpowiedzialność Czytelników, który przekazali je nam telefonicznie. Rubryka ta funkcjonuje na zasadzie wzajemnego zaufania. Daje ona naszym Czytelnikom możliwość przekazania opinii publicznej spraw, które utrudniają im życie.

Na Twój telefon czekają redaktorzy:

9 marca — ANDRZEJ GĘBAROWSKI — godzina 10—15
16 MARCA — PAWEŁ TOMASZEWSKI — godzina 10—15

RELACJA Z DYŻURU REPORTERSKIEGO Z 2 MARCA 1989 ROKU

Pan **Jerzy Michalak**, ul. Ghandiego 22 m. 31 powiadomił, że na ul. Tybury 9B (podległy ROM 4/5) znajduje się budynek wolno stojący, z którego w grudniu 1988 roku wyprowadzili się lokatorzy. W ciągu minionych trzech miesięcy budynek został poważnie zdewastowany (powyrywane okna, drzwi, instalacja elektryczna, zabrane zostały krzewy z ogródka itp.). Pana J. M. oburza ten stan rzeczy, szczególnie w sytuacji, kiedy w Łodzi brakuje mieszkań. Szczególnego smaku nabiera fakt, iż wzmiankowany budynek sąsiaduje z ROM 4/5.

Pani **Żaneta Drążkiewicz** z ul. Strycharskiej 24 postuluje, by na skrzyżowaniu ulic Powstańców Wielkopolskich i Kasprzaka — Klonowa na tej pierwszej ustawić znak „Stop". Ulica Powstańców Wlkp. jest podporządkowana w stosunku do Kasprzaka — Klonowej i kierowcy jakoś tego nie dostrzegają, stąd tyle tam wypadków i stłuczek. A znak „Stop" ulemperowałby zapewne wielu jeżdżących po kawalersku.

Pani **Elżbieta Olszewska** z Chojen — Zatorza, z ul. Społecznej 5 żali się, że na ich osiedlu nie ma sklepów spożywczych. Jest co prawda kiosk ajencyjny, ale częściej bywa zamknięty niż otwarty. By kupić chleb i mleko ludzie chodzą ponad kilometr, aż na Kurczaki. Co na to Wydział Handlu Urzędu m. Łodzi?

Pan **Józef Bonikowski** z Klęk 32, gm. Stryków zadzwonił w takiej sprawie: od 7 lat ubiega się o przydział pokoiku o powierzchni 11 m kw. Bo sam (5-osobowa rodzina) zajmuje pomieszczenie o pow. 25 m kw. Te 11 m kw. obecnie należą do rodziny Pawłowskich, którzy (rodzina 2-osobowa) mają ponadto dwie inne izby o powierzchni ok. 27 m kw. plus korytarz. Niestety Urząd Miasta i Gminy w Strykowie na podania pana J. B. odpowiada odmownie. Więc pan J. B. wysuwa inną propozycję: w tymże budynku mieszkają państwo Konradowie (4 osoby) i oni zajmują 3 izby plus korytarz, w sumie 73 m kw. Ale Urząd Miasta i Gminy w Strykowie i tę propozycję pana J. B. odrzucił. Nie jesteśmy władni rozstrzygnąć powyższego sporu, natomiast możemy zapytać Urząd Miasta i Gminy w Strykowie czy istotnie nie ma możliwości, by poprawić warunki mieszkaniowe pana Józefa Bonikowskiego?

Pani **A. W.** pyta czy nasze urzędy nie wydają przypadkiem zbyt wiele zezwoleń na powoływanie firm prywatnej pomocy lekarskiej? Czy nie lepiej dążyć do jakości a nie do ilości?

Pani A. W. poruszyła także — moim zdaniem — kapitalną sprawę: chodzi o higienę w sklepach spożywczych. Dlaczego osoba, która podaje nam chleb lub waży twarożek, przyjmuje pieniądze i wydaje resztę? Pieniądz przechodzi przez setki, a może i tysiące rąk, jest brudny i ten brud później zostaje przeniesiony na chleb, na twarożek, na inne artykuły spożywcze. Czy naprawdę nie można temu zaradzić i oddzielić kasę od sprzedawcy?

Pani **A. W. pyta:** dlaczego nadal lekarzom przyjmującym prywatnie nie wolno wystawiać recept na 30 proc. dla ludzi ubezpieczonych? Wolno to robić spółkom medycznym, a nie wolno pomocy prywatnej? Przecież to pacjent jest ubezpieczony i wszystko jedno, kto udziela mu porady lekarskiej.

Pan **Rajmund Drzazgowski** z ul. Zachodniej 25B, pyta: jak to jest, że minister komunikacji oficjalnie poinformował, iż podwyżki w MPK nie będą odbywać się kosztem pasażerów, a tu, proszę, bilety podrożały o całe 100 procent! Czy nie za dużo mamy administracji? Ostatnio miał sprawę w Wydziale Handlu Urzędu m. Łodzi, ale jej nie załatwił, bo panie z tegoż urzędu stały w kolejce w bufecie. Pan R. D. jest oburzony i postuluje, by zlikwidować wszystkie bufety w urzędach. Moje zdanie: nie sądzę, aby to był szczęśliwy pomysł, zwłaszcza w naszej sytuacji rynkowej. Bo kiedy i gdzie ma zaopatrzyć się kobieta po wyjściu z pracy?

Pan **S. C.** (dane personalne do wiad. redakcji) pyta: dlaczego MPK stosuje różne ceny na autobusy zwykłe i pośpieszne, skoro i jedne, i drugie kursują nieraz tą samą trasą i mają taką samą ilość przystanków? Jako przykład pan S. C. podaje pośpieszny E oraz zwykły 85. Od Armii Czerwonej do Dworca Północnego ich trasy są identyczne i mają tę samą ilość przystanków.

Pan **Zdzisław Caban** jest oburzony giełdą zabawek, która w Łodzi rozreklamowano do granic nieprzyzwoitości, bo przecież jest to działanie wbrew wszelkim prawom psychiki i psychologii. Otóż nie dość, że płaci się 200 zł za wstęp — a przeważnie idzie się tam z dziećmi — to jeszcze się narażą dzieci na stresy. Bo zabawek jest sporo, są ładne (w większości plastyk, a więc nietrwałe), kolorowe, ale nic nie można kupić. Czy organizatorzy nie mogliby na takiej giełdzie ustawić bodaj jednego stoiska z plakietkami, nalepkami itp. żeby dziecku, które po obejrzeniu tych wspaniałości całe jest podekscytowane, kupić jakąś pamiątkę?

Pan **J. P.** (dane personalne do wiadomości redakcji) poruszył — moim zdaniem — ważną sprawę, a mianowicie chodzi mu o palenie papierosów w windzie. Pan J. P. postuluje, aby może Przedsiębiorstwo Konserwacji Urządzeń Dźwigowych na ten temat wywiesiło w windach jakieś nalepki czy naklejki. Może pomoże. A w ogóle pan J. P. ubolewa, że kultura osobista naszego społeczeństwa tak bardzo upada. Ja, proszę pana, także ubolewam, i to od dawna.

Pani **Bogumiła Fastudzin** (adres znany redakcji) odwiedziła lekarza — stomatologa pana Krupę. Pan Krupa za założenie plomby wziął od pani B. F. 10.000 zł! Pani B. F. jest tym faktem zirytowana. Ja natomiast podejrzewam, że ów stomatolog — lekarz ma spokojne sumienie, cieszy się znakomitym zdrowiem i leczy kolejnych pacjentów. Podpowiadam także panu doktorowi, że pojawiły się banknoty o nominale 20.000 zł. Obyśmy zdrowi byli!

Pan **S.** (prosił o niepodawanie nazwiska do publicznej wiadomości) przekazał nam informację, że na skrzyżowaniu al. Kościuszki z Zieloną część torowiska tramwajowego nie ma płotka rozdzielającego. Ów odcinek został wyłożony kamieniami, które pod nogami przechodniów często dostają się na jezdnię. Pędzące samochody najeżdżają na te kamienie, które są wyrzucane spod kół jak z procy. Niech taki kamyk uderzy w głowę! Pan S. postuluje, aby przedłużyć płotek, co zabezpieczy przed ewentualnym nieszczęściem. Apel ten kierujemy pod adresem MPK.

Pan **Kazimierz Amurski**, Kazimierza 9 m. 27, który od lat walczy o ochronę środowiska naturalnego, a szczególnie o uratowanie tak przecież skąpego drzewostanu w naszym mieście postuluje by powołać Pogotowie Ratunkowe dla Zieleni Miejskiej. Pan K. A. domaga się, aby ci, którzy zaczęli ratować drzewa zalewane betonem i okładane tuż przy pniu płytami chodnikowymi. Może takie Pogotowie powinno powstać przy Lidze Ochrony Przyrody, może przy Wydziale Ochrony Środowiska, może przy Łódzkim Przedsiębiorstwie Ogrodniczym? A może wszystkie te instytucje razem powołałyby takie Pogotowie? W każdym razie gorąco zachęcam wraz z panem Amurskim wszystkich ludzi dobrej woli: ratujmy łódzką zieleń!

EUGENIUSZ IWANICKI

SPROSTOWANIE

W ogłoszeniu o przetargu zamieszczonym w nr 10 „Odgłosów" przez Spółdzielnię Mieszkaniową „Teofilów" znalazł się błąd.

Winno być: **Przewidywany koszt robót wyniesie ca — 60.000.000 zł.** Przepraszamy.

P.P.H. w Łodzi

espero

oraz

OŚRODEK REHABILITACJI MEDYCZNEJ I ODNOWY BIOLOGICZNEJ W ŁODZI

oraz

CHOJEŃSKI KLUB SPORTOWY

ul. Kosynierów Gdyńskich 18

telefon: 84-87-83, 84-66-58

oferuje:

— konsultacje lekarzy specjalistów do spraw rehabilitacji,
— sauna — masaże — fizykoterapia,
— gimnastyka (aerobic) dla kobiet,
— gimnastyka korekcyjna dla dzieci,
— pokoje gościnne na 30 miejsc noclegowych, czynne we wszystkie dni tygodnia, oprócz niedziel.

KONSULTACJE LEKARSKIE PROWADZĄ:
doc. dr med. Paweł Wieczorek, dr Adam Jakubowski, dr Bogusław Rataj

ZGŁOSZENIA PRZYJMUJEMY INDYWIDUALNIE, GRUPY ZORGANIZOWANE, ZAKŁADY PRACY.

ZAPEWNIAMY FACHOWĄ I SYMPATYCZNĄ OBSŁUGĘ. 826/k

· polemiki · listy · opinie ·

polemiki · listy · opinie ·

Na kolumnie „Polemiki — listy — opinie" publikujemy tylko teksty podpisane imieniem i nazwiskiem z podaniem adresu. Wszelkie dane na życzenie zainteresowanego zatrzymujemy do wiadomości redakcji. Prezentujemy również poglądy i opinie, których redakcja nie podziela. Przedstawiane w listach fakty publikujemy na odpowiedzialność autorów.

JAK WYSIEDLANO Z ŁODZI?

Po przeczytaniu w „Odgłosach" z 15.01.89 r. listu p. Włodzimierza Jóźwiaka „Jak wysiedlano z Łodzi w 1939 roku?" chcę przekazać gehennę innego transportu wysiedlonych z Łodzi w lutym 1940 r. Od 1939 r. byłem mieszkańcem domu przy ul. Brzeźnej 18 m 7. Od stycznia 1940 r. ulica ta, ze względu na nowe domy, została administracyjnie włączona do dzielnicy niemieckiej. W nocy z 23 na 24 lutego Niemcy wyprowadzili z mieszkania pod nr 5 panią Elżbietę Orłowską (syn Władysław — niedawno zmarły pisarz — spodziewając się aresztowania, wówczas nie nocował w domu) i z mieszkania pod nr 6 panią Wójcikową z 4-letnim dzieckiem. Pozostaliśmy na jeden dzień jedynymi Polakami w tym domu, gdyż nocy następnej załomotali kolbami karabinów do naszych domów. Było ich trzech: żandarm i dwóch policjantów (jeden z nich przyznał się, że jest synem stolarza z Konstantynowa). Wrzaskiem i popychaniem zmusili nas po 15 minutach do opuszczenia mieszkania. Zdążyliśmy ubrać się oraz za ich zgodą włożyć do walizki po jednej zmianie bielizny i zabrać jeden koc na całą rodzinę. Nie zabraliśmy z sobą żadnych przedmiotów kuchennych ani żywności. Pod konwojem policjantów prowadzono nas pieszo ulicami: Brzeźną, Piotrkowską, Zwirki — do al. Kościuszki i wprowadzono do budynku po stronie nieparzystej al. Kościuszki między ul. Bandurskiego a Zamenhofa. Urzędowali tam funkcjonariusze w czarnych mundurach ze swastyką na rękawie. Po indywidualnych szczegółowych przesłuchaniach nad ranem oświadczono nam, że mamy szczęście, gdyż nie zostaniemy uwięzieni, lecz wysiedleni do Generalnej Guberni, gdzie otrzymamy pracę i mieszkanie. Załadowano nas na wojskową ciężarówkę i pod konwojem zawieziono na teren fabryki przy ul. Łąkowej, gdzie dowiedzieliśmy się, że jest to obóz przejściowy. Po gruntownej rewizji (wraz z rozbieraniem do naga) i rekwizycji wszystkiego co miało jakąkolwiek wartość, dano nam po jednym banknocie 20 zł (przedwojennym) na osobę i zaprowadzono do jednej z opróżnionych z maszyn hal, w której na betonowej posadzce leżały obok siebie całe rodziny, w tym starcy i maleńkie dzieci. Niektórzy z nich przebywali tam od 3 tygodni. Nie mając garnuszków i misek nie mogliśmy ustawić się w kolejkach do kotłów po czarną zbożową kawę lub zupę z brukwi, których i tak dla wszystkich nie wystarczyło. Jedliśmy tylko czarny chleb z marmoladą z buraków, otrzymywane 2 razy dziennie. Ze względu na zimno panujące w halach oraz lodowatą wodę w kranach nikt się nie przebierał ani nie mył. Wszyscy siedzieli lub leżeli skuleni z zimna. 28 lutego nad ranem zarządzono zbiórkę na dziedzińcu fabrycznym i wyczytując po nazwiskach ładowano na wojskowe ciężarówki, które zawoziły ludzi na Dworzec Fabryczny. Wpędzono nas do zimnych wagnów osobowych ze skutymi lodem szybami. W przedziałach było bardzo ciasno, gdyż cały transport liczył 1400 osób.

Na stacji Gałkówek pociąg stał przeszło 3 godziny. Przez odchuchane okienko w szybie widziałem przyniesiony przez polskich kolejarzy duży kocioł z parującą czarną kawą, który stał długo na peronie na wprost okna naszego przedziału, lecz nam nie wolno było otwierać drzwi czy okna, pod karą śmierci (a ja nic nie piłem od 4 dni). Nie dano nam na drogę żadnego prowiantu. Po zachodzie słońca pociąg dojechał do Piotrkowa i po wielogodzinnym postoju na bocznicy wrócił do Koluszek, skąd skierowano go na inne tory. Jechaliśmy przez wiele godzin, nie wiedząc dokąd. Nagle pociąg stanął w polu i konwojujący nas żandarmi kazali wysiadać. Skakaliśmy z wysokiego nasypu w śnieg, nie wiedząc, gdzie się znajdujemy. Opróżniony pociąg odjechał, a my czekaliśmy w śniegu do świtu. Nad ranem przyjechało do nas dwóch mężczyzn na saniach, z których jeden zawołał, że jest z Powiatowego Komitetu Opieki Społecznej w Końskich i że przyjechał po nas, aby nam powiedzieć, że jesteśmy kilka kilometrów od Końskich i mamy iść za jego saniami, aby dojść do miejsca czasowego zakwaterowania w pałacu hr. Tarnowskiego. Przez strzeżoną przez żandarmów dużą żelazną bramę w wysokim murze dostaliśmy się do pałacu. W kilku dużych pustych salach pałacu rozlokowano cały transport ludzi. I znów leżeliśmy pokotem, tym razem na drewnianej podłodze i szczękaliśmy zębami. Ale na szczęście po 5 dniach mogłem napić się kawy, gdyż znalazłem blaszankę po konserwie wojskowej. Po ostrzeżeniu przez wizytującego nas proboszcza z widocznego z naszych okien kościoła, że Niemcy młodych mężczyzn będą wywozić na roboty do Niemiec, w kilkuosobowej grupie uciekliśmy w nocy z 2 na 3 marca 1940 r. Po całonocnej wędrówce pieszej dotarliśmy do Żarnowa, a po całodziennej wędrówce — już w nocy byliśmy w Sulejowie. Zostaliśmy przyjęci na noc przez rodzinę żydowską zamieszkującą w rynku, a rano wsiedliśmy do ciuchci, aby w południe 4 marca przybyć do Piotrkowa. W okolicach Piotrkowa przebywałem do końca okupacji niemieckiej. Do Łodzi przyjechałem szosą piotrkowską — na rowerze w dniu 23 stycznia 1945 r., do mieszkania prawie całkowicie ograbionego bez szyb okiennych oraz z popękanymi kaloryferami. W odróżnieniu od hal fabrycznych i pałacu hr Tarnowskiego położyłem się już nie na podłodze, ale na tapczanie, chociaż znów kłapałem zębami z zimna i do tego kąsały mnie (po raz pierwszy w życiu) pluskwy poniemieckie.

ZENON CHIŻYŃSKI
Płk WP w stanie spoczynku

PRZED WOJNĄ W ŁODZI...

W 5 numerze „Odgłosów" Czesław Żyliński w liście „A może w Łodzi" pisze: w „śródmieściu Bydgoszczy w dwóch niezbyt oddalonych od siebie punktach wywieszane są za szybą ukazujące się w tym mieście gazety", sugerując rozpowszechnianie tego zwyczaju. Ale autor nie powiedział kto ma to zrobić.

Przed wojną każda szanująca się gazeta, a za taką uważała się każda, wywieszała bądź przyklejała przed swą redakcją, na specjalnej tablicy swoje gazety. Tablice te były oblegane przez czytających. Godzi się wymienić niektóre tytuły i miejsce ich ekspozycji.

„Kurier Łódzki" — ul. Piotrkowska przed placem Wolności,

„Głos Poranny" — ul. Romualda Traugutta,

„Echo" — ul. Franciszka Żwirki,

„ABC", „Orędownik", „Polonia" — ul. Piotrkowska przy Andrzeja,

„Robotnik" — ul. Dowborczyków (obecnie PKWN),

„Kurier Warszawski" — ul. Andrzeja.

Nie wymieniam tutaj: „Republiki", „Ekspresu", „Łodzianina" i innych gazet, gdyż nie wiem gdzie miały swe redakcje lub tablice.

Myślę, że już tę skromną prezentację warto przedstawić, by Czytelnicy, zwłaszcza młodsi, (sądzę że i redakcja również) mieli rozeznanie w ilości tytułów wychodzących w Łodzi gazet, a wywieszanie ich, to nie żadne odkrycie Ameryki — to reklama dla gazety. Gazeta to była FIRMA, każda była inna nie tylko z nazwy. Taka jest prawda.

JAN KABAT

OD REDAKCJI: Zawsze z przyjemnością drukujemy listy, w których autorzy wspominają dawne czasy. Natomiast z zachęcaniem do tego, aby korzystać z tych minionych wzorów, bylibyśmy ostrożni. Przedwojennej prasy nie da się porównać z dzisiejszą. Inny poziom, inny model, inne czasy, inni czytelnicy. Wtedy istotnie gazety różniły się między sobą i walczyły o czytelnika. Dziś ciągle są podobne, co nie zawsze jest winą gazet. Ale wywieszanie gazet w gablotach nic nie zmieni. Za przypomnienie, jak było dawniej — dziękujemy. W redakcjach na ogół dobrze znamy historię łódzkiej prasy. Przynajmniej w „Odgłosach".

SĄ JESZCZE PYTANIA

W nr 5 „Odgłosów" z dn 29 stycznia br. ukazał się artykuł Lucjusza Włodkowskiego pt. „Laszlo Rajk" przed Trybunałem Ludowym w Budapeszcie", w którym autor wspomina o słynnym na Węgrzech procesie, jaki odbył się w 1949 r. Oskarżona w nim została grupa komunistów węgierskich, którym zarzucano współpracę ze „zbrodniczą działalnością Tito" w Jugosławii. Autor powołuje się na wydaną w Polsce książkę autoryzowaną przez „Książkę i Wiedzę" i opublikowaną w rekordowym tempie trzech tygodni w setkach tysięcy egzemplarzy nie licząc się z czasem i papierem. Słusznie też zauważył, że był to smutny rekord.

Na początku lat osiemdziesiątych zaczęto likwidować w bibliotekach książki o niewygodnej treści, podobnie jak to było w latach pięćdziesiątych (tylko, że działano wtedy w odwrotnych kierunkach). W latach 1949—1950, kiedy to likwidowano w bibliotekach nieliczne książki omawiające działalność Armii Krajowej, Szarych Szeregów, bohaterstwa żołnierza 1939 r. i walki na Zachodzie należałem do tych osób, które „sposobem" przez zgłoszenie „zaginięcia" wykradali te książki z bibliotek. W ten sposób zachowałem „1-szą pancerną" — Franciszka Skibińskiego i „Monte Cassino" Melchiora Wańkowicza.

W latach 1950—1981 wyprodukowano miliony broszur, które zalegały półki w „Domach Książki" i bywały kupowane jedynie przez organizacje polityczne i biblioteki państwowe celem „szkolenia" czytelników. Kiedy jednak uległy one naturalnemu zniszczeniu (słońce i kurz) postanowiono bardziej „trefne" broszury oddać na przemiał, w ten sposób pozbawiając się „dowodów" pracy niektórych „pisarzy". W tym wypadku też nie byłem obojętny. Mając dobre układy z bibliotekami ocaliłem kilka „rewelacyjnych" pozycji, a m.in. wydaną przez „Prasę Wojskową" broszurę „Szpiedzy i dywersanci bez maski". Traktowała ona o przebiegu procesu Laszlo Rajka, jaki odbył się w Budapeszcie w roku 1949 (liczyła 94 str.). Opierała się ona na pracy Henryka Wernera pt. „Rozważania budapeszteńskie" napisanej do miesięcznika oficerskiego „Nasza Myśl". W broszurze tej w sposób pasjonująco rzeczowy autor stara się „udowodnić" winę Laszlo Rajka. Drugą taką „pracą" była broszura „Zbrodnicza działalność Tita", w której wmawiano przywódcy Jugosławii, że był on zdrajcą na usługach gestapo. I tutaj gwoli „prawdzie" operowano nazwami jednostek niemieckich, które brały udział w zwalczaniu ruchu partyzanckiego na terenie Serbii, Bośni, Czarnogóry, Chorwacji, Macedonii, Słowenii itp. uważając Tita za szpiega i zdrajcę.

Nie mniejszym „zainteresowaniem" cieszyły się książki niejakiego St. Skwarka, o działalności konspiracyjnej na Ziemi Kieleckiej, szkalujące m.in. członków oddziałów AK na tym terenie. Spotwarzeni członkowie oddziału „Jędrusi" podali autora do sądu i wygrali (każdy z osobna). Doprowadzili oni do zgonu autora (atak serca) w czasie kolejnej rozprawy. Jest to jeden ze znanych mi wypadków ukarania fałszerza historii. Dzisiaj, choć wiele się zmieniło, sporo rzeczy nie zostało wyjaśnionych, a przykład St. Skwarka wskazuje, z jaką rezerwą należy podchodzić do „prawdziwych faktów" i jak nie należy brać udziału w przemawianiach i fabrykowaniu nie mających pokrycia dokumentów.

Mimo ujawnienia szeregu „białych plam" dotychczas nie dano konkretnych odpowiedzi na pytania:

1) Jaka była rola Bolesława Bieruta w aresztowaniu i śmierci Małgorzaty Fornalskiej (matki jego dziecka)?

2) Jak faktycznie zginął Marceli Nowotko i co faktycznie było przyczyną jego śmierci?

3) Jaka była rola Józefa Cyrankiewicza w Oświęcimiu?,

Oczekujemy odpowiedzi i na te pytania.

MIECZYSŁAW KOZAK

OD REDAKCJI: Okoliczności aresztowania Małgorzaty Fornalskiej i Pawła Findera wyjaśnił chyba w przekonywający sposób Andrzej Werblan w książce pt. „Władysław Gomułka — sekretarz generalny PPR".

Na temat śmierci Marcelego Nowotki ukazało się wiele interesujących hipotez, opierają się one niestety na takich czy innych przesłankach i nie wyjaśniają sprawy do końca.

Zgadzamy się, że trzeba odpowiedzieć na wszystkie nurtujące ludzi pytania. Zrobić to powinni przede wszystkim historycy. Nie kwapią się jednak do tego.

W bibliotekach powinny pozostać wszystkie napisane i opublikowane książki. Jako dokumenty. W przyszłości być może historycy, aby zrozumieć nasze czasy, będą musieli do nich sięgnąć.

NIKT NIE DBA O CHAŁUPNICZKI

Mieszkamy w małej miejscowości Pęczniew woj. Sieradz. A naszym chlebodawcą jest Spółdzielnia im. Wł. Bytomskiej w Głownie, ul. Swoboda 4. U nas jest filia tej Spółdzielni: zakład zwarty i punkt nakładczwa tzw. (chałupnictwo). Szyjemy biustonosze. Nasze zmartwienie polega na tym, że wszystko drożeje, a my uszyjąc normę 350 szt. mamy 17.500 zł akordu, 20 proc. premii + stażowe — w moim przypadku dochodzi 4000 zł rodzinnego na dwoje dzieci, więc do wypłaty mam 25.000 zł. Dodatki te otrzymujemy, gdy uszyjemy normę, a jeżeli nie, wszystkie te dodatki tracimy. Spółdzielnia zapewnia nam typowe maszyny domowe do ogólnego użytku, są one bardzo słabe i nie nadają się do szycia non stop. Spalają się nam silniki. Te maszyny się psują i nie mamy gdzie naprawiać, wozimy je do Sieradza położonego 40 km od nas, tracimy czas i płacimy za naprawy po 7 i 10 tys. zł. A Spółdzielnię naszą wcale to nie obchodzi, choć jest ustawa o zapewnieniu napraw, ale cóż z tego, gdy istnieje ona na papierku, nie mamy nawet zapewnionej dostatecznej ilości igieł i pasków klinowych.

Brygadzistka dzieli nam po 5 igieł na miesiąc, a czasami i na dłużej, igły się zbijają i łamią. Nie płacą nam żadnego postojowego, chociażby z braku materiału do szycia, nie mówiąc o wyłączeniach światła. Na zakładzie zwartym produkcję mają zapewnioną, bo inaczej pracownicy musieliby dostać postojowe. O chałupniczki nikt się nie martwi. Są wypadki, że brakuje nam materiału do uszycia do normy. Nie mamy wypłacanego chorobowego na dzieci, podobno nam się nie należy. Naszym zdaniem opiekę taką powinni nam uwzględnić, chociaż na dzieci do lat 3. Z chorym małym dzieckiem jest naprawdę ciężko cokolwiek zrobić.

Dawniej norma uszycia biustonoszy wynosiła 300 szt. W 1988 roku, gdy były podwyżki i wszyscy pracownicy dostali po 6000 zł osłonowego, u nas dostaliśmy te 6000 przez 2 miesiące, następnie podniesiono nam normę na 350 szt., a te 6000 zł zabrano. Zwracaliśmy się do związków zawodowych, pozostaliśmy bez żadnej odpowiedzi.

Mamy wspaniałego prezesa Spółdzielni, którego się każdy boi. Jest tak bystry i przebiegły, że nikt nie jest w stanie go czymkolwiek zaskoczyć, nie da się nikomu wypowiedzieć do końca, potrafi przerwać w pół słowa i z szyderczym uśmiechem wytłumaczyć się. O nasz punkt chałupniczy w ogóle nie dba. Liczy się tylko plan. Pod koniec 1988 roku zakład zwarty dostał podwyżki, u nas było tylko mówione, że podniosą nam stawkę na biustonoszu o 10 zł — (z 50 zł na 60 zł) — do dziś tej podwyżki nie mamy. Nie wiemy też, co nas czeka w tym roku, czy zwiększy nam się norma czy wzrośnie stawka płacowa?

Mamy wspólnego kierownika chałupnictwa i zakładu zwartego, ale cóż z tego, gdy nasze kierownictwo dba o swoją reputację i nie chce się narażać zarządowi w Głownie. Nie wiemy nic, co się dzieje w Spółdzielni, jesteśmy tylko od wykonania planu.

Owszem są i takie osoby, które szyją po 700 szt. i więcej, ale mają one pomoc i nie szyją tego same. Wiadomo: nikt się do tego nie przyzna. Mamy ręce związane i prosimy pomóżcie nam, nie ma u nas żadnego innego zakładu, w którym byśmy mogły podjąć pracę, mamy małe dzieci i męczymy się strasznie, nie widzimy żadnej perspektywy. Do najbliższych zakładów o podobnym profilu mamy około 25 km.

A.B. i C.D.

CO DALEJ Z „POLONITEM"?

21 lutego 1989 roku na zaproszenie Terenowej Organizacji Partyjnej nr 11 na Dąbrowie. Głównym tematem spotkania była sprawa lokalizacji Zakładów Uszczelnień i Wyrobów Azbestowych „POLONIT". Okazuje się, że mimo upływu kilku lat, wzbudza ona wiele kontrowersji wśród mieszkańców Dąbrowy, którzy nigdy nie pogodzili się z decyzją radnych Górnej i Wojewódzkiej Rady Narodowej minionej kadencji, zezwalającą na obecność „POLONITU" na tym osiedlu. Przypomnijmy, że oficjalna decyzja zapadła w 1986 roku. Dziwnym więc wydaje się fakt, że do tej pory społecznicy z Dąbrowy — partyjni i bezpartyjni — nie otrzymali żadnej oficjalnej odpowiedzi na liczne protesty, od wysłania których minęły już trzy lata. O wszystkich decyzjach dowiedzieli się z łódzkiej prasy. Mamy nadzieję, że w końcu taką odpowiedź otrzymają.

EWA SZARKOWSKA

REDAKCJA —CZYTELNICY

MIECZYSŁAW KACZMAREK, RFN. Pana obszernego listu nie możemy wydrukować z dwu powodów. Po pierwsze — ponieważ list Pana, zgodnie z „Prawem Prasowym", nie kwalifikuje się do druku z powodów: narusza bowiem tajemnice innych ludzi i nosi znamiona zniesławienia, ponieważ „odpowiedź jest wystosowana przez osobę, której nie dotyczą fakty przytoczone w prostowanym materiale". I po drugie — „sprostowanie lub odpowiedź nie dotyczy treści zawartych w materiale prasowym". Andrzej Gębarowski pisał bowiem o nieuzasadnionym — jego zdaniem — stosunku prokuratury do Piotra S. Pan natomiast ujawnia szczegóły intymnego życia małżonków S. Być może sąd w toku rozprawy rozwodowej zainteresuje się Pana spostrzeżeniami. Nam nie wolno tego ujawniać, już choćby tylko dlatego, że rozprawy rozwodowe odbywają się przy zamkniętych drzwiach i powinny być jedynie sprawą zainteresowanych stron.

RAJMUND ROMAN NOWAKOWSKI, Łódź. Niektórymi sprawami poruszonymi w liście zainteresowaliśmy prezydenta m. Łodzi — Jarosława Pietrzyka. Do innych ustosunkujemy się w różnych publikacjach.

WIKTOR OZDOBA, Bobrowniki (Będzińskie). Apeluje pan, aby pośmiertnie nie wyrządzać krzywdy marszałkowi Edwardowi Rydzowi-Śmigłemu. Nikt nie ma takiego zamiaru. W „Odgłosach" sporo miejsca poświęciliśmy osobie marszałka Edwarda Rydza-Śmigłego. Przez wiele lat trwało wokół niego milczenie. Jeśli mówiło się o nim — to tylko źle. Dziś mówi się różnie. Dla pełnej oceny tej historycznej przecież postaci potrzeba właśnie różnych opinii, poglądów, potrzeba sporów. I takie spory się toczą. To chyba dobrze, że nie wszyscy jednakowo oceniają Edwarda Rydza-Śmigłego? Dziękujemy za list.

STEFAN URBANIAK, Łódź. Opisana przez pana wędrówka po Łodzi w poszukiwaniu piwa i miejsca do pogawędki 31 grudnia 1988 roku nie jest czymś wyjątkowym. W wyniku licznych rozczarowań, jakich pan doznał tego dnia, doszedł pan do wniosku, że **„w naszym kraju nie ma warunków na kulturalne wypicie alkoholu, natomiast można pić wódkę czy piwo z gwinta na ulicy w obecności przechodniów, w tym i nieletnich"**. Zgadzamy się z panem i wspólnie ubolewamy. Ale ludzie, od których zależy organizacja gastronomii jakoś nie potrafią się uporać z tym, tak przecież prostym problemem. Popatrzmy, jak to robią inni. Czy my tak nie potrafimy?

EUGENIUSZ KOŁACKI, Łódź. List otrzymaliśmy, dziękujemy. Przeczytaliśmy go w redakcji uważnie. Nie ze wszystkim się zgadzamy. U nas nie płaci się od wiersza. To raz. A po drugie — stale staramy się wprowadzać na łamy nowe nazwiska i otwierać je dla młodych, zdolnych — jak pan pisze — dziennikarzy. Natomiast co do przeszłości Łodzi, to staramy się pokazywać ją taką, jaką w istocie była. A więc z różnych punktów widzenia i o różnych warstwach i narodowościach ją w przeszłości zamieszkujących. „Staramy się" — to nie znaczy, że jesteśmy już zadowoleni z tego, co i jak robimy. Za krytyczne uwagi dziękujemy.

REDAKTOR DYŻURNY

Inter Commerce

Sp. z o.o.
ul. Młodnicka 52
04-239 Warszawa
telex 815 686 helio pl

SZANOWNI PAŃSTWO
użytkownicy sprzętu audio-wideo
firmy
GoldStar

Spółka z o.o.
✱ „INTER COMMERCE" ✱
uruchamia na terenie kraju sieć placówek serwisowych
sprzętu RTV firmy

✱ GOLD STAR ✱

Punkty serwisowe w dużych miastach wojewódzkich będą świadczyć usługi pogwarancyjne odpłatnie za złotówki. W związku z tym prosimy o przysłanie listem na nasz adres następujących informacji:

▲ rodzaj i typ sprzętu użytkowanego.
▲ rok produkcji.

Dane te są nam potrzebne do skompletowania i zamówienia odpowiednich ilości i asortymentu części zamiennych.

Adresy placówek serwisowych podane zostaną w odrębnych ogłoszeniach.

Jednocześnie zapraszamy do współpracy rzemieślnicze punkty serwisowe, zajmujące się naprawą i strojeniem zachodniego sprzętu RTV.

Oferty listowne z podaniem lokalizacji, powierzchni użytkowej lokalu, wyposażenia technicznego, adresu i numeru telefonu prosimy kierować pod adresem firmy:

„Inter Commerce" 04-239 Warszawa ul. Młodnicka 52, telex 815686.

Zapewniamy części zamienne i korzystne warunki współpracy.

794/K

ŁÓDZKIE TOWARZYSTWO GOSPODARCZE

o g ł a s z a

ZAPISY NA:

— intensywne dwumiesięczne szkolenie „Jak założyć i prowadzić własny biznes".

Bliższe informacje pod telefonem: 33-08-42.

1817/k

Markus

SPÓŁKA (j.g.u.)

P O S Z U K U J E

pomieszczenia produkcyjnego o powierzchni ok. 50 m kw.

Oferty prosimy kierować pod adresem: Łódź 1, skr. poczt. 369 lub telef. 43-39-94, 42-61-65.

1796/k

Uspołecznione Zakłady Usług Marketingowych
„M A R K U S" SA
w Łodzi, ul. Kraszewskiego 22

Z A T R U D N I A

zaopatrzeniowców branży włókienniczej, budowlanej oraz specjalistów ds. wyposażenia hoteli, moteli, zajazdów itp.

Zatrudnienie w systemie agencyjnym lub umowa o pracę. Wynagrodzenie prowizyjne.

Oferty prosimy kierować pod adresem: **Łódź 1, skr. poczt. 369 lub** telef. 74-50-05,

1797/k

Instytut Innowacyjno-Wdrożeniowy
INCOM

Sp. z o.o.(jgu)
90—047 ŁÓDŹ, PLAC ZWYCIĘSTWA 13
tel. 74-24-28, 74-30-38
telex 885536

O F E R U J E

USŁUGI W ZAKRESIE:

✱ wynalazczości, patentów, wzorów użytkowych, wzorów zdobniczych, znaków towarowych,

✱ wdrożeń projektów wynalazczych i wyników prac badawczych,

✱ obliczanie efektów ekonomicznych projektów wynalazczych wyników prac badawczych,

✱ poradnictwa w ww. dziedzinach.

1049/k

---

uwaga fotoamatorzy!

U NAS JUŻ REFORMA

NAJTAŃSZE ODBITKI BARWNE W POLSCE NA PAPIERZE AGFA

Z filmów wywołanych u nas, przy zamówieniu po 1 sztuce z dobrych:
— małoobrazkowych, format 7 x 10 — idealny format do albumu — cena — 180 zł
— małoobrazkowych i pocket format 9 x 13 — cena 250 zł
— małoobrazkowych i zwojowych format 13 x 18 — cenea 450 zł.

TYLKO DLA BOGATYCH

Odbitki na papierze KODAKA — bardzo drogie — bardzo dobre.
Odbitki ze slajdów wykonywane techniką specjalną na papierze odwracalnym.

STUDIO FOTOGRAFICZNE AFP ZAPRASZA!

adres: 03—318 Warszawa — Bródno
ul. Ogińskiego 5a, tel. 11-50-95

00—545 Warszawa — Śródmieście
ul. Marszałkowska 72, tel. 28-32-29

PRACE MOŻNA RÓWNIEŻ NADSYŁAĆ POCZTĄ.

KUPIMY małe pawilony lub lokale sklepowe, własnościowe nadające się na punkty przyjęć w centrum miast wojewódzkich.

685/k

OŚRODEK KSZTAŁCENIA ZAWODOWEGO nr 2
Zakładu Doskonalenia Zawodowego w Łodzi

ORGANIZUJE:

kursy kwalifikacyjne przygotowujące do egzaminu na tytuł czeladnika lub mistrza w zawodzie:

✱ krawiectwo damskie lekkie
✱ krawiectwo ciężkie
✱ dziewiarstwo maszynowe
✱ kuśnierstwo

kursy przyuczające do zawodu:

✱ haft ręczny
✱ dziewiarstwo ręczne
✱ krój i szycie spodni

kursy kroju i szycia dla potrzeb własnych.

Udzielamy szczegółowych informacji i przyjmujemy zapisy w godzinach od 10 do 16.

✱ ul. Piotrkowska 24, tel. 32-38-26
✱ ul. Próchnika 42, tel. 33-16-09
✱ ul. Lokatorska 12, tel. 84-07-30

Z A P R A S Z A M Y

873/k

Z różnych szuflad

Narodziny złotówki Grabskiego

Ludzie mieli już serdecznie dosyć spadającej na łeb na szyję marki polskiej i szaleńczej galopady inflacyjnej. 11 stycznia 1924 r. Sejm uchwalił ustawę o „naprawie skarbu państwa i reformie walutowej" i udzielił premierowi i ministrowi skarbu Władysławowi Grabskiemu pełnomocnictw w zakresie doprowadzenia do równowagi budżetu państwa.

28 kwietnia 1924 r. nastąpiło uroczyste otwarcie Banku Polskiego poprzedzone mszą w katedrze warszawskiej, celebrowaną przez kardynała Aleksandra Kakowskiego. Uczestniczyli w niej: marszałek sejmu Maciej Rataj, premier Grabski, przedstawiciele sejmu i senatu, kapituła warszawska z biskupem Gallem na czele, władze miasta i społeczeństwo Warszawy. Dalsza część uroczystości inauguracyjnych odbyła się już w siedzibie Banku przy ul. Bielańskiej. Grabski w swoim przemówieniu oświadczył: „Przystępujemy do aktu, który ma być małym związkiem pomiędzy państwem i społeczeństwem z jednej strony, a nową walutą polską, złotym polskim z drugiej. Dla związku tego cały naród przygotował trwałe fundamenty — uposażenie waluty skarbu narodowego. I przyszła chwila, że ten skarb, łącznie z działaniami rządu, dał dostateczną podstawę, ażebyśmy przyszli do przekonania, że nareszcie ten związek państwa i społeczeństwa z walutą powinien nastąpić."

Niepowodzenie dawnej waluty — marki polskiej — upatrywał Grabski nawet nie w tym, że została ona narzucona społeczeństwu przez władze okupacyjne, ale z braku szacunku dla niej. Chcieliśmy, żeby ona za nas robiła wysiłek wtedy, kiedy nam przychodziło na myśl tworzyć źródła bogactw bez przyczynienia się nas samych — w sposób sztuczny, pozorny. Wymagaliśmy od niej więcej, niż to, co każda godziwa waluta jest w stanie dać społeczeństwu i dlatego musiała nas zawodzić."

Dlatego też, zdaniem mówcy, „nowa waluta, ażeby spełniła swoje zadanie, musi być przez nas nie tylko mocno ufundowana, lecz musi być i szanowana. Nie wolno nam od niej wymagać tego, czego waluta nie może dać społeczeństwu: nie wolno wymagać od niej bogactw, bo bogactwo daje tylko praca ludzka. Nie ona nas będzie wyręczała, jeśli za mało pracować będziemy. Ona nie stworzy bogactw. O ile byśmy chcieli jej nadużyć w tym względzie, natychmiast, jak poprzednio, obróci się na zło społeczeństwu, zacznie się chwiać i przestanie oddziaływać dobroczynnie."

Do ufundowania nowej silnej waluty doprowadziła zdecydowana wola ustalenia polskiego systemu pieniężnego opartego na parytecie złota. Grabski zaapelował do społeczeństwa słowami, którym i dziś nie można odmówić słuszności: „Musimy się zdobyć na całą siłę moralną, jaką dojrzałość daje, a wtenczas musimy być przekonani, że ona spełni swoje zadanie, które na niej leży, ażebyśmy mogli z całym spokojem oprzeć nasz byt na pracy i w tej pracy widzieć sprawiedliwą miarę dla każdego i we wzmożeniu, spotęgowaniu pracy naszego społeczeństwa widzieć główne źródło potęgi tego społeczeństwa, jak również siły samego państwa".

Były marszałek sejmu Wojciech Trąmpczyński kilka lat wcześniej zwracał uwagę również na społeczny stosunek do pracy: „Jeśli nie nauczymy się pracować u siebie więcej, lepiej i taniej od innych narodów, jeśli nie potrafimy wytrzymać konkurencji z innymi krajami — to Polska zapłaci swój konieczny import najsmutniejszym eksportem — eksportem robotnika."

Po wygłoszeniu przemówienia premier odsłonił marmurową tablicę z napisem: „Państwo Polskie, powołując do życia w roku 1924 Bank Polski jako ostoję ładu pieniężnego w kraju i jako wyraz dotychczasowej łączności z przedwiekową instytucją tej nazwy, wyraża wdzięczność tym licznym obywatelom, którzy nie szczędzili ofiar na Skarb Narodowy."

Do dawnej tradycji Banku Polskiego nawiązał prezes Banku Stanisław Karpiński, przypominając słowa twórcy Banku sprzed lat — Ludwika Jelskiego, wypowiedziane 6 maja 1828 r. podczas otwarcia Banku: „Szczęśliwy, kto jak my powołanym zostaję do rozwijania instytucji, niosącej w sobie zaród pomyślności krajowej, w której każda część nie tylko dobro ogółu, lecz zarazem bezpośrednią korzyść lub pomoc wchodzącym z nią w stosunki rokuje". W krótkim rysie historycznym rozwoju Banku Polskiego przedstawił mówca charakter rusyfikacyjnej polityki caratu wobec krajowych instytucji bankowych, wprowadzenie do Królestwa Polskiego rosyjskiego systemu monetarnego (1842), dostosowanie działalności Banku Polskiego do działalności prowincjonalnych banków rosyjskich (1849) wreszcie przemianowanie tej samodzielnej, mimo szykan samodzierżawia, instytucji w warszawski kantor rosyjskiego banku państwa (1886).

Ofiarność społeczeństwa na rzecz Skarbu Państwa, potwierdzona przez dyrektora Banku Mieszkowskiego, doprowadziła do pojawienia się nowego pieniądza, opartego na zdrowym fundamencie równowagi ekonomicznej i zaufania społecznego „Gdy umocni się zaufanie do pieniądza naszego, łatwiej będzie ściągnąć na nasz rynek pieniądz z tych rynków, które mają go w nadmiarze, tj. z zagranicy. Wiemy dobrze, że abstynencja kapitału obcego w naszym życiu gospodarczym nie tylko od dobroci waluty naszej zależy i że grają poważną rolę czynniki polityczne, jednak zdaje się, że jednym z najważniejszych momentów będzie wzbudzenie w kapitale obcym przekonania, że Polska wchodzi na obcy grunt odbudowy ekonomicznej i że umieszczenie pieniądza w walutach polskich nie grozi stratą z powodu obawy dewaluacji tego pieniądza."

Bezzwłocznie po zakończeniu uroczystości inauguracyjnych pracownicy przystąpili do pełnienia swych obowiązków służbowych. Główny kasjer dr Taborski, w asyście przedstawicieli prasy, otworzył skarbiec, skąd przeniesiono pakiety z pachnącymi jeszcze farbą drukarską banknotami do kasy bankowej. Pierwszą klientką, wymieniającą dotychczasowe marki polskie na złotówki była małżonka prezesa Banku senatorowa Karpińska. Wymiany dokonywano według relacji: jeden grosz odpowiadał 18 000 marek, jeden złoty — jednemu milionowi ośmiuset tysiącom marek.

Od 1 czerwca 1924 r. rozpoczęła się wymiana marek na banknoty złotowe i bilon, od 1 lipca tegoż roku marka przestawała być obowiązującym środkiem płatniczym, choć jeszcze do 30 kwietnia 1925 r zachowała swoją ważność dla celów wymiennych w kasach bankowych. Dopiero z dniem 1 czerwca 1925 r. ustawał obowiązek wymiany marek na bilety Banku Polskiego i kto go nie dopełnił, stawiał się w sytuacji chłopa z ostatniej roli Jana Świderskiego.

Od 1 maja 1924 r. Generalna Dyrekcja Poczt i Telegrafów wprowadziła do obiegu znaczki pocztowe o nominałach ustalonych w nowej walucie z poleceniem natychmiastowego wycofania dotychczasowych znaczków opłaty pocztowej.

3 maja 1924 r prezydent Rzeczypospolitej Stanisław Wojciechowski udekorował Grabskiego wielką wstęgą Orła Białego za dokonanie olbrzymiego dzieła podniesienia kraju pod względem ekonomicznym i finansowym. Wśród licznych gratulacji otrzymanych przez Grabskiego znalazł się też telegram premiera Królestwa Włoch Benito Mussoliniego. Sukces Grabskiego nie umocnił na tyle złotówki, by oddalić od niej groźbę dewaluacji podczas kryzysu lat trzydziestych, pozostał jednak dowodem siły, jaką niesie pojednanie narodowe.

ANDRZEJ KEMPA

1 Nagle zastępstwo

Tematy zastępcze

Okrągły stół sobie obraduje, wszyscy w napięciu obserwujemy, czekamy z nadzieją i dyskutujemy przy własnych domowych, okrągłych lub prostokątnych. Ale nie wszyscy o tym samym. Sporo ludzi dyskutuje o rzeczach, które jakiś związek mają z pluralizmem i głasnostią, ale daleki i — rzekłbym — peryferyjny.

Cztery takie tematy peryferyjne dominują, niestety, nie tylko w domach czy kawiarniach, ale i w prasie. Pierwszy, to ustanowienie urzędu prezydenta. Drugi to koronowanie Orła, naszego godła narodowego. Trzeci, to czapki rogatywki dla naszego wojska. Czwarty wreszcie, to nadanie różnym instytucjom imion działaczy niepodległościowych z okresu pierwszej światowej. Prym wiedzie — rzecz jasna — Marszałek, Komendant, Dziadek, Ziuk czy jak tam go jeszcze nazywano (mój ojciec mawia: „ponury Józek"...)

No to po kolei. Nie jestem politologiem, nie znam się na niuansach systemu prezydenckiego. Z grubsza wiem, jakie są kompetencje prezydenta USA, ale zdaje się, że nie o to nam chodzi. Jeśli dobrze rozumiem koncepcję Stronnictwa Demokratycznego, to prezydent ma być przewodniczącym Rady Państwa. Chodzi zatem tylko o zmianę szyldu w Belwederze? A ściślej to nawet nie zmianę, tylko zastąpienie polskiego słowa „przewodniczący" obco, a zatem „godniej" brzmiącym zagranicznym synonimem? Bo jeśli o co innego chodzi, to chciałbym się dowiedzieć...

Koronowanie Orła i rogatywka, to rzeczy, do których wielu rodaków ma stosunek emocjonalny. Przyznaję, że sam mam taki stosunek, nawet nie tylko emocjonalny, ale wręcz sentymentalny. Jestem za! Jestem za tradycyjnym Orłem w koronie, jestem za rogatywką, nie tylko sercu polskiemu bliską, ale i elegantszą od tej okrągłej.

Jestem za, ale... Ale jeśli już zmieniać, to z pełną świadomością, co na co zamieniamy i jakie tradycje wiążemy z tą zamianą. Przypominam uprzejmie, zwłaszcza wszystkim wielbicielom Józefa Piłsudskiego — a myślę, że wielu spośród nich to zwolennicy Orła w koronie i rogatywki — przypominam zatem, że to właśnie w Legionach żołnierz nosił okrągłą czapkę z orzełkiem bez korony!

Z drugiej strony: zastanówmy się, czy Orzeł ma być tylko w koronie. Znane są wizerunki Orła nie tylko ukoronowanego, ale także dzierżącego w pazurach berło i jabłko, ba, tradycyjna ikonografia ukazuje go także w huzarskim półpancerzu! Również zamiast insygniów królewskich miewał w pazurach miecz. Pomyślmy więc, jaki ma być ten Orzeł, jeśli już koniecznie ma być inny, choć za tym aktualnym też już stoi czterdzieści parę lat tradycji.

Przejdźmy wreszcie do spraw zupełnie prozaicznych — do pieniędzy mianowicie. Ileż nas będzie kosztować operacja wydawania nowych dowodów i paszportów, przerabiania szyldów, sztandarów itp. itd? Myślę, że jest dobrze jak jest — oficjalnym godłem jest Orzeł bez korony a każdy, komu serce nakazuje uczcić koronowanego niechże go sobie zawiesi w domu, w kościele, w różnego rodzaju placówkach kulturalnych itp. itd. Wielu młodych ludzi nosi Orła koronowanego w klapie. No i dobrze, no i na zdrowie.

Z czapką rogatywką jest sprawa podobna. Niedawno dowiedzieliśmy się, ile mamy wojska. „Solidarność" przy okrągłym stole proponuje zmniejszenie wydatków obronnych. I w tej sytuacji mamy wydać miliony na nowe czapki dla tych setek tysięcy żołnierzyków? Nie tylko czapki zresztą, bo jeśli Orzeł w koronie to i... miliony guzików mundurowych!

Wreszcie sprawa ostatnia, bardzo delikatnej natury. Był taki okres, że w wielkiej euforii przemianowaliśmy tysiące ulic w Polsce, nazwaliśmy tysiące fabryk i instytucji na nowo. Mnożyły się jak grzyby po deszczu ulice i zakłady nie tylko imienia Juliana Marchlewskiego czy Feliksa Dzierżyńskiego, ale także Józefa Stalina, Bolesława Bieruta, Konstantego Rokossowskiego. Potem trzeba było cichcem, wstydliwie te szyldy zdejmować...

Ludzie, nie powtarzajmy tego błędu! Nie pakujmy teraz gdzie się da Józefa Pułsudskiego, Romana Dmowskiego i kogo tam jeszcze.

W dzisiejszych zakładach im. Feliksa Dzierżyńskiego w Łodzi pracował niegdyś Feliks Dzierżyński. W zakładach im. Józefa Strzelczyka pracował patron zakładu. Podobnie w zakładach Szymona Harnama. Ale czy kiedykolwiek Józef Pułsudski miał cokolwiek wspólnego z toruńską Elaną, której załoga zażyczyła sobie niedawno tego właśnie patrona? Wątpię...

A w ogóle, zajmijmy się czymś poważnym.

ANDRZEJ KAROL

2 Lewym okiem

Sztandary, sztandary

Kiedy wiosną 1945 roku Trzecia Rzesza dożywała nieodwołalnie swych ostatnich dni wszystkie jej drogi zaroiły się mniejszymi i większymi grupami, pędzonymi przez wściekłych esesmanów i strażników. To były grupy więźniów i jeńców z ewakuowanych obozów. Byłem wtedy jednym z takich jeńców.

W małej saksońskiej wiosce dogoniła nas wolność. To były trzy amerykańskie czołgi. Pierwszą naszą czynnością było zajęcie na tymczasową kwaterę dużej izby pośrodku wsi i wywieszenie nad tą izbą improwizowanej biało-czerwonej, małej flagi. Salutowaliśmy te flagi przykładając palce do brudnych, zmiętoszonych, byle jakich nakryć głowy i płakaliśmy. Za parę dni takimi flagami pokryła się cała Rzesza, wszędzie, gdziekolwiek znalazła się grupka Polaków łopotał nad nimi biało-czerwony symbol. Symbol wolności i godności narodowej.

Ten symbol ozdabia wszystkie gmachy w wolnej Polsce w czasie świąt i uroczystości narodowych. Ale oto wywiesza go się także na bramie fabryki, której część pracowników, czasem tylko niewielka część, domaga się dopłaty do wynagrodzenia, a czasem — usunięcia dyrektora lub likwidacji pracy w nadgodzinach. Strajk — głoszą wielkie litery na plakatach, a nad nimi łopoce biało-czerwona. Co ona tutaj ma znaczyć? Czy ma oznaczać, że to grupka niezadowolonych z warunków swego życia Polaków rusza do boju przeciwko nie-Polakom? Czy może ci strajkujący to są bardziej Polacy niż ci, którzy nie strajkują? Czy nie ma żadnej — prawem określonej — dolnej granicy dopuszczalności posługiwania się najwyższym symbolem niepodległego państwa?

Nie chcę tu mówić o zasadności czy bezzasadności strajkowania. Chcę tylko powiedzieć, że z niesmakiem patrzę na chorągiew firmującą bardzo płaskie interesy niewielkiej grupy ludzi. Przerażeniem też napełnia mnie myśl, gdzie jeszcze może się znaleźć nasza chorągiew, jeśli na przykład zastrajkują śmieciarze lub — horribile dictu — babki klozetowe...

I jeszcze jedna sprawa trochę mnie zaniepokoiła. Oto przedstawiciel Związków Zawodowych bardzo wysokiego szczebla w przemówieniu do bardzo licznego audytorium, woła w zapale krasomówczym: „Ja też jestem robociarz jak pan Wałęsa, ja też tak jak on nie mam wykształcenia". Tym hasłem mówca chce zjednać sobie słuchaczy. Cóż za tym się kryje? Przecież nie tylko to, że dobrze jest nie być gorszym od Lecha Wałęsy, także i to, że aby nie być gorszym, trzeba nie mieć wykształcenia. Można też domniemywać, że człowiek bez wykształcenia będzie lepiej przyjęty niż ten, który je posiada. Był już taki czas, kiedy patrzono ludziom na ręce. Jeśli były czyste i bez odcisków to znaczyło, że ma się do czynienia z wrogiem pracującego ludu. „Białorękij" to było prawie to samo, co burżuj, wyzyskiwacz, krwiopijca. Myślę, że niedobrze jest budzić niezdrowe emocje niezbyt przemyślanymi hasłami, które już od dawna powinny spoczywać w muzeum niechlubnej przeszłości.

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

3 Sport

Zagrożone marzenia

Na ogół małe dziewczynki chciałyby zostać znaną gwiazdą, śpiewaczką, tancerką. Nieco poważniejsze wybitną lekarką, znakomitym pedagogiem. Nikt jakoś nie marzy, aby być urzędniczką na poczcie. Ja miałam natomiast zupełnie nietypowe marzenia. Chciałam być... skoczkiem narciarskim i skakałabym w męskim przebraniu. A potem okazałoby się, że jestem dziewczyną i byłaby światowa sensacja. Na pierwszym roku studiów okazało się, że drzemie we mnie jakiś talent sprinterki, ale nikt nie chciał go na tyle obudzić, abym mogła zająć miejsce na podium. Talent więc zmarł śmiercią naturalną i wcale tego nie żałuję.

To wszystko było dawno i dzisiejszej młodzieży może wydać się dość dziwne. Ale przecież i ona ma swoje ideały. Chce być jak... Pamiętam taki czas, gdy na podwórkach pełno było Bońków, Smolarków, później się jakoś w ideałach przerzedziło. Kto dziś chciałby być Andrzejem Rudym? Ale przecież młodzi nadal uprawiają sport, nadal marzą. Gdzieś pod Mińskiem Mazowieckim żyje Andrzej J. On chciałby być słynnym ciężarowcem. Tyle tylko, że ręce i nogi miał za długie i nie bardzo nadawał się do podnoszenia ciężarów. Ale trener znalazł sposób na to, aby Andrzej J. mógł dźwigać ciężary i aby tych ciężarów przybywało. Opowiedziała o tym wszystkim w Polskim Radiu (Program IV) Renata Mielke-Lipińska. Przerażające w tej opowieści jest to, że aby mógł się spełnić sen Andrzeja J. o sukcesach sportowych, chłopak zaczął brać sterydy anaboliczne: metanabol, testosteron i omnadren. Przerażające jest to, że Andrzej J. ma 15 lat, a recepty na sterydy anaboliczne dawali mu dorośli ludzie.

Wiadomo, że to jest przestępstwo. Wiadomo, że powinien tym się zająć prokurator. Jest nawet w Kodeksie Karnym artykuł 160, którego paragraf 1 zagraża pozbawieniem wolności temu, kto „naraża człowieka na bezpośrednie niebezpieczeństwo utraty życia, ciężkiego uszkodzenia ciała lub ciężkiego rozstroju zdrowia". Paragraf 2 tego samego artykułu 160 grozi do 5 lat pozbawienia wolności temu, kto ma obowiązek opiekować się człowiekiem a naraża go na utratę zdrowia czy życia. Podstawa prawna jest. Tylko winnych nie ma. Przerażające.

Ale oto dowiedziałam się, że W Lahti zbadano krew polskiemu narciarzowi Andrzejowi Krygowskiemu i okazało się, że zawiera ona zaledwie 72 procent hemoglobiny. Narciarz ma anemię. Jest człowiekiem wycieńczonym, jak więc może dorównać silnym, zdrowym ludziom. Więc jak to właściwie jest? W Polsce lekarze go nie badali?

Mało tego. Małgorzata Ruchała i Katarzyna Popieluch twierdzą ponoć, że w ich żyłach płynie jeszcze mniej hemoglobiny. W książeczkach zdrowia tymczasem mają dobre wyniki, według nich są zdrowe. Ich zatem też nikt w Polsce nie badał. Wpisano do książeczki, co było trzeba, nie troszcząc się o zdrowie powierzonych sobie ludzi. To też chyba jest narażanie czyjegoś zdrowia i życia.

Mamy szpitale centra, mamy szpitale pomniki, mamy kliniki, instytuty, akademie medyczne, sanatoria, zozy i osiągnięcia medyczne, o których opowiada się w telewizorach. I jednocześnie w sporcie wyczynowym panuje taki prymityw, że ludzi chorych wysyła się na zawody jako ludzi zdrowych. Z najnowszych dziejów polskiego piłkarstwa mogłabym wymienić kilka nazwisk zawodników, którzy znakomicie się zapowiadali, ale stracili na boisku zdrowie i właściwie nigdy już go nie odzyskali. Za zgodą i pod opieką lekarzy. W imię sportowego wyniku. W imię wyższych celów. A cóż jest więcej warte niż zdrowie i życie człowieka?

Sport to znakomity interes. Sportowi biznesmeni robią sportowe interesy i sportowcy coś z tego mają. Sportowiec jedzie na zagraniczne zawody i hołuje przy okazji kilku biznesmenów. A gdy u Jarosława Morawieckiego wykryją doping, to rzuca się cień niesławy na Bogu ducha winną Polonię kanadyjską, której do dziś nikt nie przeprosił. Jarosław Morawiecki milczy i... czeka na koniec dyskwalifikacji. Trenuje, aby we właściwym momencie wyjść na lód. No dobrze, a kto ponosi winę za kanadyjski incydent? Przecież samo to się nie stało. W tajnego agenta, który zaczaił się na Jarosława Morawieckiego i podstępnie ukłuł go igłą strzykawki pełnej dopingu nikt nie wierzy. Kto się więc za tym kryje?

Młodzi ludzie marzą o sportowej karierze. To naturalne. To piękne. Godne podziwu. Być kimś, rozsławiać po świecie imię Polski i własne — to wspaniałe. Ale do tego potrzeba pracy, uporu, wytrwałości, siły woli i normalnej siły. O ileż prościej wziąć pastylki lub zrobić sobie czy koledze zastrzyk... Są bowiem w sporcie ludzie, którzy usłużnie podsuną nastolatkowi receptę ze sterydami anabolicznymi. I tym ludziom powierza się zdrowie i przyszłość dzieci. I tych ludzi próbuje się nazywać wychowawcami.

Moje dziecinne marzenia sprzed lat mogą wydawać się dziś śmieszne. I bardzo dobrze. W obliczu tego co się dziś w sporcie wyprawia, bałabym się dzieci moich przyjaciół zachęcać do sportowego wyczynu.

BOGDA MADEJ

ANDRZEJ BRYCHT

Azyl polityczny

Część II

Wyznania Evy Mannix (6)

Ale czy de Marchwiński dokonał przestępstwa? — zapytał Jan Duch. — Jeżeli jego interesy nie są aż tak bardzo imponujące, to chyba nie miał zbyt dobrego startu.

— Też tak myślę. Mogło to się zacząć od tego, że był mechanikiem samolotowym przy armii, potem siedział na jakimś lotnisku w Ameryce Południowej skąd startowały samoloty do opryskiwania plantacji środkami owadobójczymi. Możliwe nawet, że sam latał. Potem kupił stary samolot i stał się niezależnym „brokerem", wynajmującym się na sezon. I tak się potoczyło. Może jeszcze po drodze nabił w butelkę jakiegoś wspólnika, albo i jego nabito. Jeżeli coś jest nieuczciwe w jego całym przedsięwzięciu, to właśnie sposób, w jaki on o tym mówi. Nigdy bym nie skorzystał z usług firmy „De Marchwiński Aircraft" z siedzibą w Rockefeller Center. To śmierdzi farmazonem na sto mil. Nie mówmy już o tym. Opowiedz mi o Mannixie.

— Mannix to zbrodnia — powiedział Duch. — I ciężko mi o tym mówić.

— Wal — powiedziałem. — Moi czytelnicy domagają się mocnych wrażeń.

Opowiedział mi wszystko dokładnie. Zaczęło się od tego, że nieopatrzenie zgodził się wyjechać do Meksyku z Evą Mannix. Od tego momentu nabrała do niego zaufania. Spędzała z nim wiele godzin, aż za wiele. Mannix zaczął się domyślać. Pewnego dnia Duch spostrzegł mały samochód firmy Ford Pinto (proszę zauważyć, że używam ostatnio określenia: „samochód firmy", a to dlatego, że gdybym nie użył, musiałbym napisać ford pinto, z małych liter, tak samo musiałbym pisać: mercedes, jaguar, chevrolet, polonez, a jest to dla mnie forma nie do przyjęcia, jest to dla mnie masakra dokonana na logice języka, protestuje przeciw temu idiotycznemu „przepisowi" jakichś mądrali spod ciemnej gwiazdy, zresztą nie ma przecież „firmy Ford Pinto", jest firmą Ford, a Pinto to model samochodu, toż jest to ostatnia książka, w której poddaję się kretyńskiej agresji „językoznawców", w następnych utworach wymuszę na wydawcy zgodę na moją pisownię... dlaczego w następnych? Jak reforma, to od zaraz! Oświadczam więc, że używam od tej chwili pisowni, którą uważam za właściwą, i robię to na moją odpowiedzialność nie zmuszając nikogo do naśladowania. Zważywszy, że niniejsza książka może wrzucić do kasy wydawcy kilkadziesiąt milionów złotych jestem pewien, że spór o pisanie nazw samochodów z dużych liter już wygrałem). Otóż zauważył Jan Duch małego Forda Pinto, sunącego za nimi krok w krok, zatrzymującego się o kilka metrów w tyle, ruszającego kiedy Duch i Eva ruszali po wyjściu z kawiarni, czy z hotelu — samochód był łatwy do uchwycenia, ponieważ miał kolor... żółty.

— Cóż za idiota! — powiedział Duch. — Czy on nie wie, jak bardzo się rzuca w oczy?

— Może mu właśnie na tym zależy — powiedziała Eva. — Może Romek chce mnie przestraszyć, żebym się opanowała. Albo posłał za mną też i drugiego detektywa i jak się urwiemy pierwszemu, to będziemy się czuli bezpieczni, a wtedy ten drugi będzie się snuł za nami i robił zdjęcia.

Duch przyjął tę możliwość. Usiadł za kierownicą Firebirda i pokazał klasę. Zgubił nie tylko żółtego Pinto, ale w ogóle wszystkie samochody które poruszały się w tym czasie po ulicach Toronto. Wyjechał na highway, a potem na „collector's lanes", z nich odbił na północ i w pewnej chwili znaleźli się na wąskiej, obsadzonej drzewami drodze, zupełnie wolnej od samochodów. To się rzadko zdarza w okolicach Toronto, a jednak. Jeszcze kilka zmian kierunku i wylądowali w okolicach Brampton, które dziś jest jednym z najdroższych miasteczek prowincji Ontario, siedziba milionerów prawie jak Markham — ale wtedy było to bardzo skromne miejsce, wygwizdów. Zobaczyli serię moteli, bo te zwykle występują seriami po obu stronach dróg, przed każdym oczywiście migał neon ze słowem „Vacancy", było przed sezonem. Zaparkowali na tyłach skromnego baraku i Duch poszedł zapłacić, a Eva czekała w samochodzie, potem przemknęła do pokoju ze strachem, choć można było mieć pewność, że nikt ich nie śledzi. Tutaj właśnie, podekscytowana i nieco przygnębiona niebezpieczeństwem, ponieważ trwało już zbyt długo, otworzyła się przed Duchem — nastąpiło to oczywiście po seansie, w czasie którego Duch przeszedł swoje możliwości o kilkaset procent. A wiedział, w jakim celu to robi, za wszelką cenę chciał dowiedzieć się prawdy o Mannixie.

Jeszcze nie ostygła, jeszcze cienka strużka potu spływała spod jej lewej piersi, kiedy już zaczęła mówić. Duch wiedział natychmiast, że jest pierwszym człowiekiem, przed którym Eva się otwiera. Było to wyznanie miłosne najwyższej rangi — oddawała mu przecież w ręce własnego męża. Nie, żeby mógł pójść na policję i powtórzyć to wszystko, nic by mu to nie dało, nic by z tego nie wynikło, przestępstwo dokonane dwadzieścia pięć lat temu w bardzo dalekim kraju mogłoby obchodzić najwyżej policję tegoż kraju, a kto wie, czy nie uległo już przedawnieniu — Duch nie znał się na przepisach prawnych. Jednakże mogło się zdarzyć, że Duch zetknie się z członkami rodziny zamordowanego, zresztą skąd Eva mogła mieć gwarancję, że właśnie Duch nie jest, przez niebywały zbieg okoliczności, właśnie synem człowieka, który skończył życie w zimnych falach Bałtyku?

Frank Gelasco i Ron Mannix nazywali się dawniej: Franciszek Żelazko i Roman Mańkowski. Poznali się przy zapisach na kurs przygotowawczy, po którym chcieli studiować na politechnice. Mieszkali wspólnie w jednym z internatów na terenie dzisiejszego Trójmiasta. Eva nie pamięta, czy zamierzali wstąpić na Politechnikę Gdańską, czy ta Politechnika już działała, czy też chcieli umieścić się w innym mieście, nie pamięta prawie niczego, oprócz tego, że poznała ich na dworcu kolejowym, że była głodna i miała siedemnaście lat. Nie chciała powiedzieć Duchowi, jakie nosiła nazwisko, trochę jakby się wstydziła, że takie nieatrakcyjne, po prostu Półchłopek. Pochodziła ze wsi, gdzieś z wschodnich terenów, zgubiła się z rodzicami w czasie przenosin na Ziemie Odzyskane, a może po prostu uciekła żeby posmakować ciekawszego życia. Franek Żelazko nie był facetem uczuciowym, więc po kilku dniach poradził Romkowi, żeby Ewkę wyrzucić, nie bez przyczyny, ponieważ zaraziła ich mendami. Ale cóż mendy? Stworzenia boże. Każdy może złapać. Natomiast dupa była pierwszej klasy. Robiła wszystko, co chcieli, udostępniała „triple openings", jak się w Stanach reklamuje nadmuchiwane laliki czyli „trzy otwory". Żadnych restrykcji, absolutna wygoda. Rozłożyli więc dziewczynę, podstawili miskę z ciepłą wodą i ogolili jej krocze z absolutną precyzją. Potem zmyli szarym mydłem, natarli wódką, potem ona kolejno ich pogoliła, umyła i natarła. W trakcie tych czynności ulegli silnemu podnieceniu, więc operacja trwała do późnych godzin nocnych, narażając biedne mendy na długotrwałe cierpienia.

Od tej pory Ewa Półchłopek stała się oficjalnie dziewczyną Romka Mańkowskiego. Franek zrzekł się do niej praw. Nie musiał już o nią dbać, natomiast kiedy chciał sobie ulżyć, to musiał płacić przyjacielowi. Prawo własności już wtedy silnie zakorzeniało się w obu partnerach, przygotowując psychiczny grunt do życia w kapitalizmie.

Obaj kumple byli nałogowymi pokerzystami. W ich pokoju co wieczór zbierały się gromady hazardzistów, którzy stawiali na szalę stypendia, zapomogi, i nawet ubrania, otrzymane od ludowego państwa. Była to niezbyt wielka grupa ale twardniejąca z każdym dniem w przekonaniu, że nauka nie da efektów tak szybkich i znakomitych jak gra w karty, wspomagana innymi sposobami zdobywania środków.

Kilku wygrywało, reszta musiała przegrywać. Romek Mańkowski miewał mieszane szczęście. Bywało, że przegrał całą forsę, a nie chciał stawiać koszuli czy butów — wówczas grał o Ewę. Ta zwykle mocno podpita spała w alkowie za zasłonką na drucie. Wygrany budził ją i odbierał swoje. Czasami zdarzało się to po kilka razy w ciągu nocy. Niekiedy dobry gracz wygrał więcej niż mógł wykorzystać doraźnie. Wtedy dostawał abonament od Romka na określoną ilość razy i egzekwował swoje prawa w ciągu następnych dni czy tygodni. Kiedyś Romek przegrał Ewę z kretesem, na zawsze. Tryumfator zabrał ją z sobą i nie było jej miesiąc. Romek Mańkowski myślał, że już nigdy jej nie zobaczy, ale wróciła, kiedy tamten poszedł siedzieć.

I znów było jak dawniej. Tylko raz jeszcze zdarzyło się, że przegrał Ewę całkowicie. Ale wtedy stanął do walki Franek Żelazko i odegrał ją dla przyjaciela. Po jakimś czasie dostał za to kurtkę z demobilu, zwaną „battle-dress" z napisem „Poland" na ramieniu. Był to wtedy szczyt mody, duża cena i Romek nieraz wypominał Ewie, jaka to strata dla niej poniósł.

Pewnego dnia dostali wiadomość, że na bocznicy kolejowej stoi cysterna ze spirytusem metylowym. Będą pieniądze na grę! Poszli tam, przygotowani, z blaszankami do mleka, z wózkami, żeby przewozić, narodowi dostarczać. Ewa nie wie, ile setek litrów ukradli. Wie tylko najważniejsze: kilku ludzi umarło, kilku oślepło, wielu było ciężko chorych. Zacisnęło się wokół nich śledztwo, musieli odejść w ukryciu. Ale nie mieli szansy na przetrwanie burzy, znano ich nazwiska, rysopisy. Prędzej czy później musieli wpaść i pójść na wiele lat do więzienia.

Wsiedli w tramwaj, ponieważ na pomoście stał milicjant z bronią w kaburze. Tramwaj był prawie pusty. Na krańcówce milicjant wysiadł, poszli za nim. Ulica była ciemna, Mańkowski uderzył milicjanta cegłą w głowę. Nie zabili. Zabrali broń, tylko o to im chodziło.

Przenieśli się szybko w inną część wybrzeża, sterroryzowali rybaka i kutrem dotarli do Szwecji. Po drodze rybak przepadł. Ewa nie wie, jak to się stało. Spała w kajucie na dole, pijana. Spili ją, jak tylko wyprawa się zaczęła. Tak bezpieczniej. Romek tylko rano namówił ją, żeby w ogóle zapomniała o rybaku. Nikogo nie było na kutrze, kiedy go opanowali. Sami przypłynęli.

W pierwszych miesiącach, kiedy tułali się po Skandynawii Romek często płakał. Z tego domyślili się, że to on wrzucił rybaka do morza. Ale możliwe też, że zrobili to wspólnie z Frankiem. Zresztą, nawet gdyby zrobił to Franek sam, a Romek tylko się przyglądał, to i tak jego miękkie sumienie męczyłoby go jak diabli.

Rozstali się po kilku tygodniach, już z azylami w kieszeniach. Przez pierwsze trzy lata w Kanadzie Ewa nie słyszała o Franku, jakby się pod ziemię zapadł, albo umarł. A on tymczasem działał, i to jak...

Przedsiębiorczość tych młodych facetów była godna podziwu. Zanim napadli na kuter, żeby opuścić Polskę, już myśleli o tym, jak i z czego będą żyć na Zachodzie. Wiadomo, że start od zera jest wszędzie trudny. Mieli broń, na niczym im nie zależało. Napadli na muzeum i na kilka plebanii, uprzednio upatrzonych. Bo trzeba powiedzieć, że w karty to oni grali od wieczora do wczesnego rana, ale potem, po kilku godzinach snu, przemieszczali się po okolicy, nawiązywali kontakty, obmyślali „skoki". Tchórzostwo nie pozwalało im pójść na całego, ale kiedy już wpadli na metylu, śluza się otworzyła.

Dlatego wsiedli na kuter z kilkunastoma obrazami i dziełami sztuki kościelnej w srebrze oraz złocie. Mieli też paczkę dolarów, zabranych jakiemuś proboszczowi. To wszystko podali jako majątek rodzinny, który komuniści zamierzali skonfiskować z pałacyków rodzinnych — podali się bowiem za latorośle rodów ziemiańskich. W owych czasach nie istniały możliwości by sprawdzić tego rodzaju legendy. Każdy, kto uciekał od komunistów, był serdecznie witanym bohaterem, dostawał azyl w pięć minut. Nie istniały też maszynki do wykrywania kłamstw, które, choć zawodne, to przecież oddziałują psychologicznie na klienta. Władzom w Polsce zależało też na utrzymaniu w tajemnicy faktu, że komuś udało się uciec z mocno strzeżonego kraju. A uciekało mnóstwo ludzi, ponieważ nie istniały radary i zdecydowany na wszystko, uzbrojony młody człowiek mógł odpłynąć kiedy chciał i jak chciał. Tak zwana zielona granica, czy na lądzie, czy na morzu, to był po prostu brak granicy dla zdecydowanych i sprytnych. Owszem, już od 1949 roku sytuacja zmieniła się diametralnie, a w latach pięćdziesiątych, podczas „zimnej wojny", tylko jakiś niespotykany as mógł się pokusić o ryzyko wybycia.

Kys. Dariusz Romanowicz

Zanim jednak to nastąpiło, Franek Żelazko siedział w Skandynawii, i... co dwa miesiące wracał do Polski! Zorganizował przerzut obrazów, zabytkowych rzeźb, złotych monet dolarowych i rublowych — z drugiego brzegu miał pomoc fachowców, niektórych z nich pociągnął za sobą na Zachód. Kiedy przyjechał wreszcie do Toronto, miał na koncie kilkadziesiąt tysięcy dolarów, a w tamtych czasach była to fortuna, wystarczy powiedzieć, że znakomity samochód kosztował osiemset dolarów, a dom, nowy dom, zaledwie pięć tysięcy!

Wynikałoby z tego, że Franek zrobi większy majątek, niż Romek, a przecież stało się inaczej. Obaj zmienili nazwiska, ani śladu nie zostało z przeszłości — poza akcentem. Obaj panowie mówią kiepsko po angielsku, czego Duch nie wiedział, dopóki sam nie opanował tego języka w sposób maksymalnie możliwy w ramach jego zdolności. Jednak coraz bardziej skomplikowane lektury, rozmowy z rozmaitymi ludźmi, upodobanie do rozmów, do abstrakcji, w połączeniu z idealnym słuchem muzycznym rozwinęły w nim głębokie zrozumienie angielskiego, poczucie jego głębi, zachwyt nad tysiącem kolorowych odmian tego języka, który opanowuje świat. Duch potrafi po dwóch słowach odróżnić londyńczyka od Szkota czy Irlandczyka, rozpoznaje faceta z Nowego Jorku i z Georgii, z Kalifornii czy z Teksasu. Jedno otwarcie gęby pozwala Duchowi na precyzyjne określenie, skąd pochodzi klient: z Węgier, z Niemiec, Francji, z Polski czy z Hiszpanii. Język angielski układa się zupełnie odmiennie w krtani każdego z tych ludzi, inaczej brzmi, staje się zupełnie inną muzyką, a przecież jest to wciąż ten sam uniwersalny język, którym można się porozumieć wszędzie na świecie, niezależnie od tego, czy się zna czterdzieści tysięcy słów, czy tylko czterysta. Lecz kiedy Duch zaczął myśleć po angielsku, to przypomniawszy sobie Franka Żelazko i Romka Mańkowskiego uległ uczuciu litości, ponieważ zdał sobie sprawę, jak strasznie prymitywnym narzędziem obaj się posługiwali, szczególnie Franek, w którego repertuarze znajdowało się nie więcej niż dwie setki słów, wypowiadanych na granicy czytelności.

Owoż Mańkowski był cwańszy: poderwał kobietę polskiego pochodzenia, która pracowała w ratuszu, w komisji planowania terenowego, czy coś w tym rodzaju. Przez kilka lat urzędniczka donosiła mu o planach rozwojowych na najbliższe dziesięciolecia. W ten sposób mister Mannix dowiedział się, że rozwój budownictwa przemysłowego pobiegnie w kierunku zachodnim, na oddalony o pięćdziesiąt kilometrów Hamilton, w którym znajdowały się dwie największe stalownie kanadyjskie. A on myślał inaczej: że ta fala pójdzie na wschód, na miasto Oshawa gdzie stawiano ogromną wytwórnię samochodów General Motors! Zrobiłby ogromny błąd. To właśnie tereny zachodnie, w miejscowościach Mississauga (Czysta Woda po indiańsku), Oakville czy Burlington rokowały najlepszy zysk. Pani dawał konkretne typy i Mannix za grosze kupował działki budowlane, o jak największych rozmiarach. Wówczas jeszcze nie było szerokiego highway'u, łączącego Toronto z Hamiltonem, Niagara Falls i Buffalo — ale urzędniczka wiedziała, że taki highway powstanie. Mannix inwestował, zarzynał się ratami hipotecznymi, spłacał nabytki, aby tylko utrzymać je do właściwego momentu. Przez ten czas pracował jako sprzedawca nieruchomości w jakiejś firmie, poznawał tajniki zawodu, labirynty spekulacji ziemią i domami. Dopiero po dziesięciu latach ryzyko zaczęło dawać owoce. Rząd wykupił ziemię pod autostradę. Mannix otrzymał ogromne sumy. Założył natychmiast własną firmę pośrednictwa, zatrudnił kilkudziesięciu agentów. A potem przedsiębiorcy zapragnęli stawiać fabryki, hotele i osiedla mieszkaniowe w pobliżu tej sześciopasmowej drogi z dwoma pobocznymi na całej długości — i tutaj Mannix powiedział: stop. Im dłużej czekał, tym więcej zyskiwał.

C.D.N.